

ALESSANDRO BARICCO

OCEAN MORZE

Przełożyła Halina Kralowa

CZYTELNIK Warszawa 2001

W

??] Redaktor serii j Aleksandra Ambros

Tytuł oryginału włoskiego Oceano mare

© 1993 RCS Rizzoli Libri S.p.A., Milano

Opracowanie graficzne Zbigniew Czarnecki

Redaktor Anna Mencwel

Redaktor techniczny Hanna Orłowska

Korekta Barbara Chlabicz

© Copyright for the Polish translation by Halina Kralowa, 2001

© Copyright for the Polish edition

by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”,

Warszawa 2001

ISBN 83-07-02809-4

Molly, mojej kochanej przyjaciółce

Księga pierwsza HOTEL ALMAYER

?

Piasek jak okiem sięgnąć, między ostatnimi pagórkami a morzem — morzem — w zimnym powietrzu popołudnia, które już prawie minęło, błogosławione przez wiatr wiejący zawsze z północy.

Plaża. I morze.

Mogłoby to być czymś doskonałym — obrazem dla boskich oczu — światem, który przytrafił się i tyle, niemym istnieniem wody i ziemi, dziełem skończonym i dokładnym, prawdą — prawdą — ale i tym razem mamy to zbawcze ziarenko ludzkie,

które psuje mechanizm raj, drobiazg, który sam z siebie wystarcza, by wstrzymać cały wielki aparat bezlitosnej prawdy, nic nie znaczący okruch tkwiący w piasku, niedostrzegalną rysę na powierzchni świętego obrazu, drobną anomalię na doskonałości bezkresnej plaży. Widziany z daleka byłby tylko czarnym punkcikiem. Zarys mężczyzny i sztalug w pustce.

Sztalugi przymocowane są cienkimi linkami do czterech leżących na piasku kamieni. Chwieją się niedostrzegalnie na wietrze, który wciąż wieje z północy. Mężczyzna ma wysokie buty i obszer-

9

ną kurtkę rybacką. Stoi na wprost morza obracając w palcach cienki pędzel. Na sztalugach — płótno.

Jest jak wartownik — to trzeba zrozumieć — strzegący tego skrawka świata przed milczącą inwazją doskonałości, mała rysa naruszająca tę widowiskową scenografię istnienia. Bo tak jest zawsze, wystarczy cień człowieka, by zachwiać spokojem tego, co, choć mogło za chwilę już stać się prawdą, pozostaje nadal czekaniem i znakiem zapytania tylko dzięki nieskończonej władzy tego człowieka, który jest wąską szczeliną, małymi drzwiczkami otwartymi na rzekę historii i ogromny

rejestr zdarzeń możliwych, bezkresnym rozdarciem, cudownym cięciem, ścieżką wydeptaną tysiącami kroków, gdzie nic już nie może być prawdziwe, ale za to wszystko jest — tak jak są kroki tej kobiety, która, owinięta liliowym płaszczem, z odkrytą głową przemierza powoli plażę wzdłuż linii przyboju, przecinając od prawej ku lewej zatraconą już doskonałość wielkiego obrazu, by, pokonawszy odstęp, jaki dzieli ją od mężczyzny przy sztalugach i znalazłszy się o kilka kroków od niego, tuż obok, zatrzymać się jakby nigdy nic — i milcząc patrzeć.

Mężczyzna nawet się nie odwróci. Nadal wpatruje się w morze. Cisza. Od czasu do czasu zanurza pędzel w miedzianym kubku i przeciąga nim lekko po płótnie. Włoski pędzla pozostawiają za sobą cień ledwie ciemniejszego koloru, który wiatr natychmiast osusza dobywając na wierzch pierwotną biel. Woda. W miedzianym kubku

jest

10

tylko woda. A na płótnie nic. Nic, co by można zobaczyć.

Wieje jak zwykle wiatr z północy i kobieta owija się szczelniej liliowym płaszczem.

— Plasson, pracuje pan tu już tyle dni. Po co nosić ze sobą te wszystkie farby, skoro nie ma ich pan odwagi użyć?

To jakby wyrывa go ze snu. To musiało go uderzyć. Odwraca się i patrzy na twarz kobiety. Ale kiedy zaczyna mówić, jego słowa nie są odpowiedzią.

— Proszę się nie ruszać — mówi.

Po czym zbliża pędzel do twarzy kobiety, waha się przez chwilę, opiera go na jej wargach i przesuwa powoli od jednego kącika ust do drugiego. Włoski barwią się karminową czerwienią. On patrzy na nie, zanurza pędzel lekko w wodzie i podnosi wzrok ku morzu. Na wargach kobiety zostaje cień smaku, który każe jej pomyśleć: „woda morska, ten człowiek maluje morze morzem” — i jest to myśl wywołująca dreszcze.

Ona od dawna już zawróciła i znów zaczęła odmierzać ogromną plażę matematycznym

różańcem swoich kroków, gdy wiatr, przebiegłszy po płótnie, osuszył ślad różowego światła unoszącego się samotnie na bieli. Można by godzinami patrzeć na to morze, na to niebo, na to wszystko, ale nie znalazłoby się nic w tym kolorze.

Nic, co by można zobaczyć.

Przypływ w tych stronach podnosi się, zanim zapadnie zmrok. Trochę wcześniej.

Woda otacza mężczyznę i jego sztalugi, chwyta go powoli, lecz

ii

precyzyjnie, a oni tkwią nieporuszenie, jak miniaturowa wyspa czy dwugłowy wrak. Plasson, malarz.

Co wieczór, tuż przed zachodem, gdy woda sięga mu już do serca, przypływa po niego łódka. Zgodnie z jego wolą. Wsiada do łódki, ładuje na nią sztalugi i resztę i pozwala się odwieźć do domu.

Wartownik odchodzi. Spełnił swój obowiązek. Niebezpieczeństwo minęło. Gaśnie w zachodzie święty obraz, któremu znowu nie udało się stać świętym. Wszystko przez

tego człowieka i jego pędzle. A teraz, kiedy odszedł, nie ma już czasu. Ciemność zawiesza wszystko. W ciemności nic nie może stać się prawdą.

2

...tylko z rzadka, i w taki sposób, że niektórzy na jej widok mówili po cichu

— To ją zabije lub

— To ją zabije albo

— To ją zabije czy nawet

— To ją zabije. Naokoło same wzgórza.

Moja ziemia, myślał baron Carewall.

12

To właściwie nie choroba, można by tak pomyśleć, ale to coś mniej, jeśli ma jakąś nazwę, musi być bardzo ulotna, ledwie ją wymówisz — znika.

— Kiedy była dzieckiem, pewnego dnia przychodzi żebrak i zaczyna śpiewać żalną piosenkę, piosenka płoszy kosa, który zrywa się do lotu...

— ...płaszac turkawkę, która zrywa się do lotu z furkotem skrzydeł...

— ...furkot skrzydeł, żaden hałas...

— ...będzie już z dziesięć lat...

— ...turkawka przelatuje pod jej oknem, to trwa chwilę, nie więcej, a ona podnosi oczy znad zabawek i nie wiem, padł na nią strach, blady strach, to znaczy, chcę powiedzieć, wyglądała nie jak ktoś, kto się boi, ale jak ktoś, kto ma zaraz zniknąć...

— ...furkot skrzydeł...

— ...ktoś, z kogo uchodzi dusza...

— ...dasz wiarę?

Sądzi, że urośnie i wszystko przejdzie. Ale na razie w całym pałacu rozkładali dywany, bo, naturalnie, własne kroki budziły w niej lęk, wszędzie białe dywany, kolor, który by jej nie ranił, bezgłośnie kroki i ślepe kolory. W parku dróżki biegły kuliście, z jednym zuchwałym wyjątkiem dwóch alejek, które wiły się zataczając miękkie, regularne łuki — psalmy — i to jest już bardziej uzasadnione, bo istotnie wystarczy być choć trochę wrażliwym, by zrozumieć, że w każdym ślepym zaułku może się czaić zasadzka, a w dwóch krzyżujących się drogach geometryczna i dosko-

13

nała przemoc, wystarczająca, by przerazić kogoś, kto posiada prawdziwą wrażliwość, a tym bardziej ją, która właściwie nie tyle posiada duszę wrażliwą, co, nazywając rzecz po imieniu, jest ofiarą wrażliwości wymykającej się wszelkiej kontroli, wrażliwości, co wybuchła raz na zawsze w jakimś momencie jej wewnętrznego życia — niewiele znaczącego u tak małej dziewczynki — a potem niewidocznymi drogami dotarła do serca, i do oczu, i do rąk, i wszędzie, niczym choroba, która nie jest nawet chorobą, jest czymś mniej, jeśli ma jakąś nazwę, musi być bardzo ulotna, ledwie ją wymówisz — znika.

Dlatego dróżki w parku biegły kuliście.

Trzeba też pamiętać o historii Edela Truta, który w całym kraju nie miał sobie równych w tkaniu jedwabiu, i dlatego został wezwany przez barona pewnego zimowego dnia, gdy śnieg leżał na wysokość dziecka i mróz był nie z tej ziemi;

dotrzeć tam to istne piekło, koń dymi, brnie na oślep przez śnieg, sanki dryfują z tyłu, jeśli za dziesięć minut nie będę na miejscu, chyba przyjdzie mi umrzeć, jakem Edel, umrę, a na dodatek nie dowiem się nigdy, co takiego ważnego ma mi, u diabła, pokazać baron...

— Co widzisz, Edel?

Baron stoi w pokoju córki przed długą ścianą bez okien i mówi cicho, ze staroświecką słodyczą.

— Co widzisz?

Burgundzka tkanina, dobry gatunek, widoczki jak inne, dobra robota.

— To nie są byle jakie widoczki, Edel. A przynajmniej nie dla mojej córki. Jego córka.

To rodzaj zagadki, ale trzeba się postarać zrozumieć, puścić w ruch fantazję, zapomnieć o tym, co się wie, aby wyobraźnia mogła wędrować bez przeszkód, wniknąć w głąb rzeczy i zobaczyć, że dusza nie zawsze jest diamentem, że czasem jest jedwabnym welonem — to mogę zrozumieć — wyobraź sobie welon z przezroczystego jedwabiu, byle co może go rozedrzeć, nawet spojrzenie, i pomyśl o dłoni, która go ujmuje — dłoni kobiecej — tak — porusza się wolno i ściska go w palcach, ale ścisnąć to już za dużo, unosi go, jakby nie była dłonią, lecz powiewem wiatru, i zamyka w palcach, jakby to nie były palce, lecz...

— jakby to nie były palce, lecz myśli. Otóż to. Ten pokój to właśnie ta ręka, a moja córka jest jedwabnym welonem.

Tak, zrozumiałem.

— Nie chcę wodospadów, Edel, ale spokój jeziora, nie chcę dębów, lecz brzozy, a te góry w głębi muszą się zmienić w pagórki, dzień w zachód, wiatr w powiew, miasta w wioski, zamki w ogrody. I jeśli już muszą być jastrzębie, niech będą przynajmniej w locie, i daleko.

Tak, zrozumiałem. Jest tylko jedna sprawa: a ludzie?

Baron milczy. Przygląda się tym wszystkim postaciom z ogromnej tkaniny, po kolei, jakby chciał usłyszeć ich zdanie. Przechodzi od ściany do ścia-

15

ny, ale nikt nic nie mówi. Jak można się było spodziewać.

?— Edel, czy można zrobić ludzi, którzy nie czynią zła?

O to, w stosownej chwili, powinien spytać także Boga.

— Nie wiem. Ale spróbuję. W warsztacie Edela Truta pracowano przez wiele miesięcy, zużywając sprowadzone przez barona kilometry jedwabnej przędzy. Pracowano w milczeniu, bo, jak mówi Edel, w osnowę tkaniny musi wniknąć cisza. Jak każda inna nić, tyle że niewidoczna. Ale prawdziwa. Więc pracowano w milczeniu.

Wiele miesięcy.

Potem pewnego dnia do pałacu barona przyjechał wóz, a na wozie było arcydzieło Edela. Trzy ogromne bele materiału, które ważyły tyle, co krzyże na procesji.

Poniesiono je schodami w górę, a potem korytarzami, od drzwi do drzwi, aż do środka pałacu, do pokoju, który na nie czekał. Już mieli je rozwinąć, gdy baron szepnął

— A ludzie?

Edel uśmiechnął się.

— Jeśli już muszą być ludzie, niech będą przynajmniej w locie, i daleko.

Baron zczekał na światło zachodu i wzięwszy córkę za rękę zaprowadził ją do jej nowego pokoju. Edel mówi, że weszła i od razu zaczerwieniła się z zachwytu, i baron przez chwilę bał się, że zaskoczenie może być zbyt wielkie, ale trwało to tylko chwilę, bo natychmiast dała się słyszeć

16

nieodparta cisza tego jedwabnego świata, gdzie dobrotliwa ziemia leżała w spokoju, a mali ludzie, zawieszani w powietrzu, przemierzali wolnym krokiem błady błękit nieba. Edel mówi — i nigdy tego nie zapomni — że długo rozglądała się wokoło, a potem odwróciła się — i uśmiechnęła.

Nosiła imię Elisewin.

Miała przepiękny głos — aksamit — a gdy szła, zdawało się, że płynie powietrzem, wzroku nie mogłeś oderwać. Co jakiś czas, bez powodu, zaczynała biec korytarzami na spotkanie nie wiedzieć czego, po tych strasznych białych dywanach, przestawała być tym cieniem, jakim była zazwyczaj, i biegła, ale tylko z rzadka i w taki sposób, że niektórzy na jej widok mówili po cichu...

3

Do hotelu Almayer można dotrzeć pieszo, schodząc w dół ścieżką od kaplicy w Saint Amand, ale także powozem, drogą do Quartel, czy barką, po rzece. Profesor Bartleboom dotarł tam przypadkiem

— Czy to pensjonat Spokojny?

— Nie.

— Gospoda Saint Amand?

— Nie.

— Hotel Pocztowy?

— Nie.

— Śledź Królewski?

— Nie.

2 — Ocean morze

17

— Dobrze. A jest pokój?

— Tak.

— Biorę go.

Księga z podpisami gości leżała otwarta na drewnianym pulpicie. Świeżo posiane papierowe łoże, czekające na sny cudzych imion. Pióro profesora wsunęło się lubieżnie między prześcieradła.

Ismael Adelante Ismael prof. Bartleboom.

Z zakrętami i wszystkim co należy. Bardzo starannie.

— Pierwszy Ismael to mój ojciec, drugi — mój dziadek.

— A ten?

— Adelante?

— Nie, nie tamten... ten.

— Prof.?

— Aha.

— Profesor, nie? To znaczy profesor.

— Co za głupie imię.

— To nie imię... ja jestem profesorem, uczę, rozumie pani? Idę ulicą i ludzie mówią Dzień dobry, profesorze Bartleboom, Dobry wieczór, profesorze Bartleboom, ale to nie jest imię, to jest to, co robię, uczę...

— To nie jest imię.

— Nie.

— W porządku. Ja się nazywam Dira.

— Dira.

— Tak. Idę drogą i ludzie mówią Dzień dobry, Diro, Dobranoc, Diro, pięknie dziś wyglądasz,

18

Diro, jaką masz ładną sukienkę, Diro, Czy przypadkiem nie widziałaś Bartlebooma, nie, jest w swoim pokoju, pierwsze piętro, na końcu korytarza, proszę, to są ręczniki, widać morze, mam nadzieję, że nie będzie panu przeszkadzać.

Profesor Bartleboom — od tej chwili po prostu Bartleboom — wziął ręczniki.

— Panno Diro...

— Tak?

— Czy mogę o coś zapytać?

— To znaczy?

— He pani ma lat?

— Dziesięć.

— Aha.

Bartleboom — od niedawna eks-profesor Bartleboom — podniósł walizki i ruszył w stronę schodów.

— Bartleboom...

— Tak?

— Pań nie pyta się o wiek.

— To prawda, przepraszam.

— Pierwsze piętro. W głębi korytarza.

W pokoju w głębi korytarza (pierwsze piętro) było łóżko, szafa, dwa krzesła, piec, małe biurko, dywan (niebieski), dwa identyczne obrazy, umywalka z lustrem, niska skrzynia i dziecko: siedzące na parapecie okna (otwartego), tyłem do pokoju, z nogami zwieszonymi na zewnątrz.

Bartleboom zakasłał dyskretnie, ot tak, by wydać jakiś dźwięk.

19

Nic.

Wszedł do pokoju, postawił walizki, obejrzał z bliska obrazy (identyczne, nie do wiary), usiadł na łóżku, z widoczną ulgą zdjął buty, wstał, poszedł przejrzeć się w lustrze, stwierdził, że nadal jest sobą (nigdy nic nie wiadomo), rzucił okiem do szafy, powiesił w niej płaszcz, a potem zbliżył się do okna.

— Należysz do wyposażenia, czy jesteś tu przypadkiem?

Dziecko nie poruszyło się ani o milimetr. Ale odpowiedziało.

— Do wyposażenia.

— Aha.

Bartleboom zawrócił w stronę łóżka, rozwiązał krawat i położył się. Plamy wilgoci na suficie jak tropikalne kwiaty na czarno-białym rysunku. Zamknął oczy i zasnął. Śniło mu się, że polecono mu zastąpić olbrzymkę w Cyrku Bosendorf, a on, znalazłszy się na arenie, zobaczył w pierwszym rzędzie swoją ciotkę Adelajdę, kobietę wspaniałą, lecz wątpliwych obyczajów, która całowała najpierw jakiegoś pirata, potem kobietę ładną do siebie podobną, w końcu drewniany posąg świętego, który zresztą nie był chyba posągiem, bo nagle zaczął iść i szedł prosto na niego, Bartlebooma, wykrzykując coś, co trudno było zrozumieć, ale co wzbudziło gniew całej publiczności, tak że on, Bartleboom, zmuszony był uciekać co sił w nogach, rezygnując nawet z zapłaty, do której miał przecież święte prawo, a dla ścisłości u-zgodnionej z dyrektorem cyrku sumy 128 soldów.

20

Obudził się, a dziecko nadal było w pokoju. Odwróciło się jednak i patrzyło na niego. A nawet coś do niego mówiło.

— Czy pan był kiedyś w Cyrku Bosendorf?

— Słucham?

— Pytałem, czy był pan kiedyś w Cyrku Bosendorf.

Bartleboom usiadł na łóżku.

— Co ty możesz wiedzieć o Cyrku Bosendorf?

— Nic. Tyle że go widziałem, przejeżdżał tędy zeszłego roku. Były zwierzęta i wszystko. Była nawet olbrzymka.

Bartleboom pomyślał, czy nie należy spytać, co słyhać u ciotki Adelajdy. To prawda, że umarła wiele lat temu, ale to dziecko wydawało się dobrze poinformowane. W końcu jednak zszedł tylko z łóżka i zbliżył się do okna.

— Pozwolisz? Chciałbym zaczerpnąć powietrza. Dziecko przesunęło się nieco na parapecie. Zimne powietrze i północny wiatr. Na wprost bezkresne morze.

— Co ty tu robisz cały czas na tym oknie?

— Patrę.

— Nie ma tak znów na co patrzeć...

— Pan żartuje?

— No cóż, jest morze, zgoda, ale morze jest zawsze takie samo, zawsze jednakowe, morze aż po horyzont, jak się dobrze trafi, przepływa statek, to w końcu nic niezwykłego.

Dziecko odwróciło się w stronę morza, zwróciło do Bartlebooma, znów odwróciło w stronę morza i znów zwróciło do Bartlebooma.

21

— Jak długo pan tu zostanie? — zapytało.

— Nie wiem. Parę dni.

Dziecko zeszło z parapetu, skierowało się w stronę drzwi, przystanęło na progu, przez chwilę przyglądało się Bartleboomowi.

— Pan jest miły. Jak pan stąd wyjedzie, może nie będzie już pan taki głupi.

Bartleboom coraz bardziej był ciekawy, kto te dzieci wychował. To niewątpliwie jakiś fenomen.

Wieczór. Hotel Almayer. Pokój na pierwszym piętrze, w głębi korytarza. Biurko, lampa naftowa, cisza. Szary szlafrok z Bartleboomem w środku. Para szarych kapci

z jego stopami. Na biurku biała kartka, pióro i kałamarz. Bartleboom pisze.
Pisze.

Moja ukochana,
przyjechałem nad morze. Oszczędzę Pani opisu trudów i udręk podróży:
najważniejsze, że już tu jestem. Hotelik jest gościnny: prosty, ale gościnny.
Stoi na szczycie małego wzgórza, dokładnie na wprost plaży. Wieczorem jest
przyływ i woda dociera prawie pod moje okno. To tak, jakby się było na statku.
Podobałoby się to Pani.

Ja nigdy nie byłem na statku.

Jutro rozpocznę moje badania. Miejsce wydaje mi się idealne. Nie kryję przed
sobą trudności tego przedsięwzięcia, ale Pani wie — Pani jedna na całym świecie
— że jestem zdecydowany do-

22

prowadzić do końca to dzieło, którego zamysł powziąłem i postanowiłem
wprowadzić

w czyn pewnego szczęsnego dnia przed dwunastu laty. Pocięchą mi będzie myśl, że,
jak ufam, cieszy się Pani dobrym zdrowiem i pogodą ducha.

To fakt, że nigdy przedtem o tym nie pomyślałem: ale naprawdę nigdy nie byłem na
statku.

W samotności tego miejsca z dala od świata towarzyszy mi pewność, że nadal
pamiętać Pani zechce o tym, który Panią kocha i zawsze pozostanie jej wierny.

Ismael A. Ismael Bartleboom.

Odkłada pióro, składa kartkę, wsuwa ją do koperty. Wstaje, wyjmując z kufra
mahoniową skrzynkę, podnosi wieko, wrzuca do środka list, otwarty i bez adresu.
W skrzynce są już setki takich kopert. Otwartych i bez adresu. Bartleboom ma 38
lat. Sądzi, że gdzieś na świecie spotka kobietę, która od zawsze należy do niego.
Niekiedy ubolewa, że los każe mu czekać z tak nietaktownym uporem, ale z czasem
nauczył się traktować tę sprawę z wielką pogodą. Co dzień prawie, od wielu już
lat, bierze pióro do ręki i pisze. Nie zna nazwiska ani adresu, który by mógł
napisać na kopercie: ale ma życie do opowiedzenia. A komu, jeśli nie jej? Myśli,
że gdy się spotkają, będzie pięknie położyć jej na kolanach mahoniową skrzynkę
pełną listów i powiedzieć — Czekałem na ciebie.

Ona otworzy skrzynkę i powoli, kiedy zechce, przeczyta te listy jeden po drugim
i, śledząc kilo-

23

metrową nić niebieskiego atramentu, odnajdzie lata — dni, chwile — które ten
człowiek podarował jej, ????? jeszcze ją poznał. A może, po prostu, odwróci
skrzynkę dnem do góry i zdumiona tym śmiesznym deszczem listów uśmiechnie się
mówiąc do tego mężczyzny — Jesteś szalony. I pokocha go na zawsze.

4

— Ojczy Pluchę...

— Słucham, panie baronie.

— Moja córka skończy jutro piętnaście lat

— Nie uzdrowił jej ojciec.

— Nie.

- Będzie musiała wyjść za mąż.
- Będzie musiała opuścić ten zamek i zobaczyć świat.
- Będzie musiała mieć dzieci i...
- Słowem, będzie musiała przecież kiedyś zacząć żyć.
- Ojciec Pluchę, moja córka musi wyzdrowieć.

24

— Tak.

— Proszę znaleźć kogoś, kto będzie ją umiał u-zdrowić. I sprowadzić go tutaj. Najstynniejszy w kraju lekarz nazywał się Atter-del. Wielu widziało, jak przywracał do życia umarłych, ludzi bardziej już z tamtego jak z tego świata, bez ratunku straconych, skazanych, których on wyciągał z piekła i przywracał życiu, co, powiedzmy sobie, mogło być nawet kłopotliwe, czasem wręcz niepożądane, ale trzeba zrozumieć, że to był jego zawód i nikt nie potrafił wykonywać go tak jak on, dlatego ludzie wracali do życia, co wszyscy krewni i przyjaciele przyjmowali z rezygnacją, zmuszeni zaczynać wszystko od początku, a łzy i spadek odłożyć na lepszą okazję, następnym razem pomyślą może zawczasu o tym, by zwrócić się do zwykłego lekarza, jednego z tych, co człowieka wykończą i spokój, nie jak ten, co go postawi na nogi tylko dlatego, że jest najstynniejszy w kraju. I najdroższy, poza wszystkim.

I tak ojciec Pluchę pomyślał o doktorze Atter-del. Nie żeby wierzył zbyt w lekarzy, wcale nie, ale we wszystkim, co dotyczyło Elisewin, zmuszony był myśleć głową barona, nie swoją własną. A głowa barona myślała, że tam, gdzie Bóg nie sprostą, da może radę nauka. Bóg nie sprostą. Teraz kolej Atterdela. Przyjechał do zamku czarną, błyszczącą karetą, co wyglądało nieco żałobnie, ale też bardzo

25

teatralnie. Wszedł szybko na schody i znalazłszy się przed ojcem Pluchę, nie patrząc na niego prawie, zapytał

— Pan jest baronem?

— Chciałbym być.

To było typowe dla ojca Pluchę. Nie umiał się powstrzymać. Nie mówił nigdy tego, co należało powiedzieć. Chwilę wcześniej przychodziło mu do głowy coś zupełnie innego. Na jedną sekundę. Ale to wystarczyło.

— Więc jest pan ojcem Pluchę.

— Właśnie.

— To pan do mnie pisał.

— Tak.

— No cóż, ma pan dziwny sposób pisania.

— W jakim sensie?

— Nie trzeba było pisać wszystkiego wierszem. I tak bym przyjechał.

— Jest pan tego pewny?

Tu, na przykład, należało powiedzieć

— Proszę wybaczyć, to była niemądra zabawa

i takie właśnie gotowe zdanie pojawiło się w głowie ojca Pluchę, proste i

precyzyjne, ale o sekundę za późno, co wystarczyło, by wymknął się spod niego podmuch słów, które, wychynawszy na powierzchnię milczenia, zastygły w pytanie niewątpliwie jasne, ale zupełnie nie na miejscu.

— Jest pan tego pewny?

Atterdel podniósł wzrok na ojca Pluchę. To było coś więcej niż spojrzenie. To były oględziny.

— Jestem pewny.

26

Ludzie nauki mają to do siebie: są pewni. — Gdzie jest ta dziewczynka?

„Tak... Elisewin... Tak mam na imię. Elisewin”. „Tak, panie doktorze”.

„Nie, naprawdę, nie boję się. Ja zawsze tak mówię. Mam taki głos. Ojciec Pluchę mówi, że...” „Dziękuję panu”.

„Nie wiem. Najdziwniejsze rzeczy. Ale to nie jest strach, prawdziwy strach... to coś trochę innego... strach przychodzi z zewnątrz, to rozumiem, jesteś tutaj i o p a d a cię strach, jesteś ty i jest on... to właśnie tak... jest on, ale i ja jestem, a tymczasem mnie się zdarza, że nagle mnie nie ma, jest już tylko on... ale to nie strach... ja nie wiem, co to jest, a pan wie?” „Tak, proszę pana”.

„Tak, proszę pana”.

„To trochę tak, jakbym umierała. Czy znikająca. O właśnie: znikająca. Wydaje się, że oczy uciekają z twarzy, ręce stają się jakby rękami kogoś innego i wtedy myślisz, co się ze mną dzieje?, a tymczasem serce wali ci w środku jak oszalałe, bez wytchnienia... i jest tak, jakby ze wszystkich stron ciało opadało z ciebie kawałkami, nie czujesz go wcale... słowem, jakbyś zaraz miała się rozpaść, i wtedy mówię sobie, musisz o czymś myśleć, musisz uchwycić się jakiejś myśli, jeśli uda ci się ukryć w tej myśli, wszystko przejdzie, trzeba tylko wytrwać, ale chodzi o to, że... i to jest

27

naprawdę okropne... chodzi o to, że w tobie n i e ma już myśli, ani jednej myśli, same wrażenia, rozumie pan?, wrażenia... a najsilniejsze z nich to piekielna gorączka, nieznośna duszność, smak śmierci tutaj, w gardle, gorączka i zaciskanie, coś, co kąsa, jakiś zły duch, co cię kąsa i rozrywa na kawałki, jakaś...” „Przepraszam pana”.

„Tak, czasami to jest o wiele... prostsze, chcę powiedzieć, czuję, że znikam, owszem, ale łagodnie, powolutku... to emocje, ojciec Pluchę mówi, że to emocje, mówi, że nie mam nic, co by mnie chroniło przed emocjami i jest tak, jakby wszystko wchodziło prosto w moje oczy i w moje...” „W moje oczy, tak”.

„Nie, tego nie pamiętam. Ja wiem, że jestem chora, ale... Czasami pewne rzeczy nie budzą we mnie lęku, chcę powiedzieć, nie zawsze jest tak, zeszłej nocy była straszna burza, błyskawice, wiatr... a ja byłam spokojna, naprawdę, nie czułam strachu, ani nic... Czasem jednak wystarczy choćby kolor czy kształt jakiegoś przedmiotu, czy... czy twarz przechodzącego człowieka, o właśnie, twarze... twarze mogą być straszne, prawda?, twarze są czasem takie prawdziwe, mam wrażenie, że chcą się na mnie rzucić, są twarze, które krzyczą, rozumie pan, co chcę powiedzieć?, krzyczą ci nad uchem, to straszne, nie ma sposobu, by się obronić, nie ma... sposobu...” „Miłość?”

„Ojciec Pluchę czyta mi czasem książki. One mi nie szkodzą. Mój ojciec by nie chciał, ale... sło-

28

wem są także historie... emocjonujące, rozumie pan?, z ludźmi, co zabijają, co umierają... ale ja mogę słuchać wszystkiego, jeśli to jest w książce, to dziwne, mogę nawet płakać i to jest takie słodkie, nie ma w tym zaduchu śmierci, ja po prostu płaczę, a ojciec Pluchę czyta dalej i jest bardzo pięknie, ale mój ojciec o tym nie może się dowiedzieć, on nic nie wie i może to lepiej, że..." „No pewno że kocham mojego ojca. Dlaczego?" „Białe dywany?" „Nie wiem".

„Widziałam raz ojca, jak śpi. Weszłam do jego pokoju i zobaczyłam go. Mojego ojca. Spał cały skulony, jak dzieci, na boku, z podkurczonymi nogami, dłonie miał zaciśnięte w pięści... nigdy tego nie zapomnę... mój ojciec, baron Carewall. Spał tak, jak sypiają dzieci. Czy pan to rozumie? Jak można się nie bać, skoro nawet... jak można, skoro nawet..."

„Nie wiem. Tutaj nikt nigdy nie przychodzi". „Czasami. Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Kiedy są ze mną, mówią cicho i mam wrażenie, że poruszają się też jakoś... jakoś wolniej, jakby się bały, że coś stłuką. Ale nie wiem, czy..."

„Nie, to nie jest trudne... to jest inne, no nie wiem, to jakby się było..."

„Ojciec Pluchę mówi, że tak naprawdę, to ja miałam być ómą, że potem nastąpiła jakaś pomyłka i przybyłam tutaj, ale właściwie to nie tu miałam się znaleźć i dlatego teraz to wszystko jest takie trudne, to normalne, że wszystko mnie boli, muszę być bardzo cierpliwa i czekać, rozumie się, że

29

nie jest łatwo przekształcić motyla w kobietę..." „Dobrze, proszę pana".

„Ależ to rodzaj zabawy, to nie jest tak zupełnie naprawdę, ani tak zupełnie na niby, gdyby pan znał ojca Pluchę..." „Oczywiście, proszę pana". „Choroba?" „Tak".

„Nie, nie boję się. Tego się nie boję, naprawdę".

„Zrobię to". „Tak". „Tak". „No to do widzenia".

„Proszę pana..." „Proszę pana, przepraszam..." „Proszę pana, chciałam powiedzieć, że ja wiem o tym, że jestem chora i że nie mogę nawet stąd wyjść od czasu do czasu, nawet biec to dla mnie coś zbyt..."

„Chciałam powiedzieć, że ja pragnę życia, zrobiłabym wszystko, żeby mieć swoje życie, żyć ile się da, do szaleństwa, to nieważne, mogę nawet oszaleć, ale życia zaprzepaścić nie chcę, pragnę go, naprawdę, choćby to nawet było śmiertelnie bolesne, ja chcę żyć. Uda mi się, prawda?" „Prawda, że mi się uda?"

Jako że nauka jest dziwna, niczym dziwne zwierzę szukające kryjówek w najbardziej niedorzecz-

30

nych miejscach, i pracuje według skrupulatnych planów, które z zewnątrz muszą wydawać się niepojęte, a czasem wręcz komiczne, zdają się bowiem daremnym błędzeniem, ale w rzeczywistości są precyzyjnie wytyczonymi ścieżkami łowów, pułapkami rozstawionymi z uczonego kunsztem i strategicznymi bitwami, na widok których wpaść można nieraz w osłupienie, jak się to przytrafiło baronowi Carewall, gdy czarno ubrany lekarz odezwał się w końcu do niego, patrząc mu w oczy z zimną pewnością siebie, ale i jakimś, rzec by można, odcieniem czułości,

czymś zgoła absurdalnym dla kogoś, kto zna ludzi nauki, a zwłaszcza doktora Atterdela, ale nie tak znów trudnych do zrozumienia dla kogoś, kto by potrafił wniknąć w głowę samego doktora, a szczególnie w jego oczy, gdzie obraz tego wielkiego i silnego mężczyzny — barona Carewalla we własnej osobie — zmienia się

raz za razem w obraz człowieka skulonego na łóżku i śpiącego jak d z i e c-k o, wielki, potężny baron i mały chłopiec, jeden w drugim, trudno ich rozróżnić, w końcu jest to aż wzruszające, nawet dla prawdziwego człowieka nauki, jakim był niewątpliwie doktor Atter-del w chwili gdy z zimną pewnością siebie, ale i cieniem czułości spojrzął w oczy barona Carewalla i powiedział Ja mogę uratować pańską córkę — on może uratować moją córkę — ale nie będzie to proste i w

pewnym sensie będzie też bardzo ryzykowne — ryzykowne? — to eksperyment, właściwie nie wiemy jeszcze, jakie może mieć efekty, sądzimy, że może być pomocny w takich

31 jak ten przypadkach, widzieliśmy to już szereg razy, ale nikt nie może na pewno powiedzieć... — otóż i kunsztowna pułapka nauki, niepojęte ścieżki łowów, partia, jaką ten czarno ubrany człowiek rozegra z podstępna i nieuchwytną chorobą dziewczynki zbyt kruchej, aby żyć, i zbyt żywej, aby umrzeć, dziwną chorobą, która jednak ma pewnego wroga i jest on straszny, to ryzykowne, lecz wspaniale lekarstwo, wręcz absurdalne, jeśli się zastanowić, tak absurdalne, że nawet człowiek nauki zniża głos w chwili, gdy patrząc w nieruchome oczy barona wymienia jego nazwę, jedno słowo, nic więcej, ale to właśnie to ratuje jego córkę, lub ją zabje, ale raczej ratuje, tylko jedno słowo, lecz na swój sposób nieskończone, wręcz magiczne, niewybaczalnie proste.

— Morze?

Oczy barona Carewalla są nadal nieruchome. Nigdzie, aż po sam kraj jego ziemi, nie ma w tej chwili równie czystego zdumienia jak to, które niepewnie kołacze w jego sercu.

— Pan ratuje moją córkę za pomocą morza?

5

Sam na środku plaży, Bartleboom patrzył. Boso, podwinąwszy nogawki dla ochrony przed wodą, z wielkim zeszytem pod pachą i w wełnianej czapce na głowie. Pochylony lekko do przodu, patrzył: w ziemię. Badał punkt, do którego fala, załamawszy się dziesięć metrów wcześniej, docie-

32

rała — przekształcona w lustro czy plamę oleju — lekkim wzniesieniem plaży, by w końcu zatrzymać się — ostatni rąbek obrzeżony delikatnym perlage — i po króciutkiej chwili wahania, pokonana, rozpocząć elegancki odwrót ześlizgując się do tyłu drogą powrotną, która, na pozór łatwa, w rzeczywistości czyniła ją ofiarą łapczywego, chłonnego jak gąbka piasku, co, dotychczas bezczynny, budził się nagle i krótki bieg cofającej się wody obracał w nicość.

Bartleboom patrzył.

W niedoskonałym kręgu jego pola widzenia, doskonałość tego wahadłowego ruchu zdawała się zapowiadać coś, czego spełnienie niepowtarzalna forma każdej

pojedynczej fali czyniła niemożliwym. Nie dało rady zatrzymać tych nieustannie następujących po sobie aktów tworzenia się i znikania. Jego oczy szukały możliwej do opisanego i ujęcia w reguły prawdy pewnego i kompletnego obrazu: ale kończyło się to śledzeniem nieustannego, niepochwytanego ruchu tam i z powrotem, który łudził i wykpiwał każde naukowe spojrzenie.

To było irytujące. Należało coś zrobić. Bartleboom zatrzymał wzrok. Wbił oczy w miejsce przed swoimi stopami, obejmując spojrzeniem niemy i nieruchomy skrawek plaży. I postanowił czekać. Należało skończyć ze śledzeniem tej męczącej huśtawki. Jeśli Mahomet nie przyjdzie do góry i tak dalej, pomyślał. Wcześniej czy później — w polu tego spojrzenia, które uważał za niezwykle w swoim

naukowym

opanowaniu — mu-

3 — Ocean morze

33

si zjawić się wyraźny, obrzeżony pianą zarys oczekiwanej fali. I tu zastygnie na zawsze, jak pieczęć, w jego głowie. A on ją zrozumie. Tak wyglądał jego plan. Z pełnym samozaparciem Bartle-boom znieruchomiał bez czucia, przekształcając się, by tak rzec, w obojętny i niezawodny instrument optyczny. Przestał prawie oddychać. W nieruchomym kręgu jego spojrzenia zapadła laboratoryjna, nierealna cisza. To było jak pułapka, niewzruszona i cierpliwa. Czekająca na zdobycz. I w końcu zdobycz przyszła. Dwa damskie buciki. Wysokie, ale damskie.

— Pan jest zapewne Bartleboom. Bartleboom, prawdę mówiąc, oczekiwał fali. Lub czegoś w tym rodzaju. Podniósł wzrok i ujrzał kobietę owiniętą eleganckim liliowym płaszczem.

— Bartleboom, tak... profesor Ismael Bartleboom.

— Czy pan coś zgubił?

Bartleboom zdał sobie sprawę, że nadal pochyla się do przodu, zeszytniały w naukowej formie instrumentu optycznego, w który się przemienił. Wyprostował się z całą naturalnością, do jakiej był zdolny. Bardzo wątpliwej.

— Nie. Pracuję.

— Pracuje pan?

— Tak, prowadzę... prowadzę badania, wie pani, badania...

— Aha.

— Badania naukowe, chcę powiedzieć.

— Tak.

Milczenie. Kobieta owija się szczelniej swoim liliowym płaszczem.

34

— Muszle, porosty, coś w tym rodzaju?

— Nie, fale.

Po prostu: fale.

— To znaczy... widzi pani, tu, gdzie dociera woda... zalewa plażę, a potem zatrzymuje się... otóż to, właśnie ten punkt, w którym się zatrzymuje... to trwa tylko chwilę, proszę spojrzeć, o tam, na przykład... widzi pani, że to trwa tylko chwilę, potem znika, ale gdyby komuś udało się zatrzymać tę chwilę... gdy woda przystaje, ten punkt, ten łuk... i ja właśnie to badam... To, gdzie woda

się zatrzymuje.

— A co tu jest do badania?

— No cóż, to ważny punkt... czasem nie zwraca się na to uwagi, ale jak pomyśleć, zachodzi tu coś niezwykłego, tak... niezwykłego.

— Doprawdy?

Bartleboom pochylił się lekko w stronę kobiety. Można by pomyśleć, że chce jej wyznać sekret, gdy powiedział

— Tam kończy się morze.

Morze ogromne, ocean morze, które biegnie w nieskończoność poza granice wszelkiego wzroku, olbrzymie, wszechmocne morze — w jakimś kończy się miejscu i

w jakiejś chwili — ogromne morze — w maleńkim miejscu, w nieistotnej chwili. To właśnie chciał powiedzieć Bartleboom. Kobieta przebiegła wzrokiem po wodzie, która prześlizgiwała się niedbale, tam i z powrotem, po piasku. Kiedy podniosła oczy na Bartlebooma, w oczach tych był uśmiech.

— Nazywam się Ann Deveria.

35

— Bardzo mi miło.

— Ja też mieszkam w hotelu Almayer.

— To wspaniała wiadomość.

Wiał, jak zwykle, północny wiatr. Dwa damskie buciki przecięły to, co było laboratorium Bartle-booma, i oddaliły się o parę kroków. Po czym przystanęły. Kobieta odwróciła się.

— Napije się pan ze mną herbaty dziś po południu, prawda?

Niektóre rzeczy Bartleboom widział tylko w teatrze. A w teatrze odpowiadano zawsze:

— Z przyjemnością.

— Encyklopedia granic?

— Tak... pełny tytuł będzie brzmiał Encyklopedia granic spotykanych w naturze z suplementem poświęconym granicom ludzkich możliwości.

— I pan ją właśnie pisze...

— Tak.

— Sam.

— Tak.

— Mleka?

Bartleboom pijał zawsze herbatę z cytryną.

— Tak, dziękuję... mleka. Obłok.

Cukier.

Łyżeczka.

Łyżeczka obracająca się w filiżance.

Łyżeczka znieruchomiała.

Łyżeczka na spodku.

Ann Deveria, naprzeciw niego, słucha.

36

— Natura jest zadziwiająco doskonała, a jest to wynik sumy pewnych granic.

Natura jest doskonała, bo nie jest nieskończona. Jeśli ktoś zrozumie, jakie są granice, zrozumie, jak działa mechanizm. Wszystko polega na tym, by znać granice. Proszę wziąć na przykład rzeki. Rzeka może być długa, bardzo długa, ale nie może być nieskończona. Aby cały system mógł funkcjonować, rzeka musi mieć koniec. A ja badam, jaką długość może osiągnąć, zanim dojdzie do końca. 864 kilometry. To jedno z haseł, które już napisałem: „Rzeki”. Zajęło mi to sporo czasu, jak pani rozumie. Ann Deveria rozumiała.

— Na przykład liść drzewa; jeśli mu się przyjrzeć, to cały wszechświat, bardzo skomplikowany, ale skończony. Największe liście można znaleźć w Chinach: metr i 22 centymetry szerokości, dwa razy tyle, mniej więcej, długości. Ogromny, ale nie nieskończony. Jest w tym ściśle określona logika: większy liść mógłby rosnać tylko na jakimś ogromnym drzewie, a tymczasem najwyższe drzewo, które rośnie w Ameryce, nie przekracza 86 metrów, co jest na pewno wysokością znaczną, ale zupełnie niewystarczającą dla utrzymania ograniczonej choćby, bo z pewnością byłaby ograniczona, liczby liści większych od tych, jakie znajduje się w Chinach. Widzi pani w tym logikę? Ann Deveria widziała.

— To badania męczące i trudne, nie sposób zaprzeczyć, ale ważne jest, by to zrozumieć. Opisać. Ostatnim hasłem, jakie napisałem, były „Zachody”. Wie pani, to genialne, że dni się kończą.

37

To genialny system. Dni, a potem noce. I znowu dni. Wydaje się to oczywiste, ale jest w tym coś genialnego. A tam, gdzie natura postanawia wytyczyć własne granice, zaczyna się spektakl. Zachody. Badałem je przez całe tygodnie. Niełatwo jest zrozumieć zachód. Ma swój rytm, swoją miarę, swoje barwy. A ponieważ nie ma ani jednego zachodu, ani jednego mówię, który byłby identyczny z drugim, uczony musi umieć odrzucić szczegóły i wyodrębnić esencję, tak by móc powiedzieć t o jest zachód, zachód jest taki. Nudzę panią?

Ann Deveria nie nudziła się. To znaczy: nie bardziej niż zwykle.

— I tak oto teraz doszedłem do morza. Morze. Ono też się kończy, jak wszystko inne, ale, widzi pani, tutaj też jest trochę tak jak z zachodami, trudność polega na tym, by wyodrębnić ideę, czyli połączyć całe kilometry skał nadmorskich, brzegów, plaży w jeden obraz, w pojęcie, które by oznaczało koniec morza, coś, co by można zapisać w kilku liniijkach, co by się mogło znaleźć w encyklopedii, by czytający to ludzie mogli zrozumieć, że morze się kończy i jak się kończy, niezależnie od wszystkiego, co może się dzieć dokoła, niezależnie od...

— Bartleboom...

— Tak?

— Proszę mnie spytać, dlaczego tu jestem. Ja. Milczenie. Zakłopotanie.

— Nie spytałem pani o to, prawda?

— Proszę zapytać teraz.

38

— Dlaczego pani tu jest, madame Deveria?

— Żeby się wyleczyć.

Znowu zakłopotanie, znowu milczenie. Bartleboom bierze filiżankę, podnosi ją do

ust. Pusta. Nieważne. Odstawia ją.

— Wyleczyć z czego?

— To dziwna choroba. Wiarołomstwo.

— Proszę?

— Wiarołomstwo, Bartleboom. Ja zdradziłam mojego męża. I mój mąż sądzi, że klimat morski uśpi namiętności, że widok morza ożywi zasady etyczne, a nadmorska samotność każe mi zapomnieć o kochanku.

— Naprawdę?

— Co naprawdę?

— Naprawdę zdradziła pani swego męża?

— Tak.

— Jeszcze trochę herbaty?

Położony na samej krawędzi świata, o krok od końca morza, hotel Almayer i tego wieczoru pozwolił ciemności wyciszyć stopniowo kolory swych murów: i całej ziemi,

i całego oceanu. W swej samotności wydawał się jakby zapomniany. Jak gdyby pewnego dnia, gdy przeciągała tędy, wzdłuż morza, procesja hoteli, wszelkiego rodzaju i wieku, jeden oderwał się od niej, zmęczony, i pozwoliwszy się wyminąć towarzyszom podróży, postanowił zatrzymać się na tym niskim pagórku, by tu, poddawszy się własnej słabości, z opuszczoną głową oczekiwać końca. Taki był hotel

39

Almayer. Posiadał tę urodę, do której zdolni są tylko pokonani. I pogodę rzeczy słabych. I doskonałą samotność rzeczy zagubionej. Malarz Plasson wrócił niedawno, przemoczony, ze swymi płótnami i farbami, siedząc na dziobie małej łódki pędzonej wiosłami przez rudowłosego chłopaczka.

— Dziękuję, Doi. Do jutra.

— Dobranoc, panie Plasson.

Jak to się stało, że Plasson nie zmarł jeszcze na zapalenie płuc, to prawdziwa zagadka. Ktoś, kto całymi godzinami stoi w północnym wietrze z mokrymi nogami, w

spodniach zalewanych przyplływem, wcześniej czy później musi umrzeć.

— Najpierw musi skończyć swój obraz — orzekła Dira.

— Nie skończy go nigdy — mówiła madame De-veria.

— Wobec tego nigdy nie umrze.

W pokoju numer 3 na pierwszym piętrze naftowa lampa oświetlała łagodnie — rozsiewając tajemnicę w krąg wieczoru — piękny dowód oddania profesora Ismaela Bartlebooma.

Moja ukochana,

Bóg jeden wie, jak bardzo o tej pełnej melancholii porze brakuje mi Pani obecności, jaką pociechą byłby dla mnie Pani uśmiech. Praca mnie męczy, morze buntuje się przeciw moim upartym próbom zrozumienia go. Nie myślałem, że tak trudno będzie stanąć przed nim twarzą w twarz. I tak krążę, z moimi przyrządami i zeszytami, nie

40

mogąc znaleźć początku tego, czego szukam, furtki do jakiegokolwiek odpowiedzi. Gdzie zaczyna się koniec morza? Czy wręcz: o czym mówimy, gdy mówimy: morze? Mówimy o ogromnym monstrum zdolnym pożreć wszystko, cokolwiek by to było, czy o tej fali, która pieni się wokół naszych stóp? O wodzie, którą można zawrzeć w zagłębieniu dłoni, czy o otchłani, której nikt nie może zobaczyć? Nazywamy wszystko jednym słowem, czy w jednym słowie wszystko kryjemy? Jestem tutaj, o krok od morza, a nawet nie mogę zrozumieć, gdzie ono jest. To morze. Morze. Dzisiaj poznałem przepiękną kobietę. Ale proszę nie być zazdrosną. Ja żyję tylko dla Pani.

Ismael A. Ismael Bartleboom.

Pisał z pogodną łatwością, Bartleboom, nie przerywając ani na chwilę, i z powolnością, której nic nie byłoby w stanie zakłócić. Lubił myśleć, że pewnego dnia w taki sam sposób ona będzie go pieścić.

W półmroku, długimi, szczupłymi palcami, które niejednego mężczyznę doprowadziły

do szaleństwa, Ann Deveria muskała perły swego naszyjnika — różańca pragnień — ruchem podświadomym, którym zwykła powstrzymywać własny smutek. Patrzyła na gasnący w lampie płomyk, śledząc od czasu do czasu w lustrze własną twarz odrysowaną beznadziejnym wysiłkiem niknącego światła. Korzystając z tych ostatnich zrywów płomienia podeszła do łóżka, gdzie pod kołdrą, najspokojniej w świecie, spała prześliczna dziewczynka.

41

czynka. Ann Deveria popatrzyła na nią — ale było to spojrzenie, dla którego patrzeć jest określeniem zbyt mocnym — cudowne spojrzenie, które oznacza widzieć bez zastanowienia, po prostu widzieć — tak jakby dwie rzeczy dotknęły się tylko nawzajem — oczy i obraz — spojrzenie, co nie bierze, lecz przyjmuje, przy całkowitym milczeniu rozumu, jedyne spojrzenie, jakie mogłoby nas naprawdę uratować — nie skażone żadnym pytaniem, nie tknięte nałogiem poznawania — sama

niewinność, która mogłaby zapobiec ranom zadawanym przez rzeczy wdzierające się z zewnątrz w krąg naszego słyszenia — widzenia — odczuwania — bo byłoby jedynie

cudownym jawieniem się przed nami, my i obrazy, i przyjmowaniem przez oczy całego świata — przyjmowaniem — bez pytania i bez zdziwienia — przyjmowaniem

—

tylko — przyjmowaniem — w oczy — świata. W ten sposób potrafią jedynie patrzeć oczy Madonn, pod łukami kościołów, na anioły zstępujące ze złotych niebios w czas Zwiastowania. Ciemno. Ann Deveria przyciska się do nagiego ciała dziewczynki w ukryciu swego łóżka, pod kopułą lekkich jak chmury kołder. Jej palce przesuwają się po tej niewiarygodnej skórze, a usta w najbardziej ukrytych fałdkach szukają ciepłego smaku snu. Ann Deveria porusza się wolno. Taniec w zwolnieniu, który powoli rozpuszcza coś w głowie i między nogami, i wszędzie. Nic lepiej jak taki taniec nie pozwala wirować ze snem na parkiecie nocy.

42

Ostatnie światło, w ostatnim pokoju, gaśnie. Tylko niepowstrzymana maszyna morza nadal szarpie ciszę powtarzającymi się regularnie eksplozjami nocnych fal, dalekim wspomnieniem lunatycznych burz i tonących w snach okrętów. Noc nad hotelem Almayer. Nieruchoma noc.

Bartleboom obudził się zmęczony i w złym humorze. Przez długie godziny, we śnie, prowadził pertraktacje w sprawie zakupu katedry w Chartres z pewnym włoskim kardynałem, otrzymując w końcu jakiś klasztor w okolicach Asyżu za wygórowaną cenę szesnastu tysięcy koron plus noc z Dorotheą, jego kuzynką, i czwartą część hotelu Almayer. Na dodatek pertraktacje odbywały się na okręcie zdanym niebezpiecznie na łaskę fal i prowadzonym przez dżentelmena, który twierdził, że jest mężem madame Deveria i przyznawał ze śmiechem — ze śmiechem — że zupełnie

nie zna się na morzu. Obudził się wyczerpany. Nie zdumiał go widok znajomego chłopczyka, który, siedząc okrakiem na parapecie, nieruchomo patrzył na morze. Ale poczuł konsternację, gdy chłopczyk, nie odwracając się nawet, powiedział — Tamtemu to ja bym powiedział, żeby się zabierał razem ze swoim klasztorem. Bartleboom zszedł z łóżka, bez słowa wziął chłopca za ramię, ściągnął go z parapetu, wypchnął za drzwi i powłókł na dół krzycząc

43

— Panno Diro!

po czym, stoczywszy się po schodach, wylądował na parterze, gdzie

— PANNO DIRO!

znalazł wreszcie to, czego szukał, to znaczy recepcję — jeśli można ją tak nazwać — słowem, trzymając mocno chłopczyka, dotarł przed oblicze panny Diry — dziesięć lat, ani roku więcej — gdzie zatrzymał się ostatecznie z groźną miną, którą łagodziła ludzka słabość żółtej nocnej koszuli i bojkotowało zestawienie z wełnianą, luźnym ścięciem dzierganą szlafmycą.

Dira podniosła oczy znad rachunków. Oni dwaj

— Bartleboom i chłopczyk — stali przed nią na bacność. Odezwali się kolejno, jakby recytowali wyuczone role.

— Ten chłopiec czyta w snach.

— Ten człowiek mówi przez sen.

Dira wróciła do swoich rachunków. Nie podniosła nawet głosu.

— Znikajcie. Znikli.

6

Bo baron Carewall nigdy morza nie widział. Jego ziemie to były ziemie: kamienie, wzgórza, moczary, pola, urwiska, góry, lasy, polany. Ziemie. Morza tam nie było. Morze było dla niego pojęciem. Czy raczej szlakiem wyobraźni. Było czymś, co rodziło się w Morzu Czerwonym — przełamanym na pół rę-

44

kami Boga — powiększało się w myśli o potop i w nim ginęło, by odnaleźć się potem w pękatym zarysie arki, prowadzącej od razu myśli ku wielorybom — których nigdy nie widział, lecz często sobie wyobrażał — skąd przepływało, znów dość wyraziste, w tych kilka historii, jakie do niego dotarły, o potwornych rybach, smokach i podwodnych miastach, w crescendo fantastycznego przepychu, który

kurczył się nagle w ostre rysy twarzy jego przodka — patrzącego niezmiennie z ram w przyległej galerii — który, jak powiadano, był najemnikiem u boku Vasco da Gamy: w jego nieco okrutnych oczach myśl o morzu błędziła niebezpieczną drogą, odbijała się od niepewnych kronik korsarskich ekscesów, zahaczała o cytaty ze świętego Augustyna stwierdzający, że ocean jest domem szatana, cofała na dźwięk pewnego imienia — Thessala — które być może było nazwą zatopionego statku, a może imieniem niańki opowiadającej historie o wojnach i okrętach, ocierała się o zapach pewnych tkanin, przybyłych aż tu z dalekich krain, i jawiła w świetle oczu pewnej kobiety zza morza, którą napotkał raz przed laty i nigdy więcej nie widział, by wreszcie, na końcu tej długiej morskiej podróży myśli, zatrzymać się na zapachu owocu rosnącego, jak mu powiedziano, tylko nad brzegiem morza, w południowych krajach: jedząc go czuło się smak słońca. Ponieważ baron Carewall nigdy go nie widział, morze podróżowało w jego myślach jak pasażer na gapę na pokładzie żaglowca stojącego w porcie ze zwiniętymi żaglami: niegroźne i niepotrzebne.

45

Mogłoby tam zostać na zawsze. Ale wypłoszyły je nagle słowa czarno ubranego człowieka nazwiskiem Atterdel, werdykt bezlitosnego człowieka nauki, wezwanego, by dokonał cudu. — Ja uratuję pańską córkę. I zrobię to z pomocą morza. Prosto w morze. To nie do wiary. Cuchnące i zgniłe morze, zbiornik wszelkich okropności, bezdenny potwór ludożerca — antyczny i pogański — od zawsze budzący

lęk, a tu nagle

zapraszają cię jak na przechadzkę, zalecają, bo to jest kuracja, popychają z bezlitosną uprzejmością

prosto w morze. To kuracja bardzo dziś modna. Morze najlepiej zimne, silnie zasolone i niespokojne, bo fala stanowi składową część kuracji i to właśnie dlatego, że budzi obawę, którą można pokonać technicznie i opanować moralnie w tym groźnym, jak pomyśleć, naprawdę groźnym pojedynku. Wszystko w imię pewności

— powiedzmy przekonania — że wielkie łono morza jest w stanie zniszczyć otoczkę choroby, uaktywnić kanały życia, wzmóc zbawienne wydzielanie gruczołów centralnych i obwodowych

idealny masaż dla hydrofobów, melancholików, impotentów, anemików, samotników, śledzienników, zawistnych

i wariatów. Jak ten wariat, którego zawieźli do Brixton

46

pod nieprzeniknionym okiem doktorów i uczonych i zanurzyli siłą w lodowatej, wzburzonej od fal wodzie, a potem wyciągnęli i po zmierzeniu wszystkich reakcji i kontrreakcji zanurzyli znowu, siłą, ma się rozumieć,

osiem stopni w stustop-niowej skali, głowa pod wodą, on wyłania się jak krzyk, ze zwierzęcą siłą, z którą uwalnia się od pielęgniarzy i innych pomocników, pływaków doświadczonych, lecz bezsilnych wobec ślepej furii zwierzęcia, które ucieka — ucieka — biegnąc po wodzie nago i próbując wykrzyczeć wściekłość tej śmiertelnej męki, wstydu, panicznego strachu. Cała plaża zastygła ze wzburzenia

na widok tego zwierzęcia, co biegnie i biegnie, a kobiety z daleka odwracają
oczy, choć z pewnością chciałyby zobaczyć, jakże chciałyby zobaczyć biegnącą
bestię i, powiedzmy to sobie, jej nagość, właśnie tę niespójną nagość chwiejącą
się w morzu, wręcz piękną w tym szarym świetle, piękną, co przenika lata
świątobliwej edukacji, pensji, rumieńców wstydu i zdąża prosto tam, gdzie zdążyć
powinna, pnie się w górę nerwami nieśmiały kobiet, co w tajemnicy wielkich i
czystych spódnic

kobiet. Wydało się nagle, że morze wyczekiwało ich od zawsze. Jeśli wierzyć
lekarzom, tkwi tak od tysiącleci, doskonaląc się cierpliwie w tym tylko celu, by
zaofiarować się jako cudowny balsam na ich cierpienia, cierpienia duszy i ciała.
Jak to powtarzali w nienaganych salonach nienagannym mężom i ojcom nie-
47

naganni lekarze, popijając herbatę i ważąc słowa, by wyjaśnić, z niedorzeczną
uprzejmością, że ohyda morza i szok, i przerażenie są w istocie rzeczy łagodną
kuracją na bezpłodność, anoreksję, wyczerpanie nerwowe, menopauzę,
nadpobudliwość, bezsenność. Idealne doświadczenie leczące niepokoje młodości i
przygotowujące do trudów kobiecych powinności. Uroczysty chrzest dla dziewcząt,
które stają się kobietami. Tak, że jeśli zapomnieć na chwilę o wariacie z morza
w Brixton

(wariat biegi nadal, ku otwartemu morzu, aż zniknął z oczu, casus naukowy, który
wymknął się statystykom akademii medycznej i spontanicznie powierzył wnętrzu
oceanu morza)

jeśli

zapomnieć o nim

(wchłonięty przez wielkie wodne jelito i nie zwrócony nigdy plaży, nie wydany
na świat, jakby można było oczekiwać, w postaci bezkształtnego, sinego pęcherza)
można by pomyśleć o kobiecie — kobiecie — szanowanej, kochanej, matce,
kobiecie.

Z jakiegoś powodu — choroby — zawiedziona nad morze, którego inaczej nigdy by
nie ujrzała, a które teraz wskazuje drogę jej wyzdrowienia, bezkresną zaiste i
niezrozumiałą w jej oczach. Ma rozpuszczone włosy i nagie stopy, i to nie jest
bez znaczenia, to absurdalne, razem z tą krótką białą tuniką i pantalonami
odslaniającymi kostki, można odgadnąć linię jej szczupłych bioder, to absurdal-
48

ne, tylko jej małżeńska komnata widywała ją taką, a przecież taka właśnie stoi
na ogromnej plaży, gdzie powietrze nie jest stojące i lepkie, jak wokół
małżeńskiego łóżka, gdzie od morza wieje wiatr niosący wezwanie do dzikiej
wolności, odrzuconej, zapomnianej, stłumionej, wzgardzonej, odkąd stała się
matką, żoną, ukochaną kobietą. I to jest jasne: nie może tego nie czuć. Ta
pustka wkoło bez ścian i zamkniętych drzwi, a przed nią tylko to bezkresne,
podniecające lustro wody, już to samo byłoby świętem dla zmysłów, orgią dla
nerwów, a przecież jeszcze wszystko ma się zdarzyć, okowy lodowatej wody, strach,
płynny uścisk morza, dreszcz na skórze, serce w gardle...

Prowadzą ją ku wodzie. Na twarz jej sływa — wspaniałe ukrycie — jedwabna
maska.

Zresztą o trupa wariata z Brixton nikt nigdy się nie upomniał. To trzeba przyznać. Lekarze prowadzili doświadczenia, to trzeba zrozumieć. Krążyły niewiarygodne pary, chorzy i ich lekarze, chorzy bladzi, eleganccy, zżerani chorobą z boską powolnością, i lekarze jak szczury w piwnicy, szukający objawów, dowodów, numerów i cyfr: szpiegujący posunięcia choroby próbującej bezładnej ucieczki z zasadzki paradoksalnej kuracji. Pili morską wodę, do tego doszło, wodę, która wczoraj jeszcze była czymś odrażającym i ohydny, domeną wyrzutków i

barbarzyńców o skórze spalonej słońcem, upodlającą nieczystością. Popijali ją ci sami boscy inwalidzi, którzy,

4 — Ocean morze

49

przechadzając się skrajem plaży, powłóczyli lekko jedną nogą, symulując zadziwiająco szlachetne kalectwo, byle tylko uchylić się przed pospolitym zwyczajem stawiania nogi jedna przed drugą. Wszystko było kuracją. Ktoś znajdował żonę, inni pisali poezje; świat, ten sam co zawsze — odrażający, jeśli mu się dobrze przyjrzeć — przeniesiony został nagle, w celach czysto medycznych, na skraj otchłani przez całe wieki budzącej odrazę, a teraz, z wyboru i rozsądku, obrany na promenadę cierpienia.

Kąpiel w fa-1 i, jak mówili lekarze. Istniało nawet urządzenie, bardzo poważne, rodzaj opatentowanej lektyki służącej wchodzeniu do morza, dla pań, naturalnie, pań i panienek, które chronić miała przed niedyskretnymi spojrzeniami. Panie wsiadały do lektyki zamkniętej ze wszystkich stron firankami w stonowanych kolorach — kolorach nie nazbyt widocznych, by tak rzec — po czym zanoszone były w morze, kilka metrów od brzegu, gdzie wysiadały z lektyki trzymanej nad samą wodą i niczym lekarstwa zażywały kąpieli, prawie niewidoczne zza swoich powiewających na wietrze firanek, lektyki jak pływające tabernakulum z firankami, jak ornament jakiejś ceremonii z niewyjaśnionych przyczyn zagubionej w wodzie, prawdziwy spektakl dla patrzących z plaży. Kąpiel w fali.

Tylko nauka może dokonać pewnych rzeczy, oto cała prawda. Odrzucić wieki obrzydzenia — ohydy morza, kolebki zniszcze-

50

nia i śmierci — i wymyślić tę idyllę, która powoli rozprzestrzenia się na wszystkie plaże

świata. Ozdrowienie jak

miłość. I jeszcze to: pewnego dnia na plaży w Depper fala wyrzuciła na brzeg łódkę, wrak, niewiele więcej niż szczątek łodzi. I byli tam oni, uwiedzeni przez chorobę, rozsypani na kilometrowym brzegu w oczekiwaniu na zespolenie z morzem, elegancki haft na piasku jak okiem sięgnąć, każdy w swojej bańce emocji, pożądania i strachu. Nie obrażając nauki, która ich tam wezwwała, wszyscy zeszedli z nieba na ziemię i wolnym krokiem ruszyli ku temu wrakowi, który niezdecydowanie pogrążał się w piasek, jak posłaniec lękający się wejść. Zbliżyli się. Wyciągnęli go na ląd. I zobaczyli. Leżącego na dnie łodzi, z oczami zwróconymi ku górze i ręką wyciągniętą do przodu, jakby chciała podać coś, czego już nie było. Zobaczyli go:

świętego. Figura była z drewna. Kolorowa. Płaszcz opadał do samych stóp, szyję przecinała rana, ale twarz zdawała się o tym nie wiedzieć i spoczywała łagodnie w boskim spokoju. Nic więcej — w łodzi — poza świętym. Tylko on. I wszyscy instynktownie podnieśli oczy, szukając przez chwilę na powierzchni oceanu zarysu kościoła, co zrozumiałe, ale i nieracjonalne, nie było tam żadnych kościołów, nie było krzyży ani ścieżek, morze jest bez dróg, morze nie daje wyjaśnień. Spojrzenia dziesiątków inwalidów i kobiet, wy-

51

niszczonych, pięknych i dalekich, spojrzenia podobnych myszom lekarzy, pomocników i służących, starych podglądaczy, ciekawskich, rybaków, małych dziewczynek — i święty. Wszyscy ci ludzie głęboko zaskoczeni i on. Konsternacja. Na plaży w Depper, pewnego dnia. Nikt nigdy nie zrozumiał. Nigdy.

— Proszę ją zawieźć do Daschenbach, to idealna plaża do takich kąpeli. Trzy dni. Jedno zanurzenie rano i jedno po południu. Proszę się zwrócić do doktora Tavernera, on załatwi wszystko co trzeba. Tu jest list polecający do niego. Proszę. Baron wziął -list nawet na niego nie patrząc.

— Ona umrze ?&- powiedział.

— To możliwe.4*Ale wysoce nieprawdopodobne. Tylko wielcy lekarze potrafią być tak cynicznie precyzyjni. Atterdel był największym.

— Postawmy sprawę tak, panie baronie: może pan trzymać tę dziewczynkę przez całe lata tutaj, gdzie będzie chodzić po białych dywanach i spać pośród fruujących ludzi. Ale pewnego dnia jakieś wzruszenie, którego nie będzie pan w stanie przewidzieć, zabije ją na dobre. Amen. Albo podejmie pan ryzyko, postąpi zgodnie z moimi zaleceniami i zda się na Boga. Morze odda panu córkę. Być może martwą. Ale jeśli żywą, to żywą naprawdę.

Cynicznie precyzyjny.

52

Baron siedział nadal nieruchomo, z listem w ręku, tkwiącym w pół drogi między nim a czarno ubranym lekarzem.

— Pan nie ma dzieci.

— To nie ma żadnego znaczenia.

— W każdym razie nie ma ich pan. Spojrzał na list i położył go na stole.

— Elisewin zostanie tutaj. Chwila milczenia, ale tylko chwila.

— W żadnym wypadku.

To był ojciec Pluchę. W rzeczywistości zdanie, jakie uformowało się w jego mózgu, było bardziej złożone i brzmiało w przybliżeniu: „Może należałoby odłożyć decyzję i przemyśleć spokojnie to, co...”: coś takiego. Ale „W żadnym wypadku” było oczywiście zdaniem zręczniejszym i szybszym i bez wysiłku wyslizgnęło się z zawilej sieci tamtego, wypływając na powierzchnię milczenia niczym nieoczekiwana i nieprzewidziana boja.

— W żadnym wypadku.

Po raz pierwszy w ciągu szesnastu lat ojciec Pluchę odważył się sprzeciwić baronowi w sprawie dotyczącej życia Elisewin. Poczł dziwne upojenie: jakby przed chwilą rzucił się z okna. A że był człowiekiem obdarzonym pewnym zmysłem praktycznym, zważywszy że był już w powietrzu, postanowił spróbować skrzydeł.

— Elisewin pojedzie nad morze. Ja ją tam zawiozę. I jeśli będzie trzeba, zostaniemy tam kilka miesięcy, lat, póki ona nie znajdzie sił, by zmierzyć się z wodą i całą resztą. I w końcu wróci: żywa. Każda inna decyzja byłaby idiotyzmem,

go-

53
rzej: tchórzostwem. Chociaż Elisewin się boi, my nie powinniśmy się bać, i ja bać się nie będę. Jej nie obchodzi śmierć. Ona chce żyć. I będzie miała to, czego chce.

To nie do wiary, co mówił ojciec Pluchę. Nie do wiary, że on to mówił.

— Pan, doktorze Atterdel, nie rozumie nic a nic ludzi, i ojców, i dzieci, nic a nic. I dlatego ja panu wierzę. Prawda jest zawsze nieludzka. Jak pan. Ja wiem, że pan się nie myli. Współczuję panu, ale podziwiam pańskie słowa. I ja, który nigdy nie widziałem morza, pojedę nad morze, bo tak mi pańskie słowa każą. To coś najbardziej absurdalnego, śmiesznego i bezsensownego, co mogło mi się przytrafić. Ale nie ma takiego człowieka, w całym Carewall, który mógłby mi w tym przeszkodzić. Nikogo.

Wziął list ze stołu i włożył go do kieszeni. Serce biło mu jak szalone, trzęsły mu się ręce, a w uszach dziwnie szumiało. Nie ma się co dziwić, pomyślał: nie co dzień udaje ci się wznieść na skrzydłach.

W tym momencie mogło się zdarzyć wszystko. Są doprawdy chwile, w których wszechobecny i logiczny ciąg przypadków poddaje się, zaskoczony przez życie, i schodzi na widownię, w tłum, a na scenie, w świetle niespodziewanej, zawrotnej swobody, niewidzialna ręka zanurza się w nieskończoną głąb możliwości i spośród miliona spraw dobywa jedną, której pozwala się wydarzyć. W milczącym trójkącie tych trzech mężczyzn przesunęły się wszystkie możliwe zdarzenia, całe

54

miliony, długa procesja, i trwało to mgnienie oka, a gdy przygasł blask i opadł kurz, w kręgu tego czasu i tej przestrzeni pozostał tylko jeden drobny przypadek, który próbował się nieśmiało wydarzyć. I wydarzył się. Wydarzyło się, że baron — baron Carewall — zaczął płakać, nie kryjąc nawet twarzy w dłoniach, odchyliwszy się tylko na oparcie swego wspaniałego fotela, jak gdyby pokonany zmęczeniem, ale i wyzwolony od wielkiego ciężaru. Jak człowiek wykończony, ale uratowany. Baron Carewall płakał. Jego łzy.

Ojciec Pluchę bez ruchu. Doktor Atterdel bez słowa. I nic więcej.

To wszystko sprawy, o których nikt nigdy na ziemiach Carewall nie miał się dowiedzieć. Ale wszyscy bez wyjątku dziś jeszcze opowiadają o tym, co zdarzyło się potem. Radość tego, co wydarzyło się potem.

— Elisewin...

— Cudowna kuracja...

— Morze...

— To szaleństwo...

— Wyzdrowieje, zobaczysz.

— Umrze...

— Morze...

Morze — jak zobaczył baron na rysunkach geografów — było dalekie. Ale przede

wszystkim —

55

jak zobaczył w swoich snach — było straszne, przesadnie piękne, straszliwie silne — nieludzkie i wrogie — cudowne. A poza tym to były inne kolory, niespotykane dotychczas zapachy, nieznanne dźwięki — inny świat. Patrzył na Elisewin i nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłaby się do tego wszystkiego zbliżyć nie zatracając się w nicości, nie rozplywając w powietrzu z niepokoju i zaskoczenia. Myślał o tej chwili, w której odwróci się nagle i jej oczy uderzy widok morza. Myślał o tym przez całe tygodnie. I w końcu zrozumiał. W gruncie rzeczy nie było to trudne. Nie do wiary, że nie pomyślał o tym wcześniej.

— Jak dojedziemy do morza? — zapytał go ojciec Pluchę.

— To ono po was przyjedzie.

I tak wyruszyli, pewnego kwietniowego ranka, przemierzyli pola i wzgórza i o zachodzie piątego dnia dotarli nad rzekę. Nie było tam żadnej wsi, żadnych domów, nic. Ale na wodzie kołysał się cicho mały statek. Nazywał się „Adel”. Zazwyczaj pływał po wodach oceanu przewożąc bogactwa i nędzę, tam i z powrotem, między kontynentem a wyspami. Na dziobie miał figurę kobiecą z włosami opadającymi aż do stóp. Żagle kryły w sobie wszystkie wiatry dalekiego świata. Kil przez całe lata śledził morskie wnętrza. W każdym zakamarku nieznanne zapachy opowiadały historie, które marynarze wypisane mieli na twarzach. Był to dwumasztowiec. Baron Carewall chciał, by z morza przyplłynął rzeką aż tu.

— To szalony pomysł — napisał mu kapitan.

56

— Obsypię was złotem — odpowiedział baron. I oto, niczym duch, który nie trzyma się żadnego rozsądnego kursu, dwumasztowiec „Adel” stał tutaj. Na małym pomoście,

przy którym zazwyczaj cumowały nędzne łódki, baron przycisnął do siebie córkę i powiedział

— Żegnaj.

Elisewin milczała. Opuściła na twarz jedwabny welon, wsunęła ojcu w rękę kartkę, złożoną i zapieczętowaną, odwróciła się i poszła w stronę mężczyzn, którzy mieli ją zabrać na statek. Była już prawie noc. Mogło się to wręcz wydać snem. W ten sposób Elisewin spłynęła ku morzu w najłagodniejszy w świecie sposób — tylko umysł ojca mógł wymyślić coś takiego — niesiona prądem, w tańcu złożonym z zakrętów, pauz i wahań, którego rzeka nauczyła się w czasie swoich podróży przez wieki, mądra rzeka, jedyna, która знаła najpiękniejszą, łagodną i cichą, bezbolesną drogę do morza. Płynęli z powolnością ustaloną co do milimetra przez matczyną mądrość natury, wnikając powoli w świat zapachów, rzeczy i barw, które dzień po dniu odsłaniała powolutku daleka, a potem coraz bliższa obecność czekającej na nich wielkiej głębi. Zmieniało się powietrze, zmieniały zorze i nieba, i kształty domów, i ptaki, i dźwięki, i twarze ludzi na brzegu, i słowa ludzi na wargach. Woda sunąca ku wodzie, subtelne zaloty, zakola rzeczne jak monotonny śpiew duszy. Niedostrzegalna podróż. W głowie Elisewin tysiące wrażeń, ale lekkich jak piórka w locie.

Jeszcze dzisiaj na ziemiach Carewall wszyscy mówią o tej podróży. Każdy na swój sposób. Chociaż nikt jej nie widział. Ale to bez znaczenia. Nigdy nie przestaną o niej mówić. Bo nikomu nie może wyjść z głowy, jak by to było pięknie, gdyby do każdego oczekującego nas morza prowadziła jakaś rzeka. I ktoś — ojciec, kochanek, ktokolwiek — byłby zdolny ująć nas za rękę i znaleźć tę rzekę — wyobrazić ją sobie, wymyślić — i złożyć nas lekko na płynącej wodzie jednym słowem: żegnaj. To by było naprawdę cudowne. Życie, każde życie, byłoby przyjemne. I nic nie sprawiałoby bólu, wszystko przybliżałoby się niesione prądem i można by musnąć i dotknąć tego, co nas w końcu musiałyby dotknąć. Nawet zranić. Nawet zabić. Nieważne. Ale wszystko byłoby wreszcie ludzkie. Wystarczyłaby czyjaś fantazja — ojca, kochanka, kogokolwiek. Kto by umiał wymyślić drogę, tutaj, w środku tego milczenia, przez tę ziemię, która nie chce przemówić. Drogę łaskawą, i piękną. Drogę stąd do morza.

Obydwoje nieruchomi, z oczami utkwionymi w bezbrzeżną połąć wody.

Niewiarygodną.

Naprawdę. Można by tak stać całe życie, nic nie pojmując, lecz nie przestając patrzeć. Morze przed nimi, za nimi długa rzeka, pod nogami, nareszcie, ziemia. I oni, bez ruchu. Elisewin i ojciec Pluchę. Jak zaczarowani. Bez jednej myśli w głowie, prawdziwej myśli, po prostu osłupiali. Oczaro-

58

wani. I upłynęło wiele minut — wieczność — zanim wreszcie Elisewin, nie odrywając oczu od morza, zapytała.

— Ale potem, w jakimś miejscu, kończy się? O setki kilometrów od nich, w samotności swego wielkiego zamku, mężczyzna przysuwa do świecy kartkę i czyta. Kilka słów, wszystkie w jednej linijce. Czarny atrament.

Me bój się. Ja się nie boję. Kochająca Elisewin.

Kareta zabierze ich w końcu, bo jest wieczór i oczekują ich w hotelu. Krótka podróż. Droga wzdłuż plaży. Wokół nikogo. Prawie nikogo. W morzu — co on robi

w

morzu? — jakiś malarz.

7

Na Sumatrze, przed północnym wybrzeżem Pan-gei, co siedemdziesiąt sześć dni wyłaniała się wysepka w formie krzyża, pokryta gęstą roślinnością i na pozór niezamieszкана. Była widoczna przez parę godzin, potem zapadała się znowu w morze. Na plaży w Carcais miejscowi rybacy znaleźli szczątki okrętu „Davemport”, który zatonął tydzień wcześniej w innej części świata, na morzu w pobliżu Cejlonu. W czasie kursu na Farhadher marynarzom ukazywały się dziwne, świetliste motyle wywołujące otępienie i melancholię. Na wodach Bogadoru zniknął konwój złożony z czterech okrętów wojennych pochłoniętych przez

59

jedną ogromną falę, która zjawiała się znikąd w dniu, gdy morze było gładkie jak lustro. Admirał Langlais przerzucał powoli te dokumenty nadesłane z najróżniejszych części świata, który, najwidoczniej, zazdrośnie strzeże swego szaleństwa. Listy, zakreślone fragmenty dzienników pokładowych, wycinki z gazet,

protokoły przesłuchań, poufne raporty, pisma z ambasad. Czego tam nie było. Lapidarny chłód komunikatów oficjalnych czy pijana wylewność marynarzy--wizjonerów tak samo wędrowały przez świat, by dotrzeć na to biurko, gdzie, w imieniu Królestwa, Langlais kreślił swoim gęsim piórem granicę między tym, co w Królestwie uznawane być winno za prawdę, a tym, o czym należy zapomnieć, bo jest kłamstwem. Ze wszystkich mórz na kuli ziemskiej, setki postaci i głosów ciągnęły procesją na to biurko, by poddać się werdyktowi ostremu jak linia czarnego atramentu, haftowanemu wyraźnym pismem w oprawnych w skórę księgach. Ręka Langlais'go była zatoką, w której kończyły się ich podróże. Jego pióro — ostrzem, któremu poddawali się utrudzeni. Śmierć precyzyjna i czysta.

Niniejszą wiadomość należy uznać za bezpodstawną, w związku z czym zabrania się rozpowszechniać ją lub uwzględniać na mapach i w dokumentach Królestwa.

Albo wieczne życie bez zastrzeżeń.

60

Niniejszą wiadomość należy uznać za wiarygodną, w związku z czym pojawić się ma na wszystkich mapach i w dokumentach Królestwa.

Langlais ferował wyroki. Porównywał dowody, sprawdzał świadectwa, badał źródła.

A potem wydawał wyrok. Jego życie codzienne upływało pośród zjaw, tworów ogromnej, zbiorowej fantazji, gdzie trzeźwe spojrzenie badacza i nieprzytomne rozbitka przekazywały obrazy niekiedy identyczne i historie uzupełniające się absurdalnie. Żył pośród cudów. Dlatego w jego pałacu królował porządek ustalony z góry i maniakalny: jego życie toczyło się zgodnie z niezmienną geometrią przyzwyczajień, graniczącą ze świętością liturgii. Bronił się, Langlais. Zamykał swoją egzystencję w sieć reguł wytyczonych z dokładnością do milimetra, zdolnych osłabić zawrotną siłę wyobraźni, jakiej codziennie poświęcał własne myśli.

Hiperbole, docierające do niego ze wszystkich stron świata, słabły na pedantycznej zaporze zbudowanej z tych drobnych pewności. O parę kroków dalej, niczym spokojne jezioro, czekała na nie mądrość Langlais'go. Nieporuszona i sprawiedliwa.

Zza otwartych okien dochodził rytmiczny dźwięk nożyc ogrodniczych, które przycinały róże z pewnością równą tej, z jaką Sprawiedliwość wydaje zbawienne wyroki. Dźwięk jak każdy inny. Ale tamtego dnia, i w głowie admirała Langlais, ów dźwięk powtarzał bardzo określone treści. Cierpliwy i uparty — zbyt blisko okna, by mogło to być

61

przypadkowe — niósł naglące przypomnienie o pewnym zobowiązaniu. Langlais wolałby go nie słyszeć. Ale był człowiekiem honoru. Odsunął zatem kartki mówiące o wyspach, wrakach i motylach, otworzył szufladę, wyjął z niej trzy zapieczętowane listy i położył je na biurku. Przybywały z trzech różnych miejsc. Chociaż wyraźnie oznakowane jako pilne i poufne, Langlais odłożył je, przez tchórzostwo, na parę dni, w miejsce, gdzie nie mógł ich nawet widzieć. Ale teraz otworzył wszystkie trzy, suchym i formalnym ruchem, i nie pozwalając sobie na najmniejsze wahanie zaczął czytać. Zanotował na kartce parę nazw, datę. Starał się to robić z bezosobową neutralnością królewskiego konstabla. Ostatnia notatka brzmiała:

Hotel Almayer, Quartel

W końcu wziął listy do ręki, wstał i, podszedłszy do kominka, rzucił je w ogień, czuwający przezornie nad leniwą wiosną owych dni. Patrząc, jak zwija się w płomieniach cenna elegancja listowych przesyłek, których wolałby nigdy nie czytać, zdał sobie wyraźnie sprawę, że za otwartymi oknami zapadła miła, niespodziewana cisza. Nożyce, dotychczas niezmordowane jak wskazówki zegara, ucichły. Dopiero po chwili w ciszy zabrzmiały kroki oddalającego się ogrodnika. Było coś tak nieprzypadkowego w tym odejściu, że każdy poczułby się zaskoczony. Ale nie Langlais. On wie-

62

dział. Związek między tymi dwoma mężczyznami — admirałem i ogrodnikiem — tajemniczy dla innych, dla nich samych nie miał już żadnych tajemnic. Zażyłość, na którą składały się długie chwile milczenia i im tylko znane znaki, strzegła od lat ich dziwnego przymierza. Jest tyle historii. Ta pochodzi z daleka.

Pewnego dnia, przed sześciu laty, postawiono przed obliczem admirała Langlais mężczyznę, który podobno nazywał się Adams. Wysoki, barczysty, włosy długie, do ramion, skóra spalona słońcem. Wyglądał jak tyłu innych marynarzy. Ale musiano go podeprzeć, bo nie mógł utrzymać się na nogach, nie był w stanie chodzić. Na szyi miał ohydną, ropiejącą ranę. Stał dziwnie nieruchomy, jakby sparaliżowany, nieobecny. Jedyne, co wskazywało na resztki świadomości, był jego wzrok. Wydawał się wzrokiem dogorywającego zwierzęcia.

„Ma wzrok zwierzęcia na polowaniu”, pomyślał Langlais.

Powiedziano mu, że został znaleziony w pewnej wiosce w głębi Afryki. Byli tam też inni biali, niewolnicy. Ale z nim było inaczej. On był ulubionym zwierzęciem wodza plemienia. Stał na czworakach, groteskowo przybrany piórami i barwnymi kamieniami, przywiązany sznurem do tronu tego niby króla. Jadał resztki, które tamten mu rzucał. Jego ciało pokryte było ranami i ślada-

63

mi bicia. Nauczył się szczekać w sposób, który bardzo bawił władcę. Tylko dlatego, zapewne, jeszcze żył.

— Co ma do powiedzenia? — zapytał Langlais.

— On nic. On nie mówi. Nie chce mówić. Ale ci, którzy z nim byli... inni niewolnicy... a także ci, którzy go rozpoznali w porcie... słowem, opowiadają niezwykle rzeczy, tak jakby ten człowiek był wszędzie, to jakaś zagadka... jeśli wierzyć temu wszystkiemu, co ludzie mówią...

— Co mówią?

On, Adams, nieruchomy i nieobecny pośrodku pokoju. A wokół niego orgia wspomnień

i bajek, odmalowujących zdarzenia z życia, które jakoby miało być jego życiem / trzysta kilometrów pieszo przez pustynię / przysięga, że widział, jak zmienił się w Murzyna, a potem znowu stał się biały / bo miał konszachty z miejscowym szamanem i to tam nauczył się robić ten czerwony proszek, który / kiedy ich ujęli, przywiązali wszystkich do jednego ogromnego drzewa i czekali, żeby owady pokryły ich całkowicie, ale on zaczął mówić jakimś niezrozumiałym językiem i wtedy nagle ci dzicy / przysięgając, że on był na tych górach, gdzie nigdy nie

zachodzi słońce i dlatego nikt nigdy nie wrócił stamtąd przy zdrowych zmysłach, oprócz niego, który, wróciwszy, powiedział tylko / na dworze sułtana, gdzie wzięto go ze względu na jego piękny głos i gdzie, okryty złotem, miał siedzieć w sali tortur i śpiewać, gdy tamci robili swoje, bo sułtan nie powinien słyszeć przykrego echa jęków, a raczej piękny śpiew, co / w jeziorze

64

Kabalaki, które jest wielkie jak morze, i tam myśleli, że to jest morze, dopóki nie zbudowali łodzi z ogromnych liści rosnących tam na drzewach i nie przepłynęli nią z jednego brzegu na drugi, a na tej łodzi był także on, mógłbym przysiąc / wybierać diamenty z piasku, rękami, skuci i nadzy, aby nie mogli uciec, i on był właśnie wśród nich, jak mi Bóg / wszyscy mówili, że nie żyje, że burza go zmiotła, ale któregoś dnia przed bramą Tesfa obcinają ręce jakiemś złodziejowi wody, ja patrzę, a to on we własnej osobie / dlatego nazywa się Adams, ale miał tysiące imion, raz ktoś mówił, że jak go spotkał, to on nazywał się Ra Me Nivar, co w miejscowym języku znaczy człowiek, który lata, a innym razem, na wybrzeżu afrykańskim / w mieście umarłych, gdzie nikt nie ośmielił się wejść, bo od wieków wisiała nad nim klątwa, tracił oczy każdy kto

— Wystarczy.

Langlais nie podniósł nawet oczu znad tabakierki, którą od kilku już dobrych minut obracał nerwowo w rękach.

— W porządku. Zabierzcie go. Nikt się nie poruszył.

Cisza.

— Panie admirale... jest jeszcze coś.

— Co? Cisza.

— Ten człowiek widział Timbuktu. Tabakierka Langlais'go zatrzymała się.

— Są ludzie, którzy gotowi są przysiąc: on tam był.

5 — Ocean morze

65

Timbuktu. Perła Afryki. Cudowne miasto nie do znalezienia. Szkatuła rozlicznych skarbów, siedziba wszystkich barbarzyńskich bogów. Serce nieznanego świata, forteca tysiąca tajemnic, widmowe królestwo wszelkiego bogactwa, niedościgły cud niezliczonych podróży, źródło wszystkich wód i sen każdego nieba. Timbuktu. Miasto, którego nie znalazł nigdy żaden biały człowiek. Langlais podniósł wzrok. W pokoju wszyscy tkwili nieruchomo, jak zaczarowani. Tylko oczy Adamsa nie przestały błędzić, zajęte tropieniem niewidzialnej zdobyczy.

Admirał wypytywał go długo. Mówił, jak to miał w zwyczaju, głosem surowym, lecz spokojnym, prawie bezosobowym. Żadnego gwałtu, żadnego szczególnego nacisku. Tylko cierpliwa procesja pytań, krótkich i rzeczowych. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Adams milczał. Zdawał się wygnany na zawsze w bezlitośnie inny świat. Nawet jednego spojrzenia nie udało się z niego wydrzeć. Nic. Langlais przypatrywał mu się przez chwilę w milczeniu. Potem dał znak nie dopuszczający sprzeciwu. Podniesiono Adamsa z krzesła i wywleczono z pokoju. Langlais widział, jak oddala się — powłócząc stopami po marmurowej posadzce — i doznał przykrego wrażenia, że

i Timbuktu, w tej chwili, oddala się jeszcze bardziej na niedokładnych mapach Królestwa. Przyszła mu na myśl, nie wiedzieć czemu, jedna z tylu legend

66
krążących na temat tego miasta: że tamtejsze kobiety odsłaniają tylko jedno oko, wspaniale pod-malowane kolorową gliną. Zastanawiał się zawsze, dlaczego niby miałyby zasłaniać drugie. Podniósł się i leniwie zbliżył do okna. Chciał je właśnie otworzyć, ale znieruchomiał, bo nagle jakiś głos w jego głowie jasno i dobitnie wymówił zdanie:

— Bo każdy mężczyzna, który by zniósł ich spojrzenie, musiałby oszaleć. Langlais odwrócił się gwałtownie. W pokoju nie było nikogo. Odwrócił się znów do okna. Przez parę sekund był niezdolny myśleć o czymkolwiek. Po czym w dole, w alejce, ujrzał mały orszak odprowadzający w nicość Adamsa. Nie zastanawiał się, co powinien zrobić. Po prostu zrobił to. W chwilę potem, ku zdumieniu obecnych, stanął przed Adamsem, lekko zdyszany po szybkim biegu. Spojrzał mu w oczy i cicho zapytał

— A ty skąd o tym wiesz?

Adams zdawał się go w ogóle nie dostrzegać. Tkwił nadal w jakimś dziwnym miejscu, oddalonym o tysiące kilometrów. Ale jego wargi poruszyły się i wszyscy usłyszeli jego głos, gdy powiedział

— Bo ja je widziałem.

Langlais napotkał wiele przypadków podobnych do historii Adamsa. Marynarzy, których burza czy okrucieństwo piratów rzuciły na brzeg nieznanego lądu, zakładników trafu czy ofiary ludów,

67

dla których biały człowiek był niewiele więcej jak dziwnym gatunkiem zwierzęcia. Jeśli miłosierna śmierć nie zabrała ich od razu, inna, okrutna, czekała ich i tak w jakimś nędznym czy cudownym zakątku niewiarygodnych światów. Niewielu udało się ująć z życiem, zabranym przez jakiś okręt i oddanym ucywilizowanemu światu z tkwiącymi w nich nieodwracalnymi śladami klęski. Wraki, które potraciły rozum, strzepy ludzkie zwrócone przez ciemność. Zgubione dusze.

Langlais znał to wszystko. A jednak wziął do siebie Adamsa. Wyrwał go nędzy i zabrał do swego pałacu. W jakimkolwiek świetle schronił się ze swymi myślami, on go odnajdzie. I zabierze z powrotem. Nie chciał go ratować. Niezupełnie o to mu chodziło. Chciał ratować ukryte w nim historie. Nieważne, ile czasu to potrwa: chciał tych historii i będzie je miał.

Wiedział, że Adams jest człowiekiem zniszczonym przez własne życie. Wyobrażał sobie jego duszę jako spokojną wieś złupioną i zdewastowaną przez okrutny najazd zawrotnej liczby obrazów, wrażeń, zapachów, dźwięków, cierpień, słów. Śmierć, którą udawał przed patrzącym, była paradoksalnym rezultatem eksplozji życia. Pod jego milczeniem i bezruchem wrzał nieopanowany chaos.

Langlais nie był lekarzem i nigdy nikogo nie uratował. Ale jego własne życie nauczyło go, jak zaskakującą siłą terapeutyczną ma dokładność. On sam, można powiedzieć, leczył się wyłącznie pre-

68

cyzją. Było to lekarstwo, które, rozpuszczone w każdym łyku jego życia, trzymało z dala od niego truciznę niepokoju. Pomyślał zatem, że niewzruszone bycie gdzie indziej Adamsa skruszyć może tylko codzienne i cierpliwe ćwiczenie czegoś, co wymaga precyzji. Czuł, że musi to być, w jakiś sposób, precyzja przyjemna, ledwie muśnięta chłodem mechanicznego rytuału i uprawiana w ciepłe jakiejś poezji. Szukał jej długo w otaczającym go świecie rzeczy i gestów. Aż w końcu znalazł. I każdemu kto, nie bez pewnego sarkazmu, pozwalał sobie zapytać — Cóż to ma być, to cudowne lekarstwo, za pomocą którego zamierza pan wyleczyć swojego dzikusa?

zwykł odpowiadać:

— Moje róże.

Jak dziecko, które złożyłoby zagubionego ptaka w ciepłe sztucznego gniazdka z materiału, Langlais złożył Adamsa w swoim ogrodzie. Przedziwnym ogrodzie, gdzie wyrafinowana geometria strzegła eksplozji wszystkich kolorów, a dyscyplina żelaznych symetrii regulowała widowskowość graniczących ze sobą kwiatów i roślin sprowadzanych tu z całego świata. Ogrodzie, w którym chaos życia stawał się cudownie precyzyjną figurą.

To tam Adams wrócił powoli do siebie. Przez wiele miesięcy milczał, oddając się posłuszenie nauce tysiąca — precyzyjnych — reguł. Potem jego nieobecność zaczęła się stawać niejasną obecnością zaznaczoną tu i tam krótkimi zdaniem i

69

nie czuło się już w nim tej uporczywej obecności przyczajonego zwierzęcia. Po roku, widząc go, nikt by nie wątpił, że oto stoi przed nim najkła-syczniejszy i najdoskonalszy z ogrodników: milczący i niewzruszony, powolny i precyzyjny w ruchach, nieprzenikniony i w nieokreślonym wieku. Dobrotliwy Bóg świata w miniaturze. Przez cały ten czas Langlais nie spytał go nigdy o nic. Zamieniał z nim parę zdań, dotyczących przeważnie stanu zdrowia irysów czy nieprzewidzianych zmian pogody. Żaden z nich nie zrobił nigdy aluzji do przeszłości, do czegokolwiek z przeszłości. Langlais czekał. Nie spieszył się. Więcej, w tym czekaniu znajdował upodobanie. Poczuł wręcz coś w rodzaju nedorzecznego zawodu,

gdy pewnego dnia, przechadzając się jedną z bocznych alejek ogrodu i przechodząc obok Adamsa, ujrzał, jak tamtem podnosi wzrok znad perłowej petunii i usłyszał wyraźnie, jak — nie zwracając się na pozór do nikogo — wymawia te dokładnie słowa:

— Timbaktu nie ma murów, bo tam myślą, że sama uroda miasta powstrzyma każdego

wroga. Po czym zamilkł i spuścił wzrok na perłową petunię. Langlais bez słowa szedł dalej alejką. Nawet Bóg, gdyby istniał, nie zauważyłby niczego. Od tego dnia Adamsowi zaczęły wymykać się wszystkie jego historie. W najróżniejszych chwilach, zgodnie z niepojętym rytmem i liturgią. Langlais ograniczał się do słuchania. Nigdy o nic nie spytał. Słuchał i tyle. Czasami były to proste zdania. Kiedy indziej całe historie. Adams opo-

70

wiadał głosem cichym i ciepłym. Ważył z zadziwiającą umiejętnością słowa i

chwile ciszy. Było coś hipnotycznego w tej jego litanii fantastycznych obrazów. Słuchanie go miało wymiar magiczny. Langlais był urzeczony. Nic z tego, co usłyszał w opowieściach Adamsa, nie znalazło się w jego oprawnych w ciemną skórę księgach. Królestwo, tym razem, było z tego wyłączone. Te historie przeznaczone były dla niego. Zaczekał, by wykwitły z wnętrza ziemi zgwałconej i martwej. Teraz je zbierał. To był wyszukany dar, jaki postanowił ofiarować własnej samotności. Zamierzał się zestarzeć w wiernym cieniu tych historii. I umrzeć pewnego dnia mając w oczach zakazany wszystkim innym białym ludziom obraz najpiękniejszego ogrodu Timbuktu.

Myślał, że wszystko, i na zawsze, będzie tak cudownie łatwe i lekkie. Nie mógł przewidzieć, że z tym mężczyzną nazwiskiem Adams zwiąże go wkrótce coś zaskakująco okrutnego.

Traf chciał, że w jakiś czas po zjawieniu się Adamsa admirał Langlais znalazł się w przykrej i banalnej konieczności rozegrania partii szachów, której stawką było jego własne życie. Wraz ze swoim nielicznym orszakiem zaskoczony został w otwartym polu przez bandytę cieszącego się w tych okolicach smutną sławą szaleńca i okrutnika. W tym wypadku, dziwna rzecz, skłonny był nie pastwić się nad swoimi ofiarami. Zatrzymał tylko Lang-

71

lais'go, a wszystkich innych odesłał z zadaniem ściągnięcia ogromnej sumy okupu. Langlais wiedział, że jest wystarczająco bogaty, by sobie kupić wolność. Nie mógł jednak przewidzieć, czy bandyta będzie dość cierpliwy i czy potrafi poczekać na te wszystkie pieniądze. Po raz pierwszy w życiu poczuł na sobie ostry zapach śmierci.

Spędził dwa dni w łańcuchach, z zawiązanymi oczami, w wozie, który jechał bez żadnej przerwy. Trzeciego dnia kazano mu wysiąść. Kiedy zdjęto mu opaskę, okazało się, że siedzi naprzeciw bandyty. Między nimi stał mały stolik. Na stoliku szachy. Bandyta wyłożył pokrótce, o co chodzi. Daje mu szansę. Jedną partię. Jeśli wygra, będzie wolny. Jeśli przegra, zostanie zabity. Langlais próbował przywołać go do rozsądku. Jako trup nie wart będzie grosza, czemu odrzucać taki majątek?

— Nie pytałem, co pan o tym myśli. Chcę usłyszeć tak lub nie. Proszę się pospieszyć. Szalenciec. To szalenciec. Langlais zrozumiał, że nie ma wyboru.

— Jak pan chce — powiedział i opuścił wzrok na szachownicę. Nietrudno było stwierdzić, że szaleństwo bandyty jest brutalnie podstępne. Nie tylko zatrzymał dla siebie figury białe — naiwnością byłoby sądzić, że może być odwrotnie — ale miał drugą królową, ustawioną porządnie na miejscu prawego gońca. Ciekawy wariant.

— Jeden król — wyjaśnił bandyta wskazując na siebie — i dwie królowe — dodał drwiąco, wskazując na dwie kobiety, rzeczywiście piękne, któ-

72

re siedziały obok niego. Dowcip wywołał wśród obecnych niepohamowany śmiech i głośne wrzaski zadowolenia. Mniej ubawiony Langlais opuścił znowu wzrok myśląc, że zaraz umrze w sposób najgłupszy z możliwych.

Po pierwszym ruchu bandyty wróciła cisza jak makiem zasiał. Królewski pionek dwa

poła do przodu. Teraz Langlais miał wykonać ruch. Wahał się przez chwilę. Jakby na coś czekał, ale sam nie wiedział, na co. Zrozumiał to dopiero wtedy, gdy w głębi własnej głowy usłyszał głos, który wyraźnie, z cudownym spokojem powiedział — Konia na linię królewskiego gońca. Tym razem nie rozejrzał się wkoło. Znał ten głos. I wiedział, że to nie stąd. Bóg raczy wiedzieć jak, ale dociera on z bardzo daleka. Wziął konia i postawił go przed pionkiem królewskiego gońca. Po sześciu ruchach miał już pewną przewagę. Przy ósmym wykonał roszadę. Po jedenastu był panem środka szachownicy. Dwa ruchy później poświęcił jednego gońca, co pozwoliło mu z kolei zbić pierwszą królową przeciwnika. Drugą zaszachował przy pomocy kombinacji, której — zdawał sobie z tego sprawę — nie potrafiłby nigdy wymyślić bez dokładnych wskazówek głosu kogoś niewidocznego. W miarę jak kruszył opór białych figur, czuł, że w bandycie rosną dziki gniew i zaskoczenie. W pewnej chwili zaczął się obawiać zwycięstwa. Ale głos nie dawał mu spokoju. Przy dwudziestym trzecim ruchu bandyta oddał mu na pożarcie wieżę, po tak oczywistym błędzie, że wyglądało to na kapitulację. Langlais miał to

73

właśnie odruchowo wykorzystać, gdy usłyszał głos mówiący stanowczym tonem: —

Uwaga na króla, admirale. Uwaga na króla? Langlais zatrzymał się w pół ruchu. Biały król tkwił w pozycji zupełnie niegroźnej, za resztkami wykonanej pośpiesznie roszady. Uwaga na co? Wpatrywał się w szachownicę i nie rozumiał. Uwaga na króla. Głos milczał. Wszystko milczało. Kilka sekund.

Potem Langlais zrozumiał. Nagła myśl jak piorun przeszła jego mózg na chwilę przed tym, jak bandyta wyciągnął skądś nóż i błyskawicznie skierował ostrze ku jego sercu. Langlais był szybszy. Podbił mu rękę, zdołał wyrwać nóż i, kończąc niejako gest tamtego, podciął mu gardło. Bandyta runął na ziemię. Obie kobiety, przerażone, uciekły. Wszyscy inni tkwili jak skamieniali ze zdumienia. Langlais zachował spokój. Ruchem, którego potem nie zawahał się uznać za niepotrzebnie uroczysty, podniósł białego króla i położył go na szachownicy. Nikt się nie poruszył. Wskoczył na pierwszego napotkanego konia. Rzucił ostatnie spojrzenie na tę dziwną scenę jak z ludowego teatru i uciekł. Jak się to często zdarza w krytycznych chwilach życia, po głowie tłukła mu się tylko jedna, zupełnie nieistotna myśl: że oto po raz pierwszy — pierwszy — wygrał partię grając czarnymi.

74

Po powrocie do pałacu zastał Adamsa w łóżku, nieprzytomnego, z zapaleniem mózgu.

Lekarze nie wiedzieli, co robić. Powiedział

— Nic nie róbcie. Nic.

Cztery dni później Adams odzyskał przytomność. Przy jego wezglówiu siedział Langlais. Popatrzyli na siebie. Adams przymknął powieki. A Langlais powiedział cicho

— Winien ci jestem życie.

— Czyjeś życie — sprecyzował Adams. Po czym otworzył oczy i utkwiał wzrok w oczach Lan-glais'go. To nie było spojrzenie ogrodnika. To było spojrzenie tropiącego zwierzęcia.

— Na moim mi nie zależy. Chcę życia kogoś innego.

Co oznaczało to zdanie, Langlais zrozumiał po jakimś czasie, gdy było już za późno, by udać, że go nie słyszał.

Nieruchomy ogrodnik przed biurkiem admirała. Wszędzie książki i papiery. Ale w największym porządku. W porządku. Kandelabry, dywany, zapach skóry, mroczne obrazy, ciemne zasłony, mapy, numizmaty, portrety. Srebra. Admirał podaje ogrodnikowi kartkę i mówi

— Hotel Almayer. Nad morzem, niedaleko Quar-tel.

— Jest tam?

— Tak.

Ogrodnik składa kartkę, wsuwa ją do kieszeni i mówi

75

— Wyjadę dziś wieczór.

Admirał opuszcza wzrok i słyszy głos tamtego wypowiadający słowo

— Żegnaj.

Ogrodnik zbliża się do drzwi. Admirał, nie patrząc na niego, szepce

— A potem? Co będzie potem? Ogrodnik przystaje.

— Już nic. I wychodzi. Admirał milczy.

...w tym samym czasie, gdy Langlais pozwolił swoim myślom podążyć szlakiem statku, który uleciał, dosłownie uleciał z wód Malagaru, Adams zatrzymał się przed różą z Borneo, by śledzić trud owada, który wędrował jej płatkami i w końcu, rezygnując z dalszej drogi, uleciał, zgodny w tym geście ze statkiem wiedzionym podobnym instynktem na wodach Malagaru, zbratany z nim tym wyrzeczeniem się konkretnej rzeczywistości i wyborem powietrznej ucieczki i złączony faktem, że oto w tym momencie każdy z nich stał się obrazem, co osiadł na siatkówce i w pamięci dwóch mężczyzn, których nic już nie będzie w stanie rozdzielić i którym te właśnie dwa wzloty, owada i żaglowca, uzmysławiają w tej samej chwili tę samą panikę, jaką budzi w nich gorzki smak końca i zaskakujące odkrycie, że los dopełnia się tak bezgłośnie.

76

Na pierwszym piętrze hotelu Almayer, w pokoju wychodzącym na wzgórze, Elisewin walczyła z nocą. Nieruchoma pod kołdrą, czekała, co przyjdzie pierwsze, sen czy strach. Słysząc było morze jak sunącą bez przerwy lawinę, nieustanny grzmot burzy zrodzonej w nieznanym niebie. Nie ustawało ani na chwilę. Nie znało zmęczenia. Ani litości.

Jeśli ktoś na nie patrzy, nie zdaje sobie sprawy, jakie jest hałaśliwe. Ale nocą... Cała ta nieskończoność staje się jednym hukami, ścianą dźwięku, dręczącym i ślepym rykiem. Nie ugasisz morza, gdy płonie nocą.

Elisewin poczuła, że w jej głowie pęka bańka pustki. Znała ją dobrze, tę tajemną eksplozję, niewidoczne, nieopisane cierpienie. Ale znać ją nie zdawało się na nic. Na nic. Już ją chwycił ten podstępny, skradający się ból — plugawy ojczym. Zabierał swoją własność.

Nie chodziło o to zimno, które płynie od środka, ani oszalałe serce czy lodowaty pot na całym ciele i drżenie rąk. Najgorsze było to uczucie znikania, wychodzenia poza własną głowę, to stawanie się nieokreśloną paniką i dreszczem strachu. Myśli niczym skrawki buntu — dreszcze — twarz zastygła w grymas, który pozwoliliby nie otwierać oczu — nie patrzeć w ciemność, horror bez ratunku. Wojna. Elisewin zdołała pomyśleć o drzwiach, które o kilka metrów od niej łączyły jej pokój z pokojem ojca

77

Pluchę. Kilka metrów. Powinno się jej udać. Teraz wstanie i nie otwierając oczu znajdzie je, a wtedy wystarczy głos ojca Pluchę, nawet sam głos, i wszystko przejdzie — wystarczy podnieść się, znaleźć siłę na zrobienie kilku kroków, przejść przez pokój, otworzyć drzwi — podnieść się, wyslizgnąć spod kołdry, prześlizgnąć wzdłuż ściany — podnieść się, stanąć na nogi, zrobić te kilka kroków — podnieść się, nie otwierać oczu, znaleźć te drzwi, otworzyć je — podnieść się, starać się oddychać, a potem oderwać od łóżka — podnieść się, nie umrzeć — podnieść się — podnieść. To straszne. To straszne.

To nie było kilka metrów. To były kilometry, to była wieczność: ta sama, która dzieliła ją od jej prawdziwego pokoju, i od jej rzeczy, i od jej ojca, i od miejsca, które było jej miejscem. Wszystko było dalekie. Wszystko było stracone. Takich wojen nie można wygrać. I Elisewin się poddała.

Jak gdyby miała umrzeć, otworzyła oczy. Nie od razu pojęła. Nie spodziewała się tego.

Pokój był oświetlony. Słabe światło. Ale wszędzie. Ciepłe.

Odwróciła się. Na krześle przy łóżku siedziała Dira, z otwartą księgą na kolanach i świecznikiem w ręku. Zapalona świeca. Płomyk w ciemności, której już nie było.

Elisewin leżała nieruchomo, z głową uniesioną nieco nad poduszką, i patrzyła. Ta dziewczynka

78

wydawała się nieobecna, ale była tutaj. Z oczami utkwionymi w stronicach książki, kołysząc lekko nogami, które nie dosięgały nawet ziemi: huśtające się buciki, zawieszzone u dwu nóg i spódniczki. Elisewin opuściła znowu głowę na poduszkę. Widziała płomyk filujący nieruchomo nad świecą. I pokój wokół łagodnie uśpiony. Poczowała się zmęczona cudownym zmęczeniem. Zdążyła jeszcze pomyśleć — Nie słyszać już morza. Po czym zamknęła oczy. I zapadła w sen. Rano znalazła świecznik stojący samotnie na krześle. Świeca jeszcze płonęła. Jakby się w ogóle nie zdążyła wypalić. Jakby czuwała nad nocą trwającą jedną chwilę. Płomyk niewidoczny w pełnym świetle, jakie nowy dzień niósł przez okno do pokoju. Elisewin wstała. Jednym dmuchnięciem zgasła świecę. Ze wszystkich stron napływała dziwna muzyka niestrudzonego grajka. Wielki szum. Spektakl. Morze wróciło.

Tego ranka Plasson i Bartleboom wyszli razem. Każdy ze swymi przyrządami: sztalugi, farby i pędzle u Plassona, zeszyty i różne przyrządy pomiarowe u Bartlebooma. Można by powiedzieć, że opróżnili właśnie strych jakiegoś szalonego wynalazcy. Jeden miał na sobie wysokie buciska i kurtkę rybacką, drugi tużurek w

stylu człowie-
79

ka nauki, wełnianą czapkę na głowie i rękawiczki bez palców, jak pianista. Może wynalazca nie był jedynym szaleńcem w tej okolicy.

W rzeczywistości Plasson i Bartleboom nawet się nie znali. Spotkali się zaledwie parę razy w hotelu, na korytarzu czy w sali jadalnej. I nigdy prawdopodobnie nie szliby tak razem plażą, zmierzając każdy ku swojemu miejscu pracy, gdyby nie postanowiła tak Ann Deveria.

— To zadziwiające. Ale gdyby tak ktoś złożył was dwóch razem, otrzymałby jednego doskonałego wariata. Moim zdaniem, Pan Bóg siedzi nadal wpatrzony w swoje wielkie puzzle i duma, gdzie też mogły się podziać te dwa kawałki, które tak dobrze do siebie pasowały.

— Co to są puzzle? — zapytał Bartleboom w tej samej chwili, w której Plasson zapytał

— Co to są puzzle?

Następnego dnia rano szli brzegiem morza, każdy z własnymi przyrządami, ale razem, ku niedorzecznym celom swoich codziennych trudów.

W ubiegłych latach Plasson zarabiał pieniądze jako najulubieńszy portrecista stolicy. Można powiedzieć, że w całym mieście nie było rodziny naprawdę zachłannej na pieniądze, która nie miałaby w domu jakiegoś Plassona. Portretu, rozumie się, tylko portretu. Właściciele ziemscy, chorowite małżonki, nadęci synowie, poskręcane stryjeczne babcie, czerstwi przemysłowcy, panny na wydaniu, ministrowie, księża, primadonny operowe, wojskowi, poetki, skrzypkowie, akademicy, utrzymanki, bankierzy, cudowne dzieci: ze ścian

80

porządnych domów stolicy zerkwały setki stosownie oprawionych twarzy, nieodmiennie uszlachetnionych tym, co w salonach zwano „dotknięciem Plassona”: ciekawa cecha stylistyczna, tłumaczona również talentem, doprawdy szczególna, która pozwalała cenionemu malarzowi obdarzyć reflekssem inteligencji każde spojrzenie, nawet cielece. Określenie „cielece spojrzenie” zazwyczaj w salonach pomijano.

Plasson mógłby ciągnąć to latami. Twarzy bogaczy nigdy nie ubywa. Ale pewnego dnia postanowił niespodziewanie rzucić wszystko. I wyjechać. Pewien bardzo konkretny zamysł, który nosił w sobie przez całe lata, wyrwał go z miasta.

Zrobić portret morza.

Sprzedził wszystko, co miał, porzucił swoją pracownię i wyruszył w podróż, która, jak sam to rozumiał, mogła się nigdy nie skończyć. Na świecie były tysiące kilometrów wybrzeża. Znalezienie właściwego miejsca nie będzie taką prostą sprawą. Dziennikarzom od kroniki towarzyskiej, którzy pytali go o powody tak niezwykłego kroku, nie wspomniał o morzu. Chcieli wiedzieć, co kryje się za rezygnacją największego mistrza wspaniałej sztuki portretu. Odpowiedział krótko, zdaniem, które stało się potem przedmiotem rozlicznych interpretacji. — Mam już dość pornografii. Wyjechał. Nikt go już nigdy nie spotkał.

Bartleboom nic o tym wszystkim nie wiedział. Nie mógł wiedzieć. Dlatego tutaj, na brzegu morza, po wyczerpaniu zdawkowych uwag na temat

pogody, pozwolił sobie zapytać, ot tak, by podtrzymać rozmowę:

— Od dawna pan maluje?

I tym razem Plasson był lapidarny.

— Nigdy nic innego nie robiłem.

Słuchając Plassona każdy doszedłby do wniosku, że są tylko dwie możliwości: albo jest to człowiek nieznośnie zarozumiały, albo głupawy. Należało jednak zrozumieć jedną rzecz. Plasson miał tę dziwną cechę, że mówiąc nigdy nie kończył zdania.

Nie był go w stanie skończyć. Docierał do końca tylko wtedy, gdy zdanie nie przekraczało siedmiu, ośmiu słów. Inaczej gubił się w połowie. Dlatego, zwłaszcza przy obcych, starał się ograniczać do zdań krótkich i zwięzłych. I do tego, trzeba powiedzieć, miał talent. To fakt, że wydawał się nieco arogancki i nieznośnie lakoniczny. Ale w każdym razie było to lepiej, niż wydać się trochę głupawym: co zdarzało się zawsze, ilekroć zabierał się do zdań złożonych czy nawet prostych: nigdy nie był w stanie ich skończyć.

— Proszę mi powiedzieć, panie Plasson: czy też jest coś na świecie, co udaje się panu skończyć?

— zapytała go pewnego dnia Ann Deveria, trafiając ze zwykłym sobie cynizmem w samą istotę problemu.

— Tak: niemiłe rozmowy — odpowiedział Plasson, wstając od stołu i odchodząc do swego pokoju. Miał talent, jak się rzekło, do znajdowania krótkich odpowiedzi. Prawdziwy talent.

O tych sprawach Bartleboom też nie wiedział. Nie mógł wiedzieć. Ale szybko zrozumiał.

Siedząc na plaży w południowym słońcu, on i Plasson jedli prowiant przygotowany przez Di-rę. Sztalugi rozstawione na piasku parę metrów dalej. Na sztalugach, jak zwykle, białe płótno. Nad wszystkim, jak zwykle, północny wiatr.

BARTLEBOOM

— To znaczy, że codziennie robi pan jeden obraz? PLASSON — W pewnym sensie... bartleboom — Musi pan mieć ich pełen pokój ...

plasson — Nie. Wyrzucam je. bartleboom — Wyrzuca pan? plasson — Widzi pan tamten,

na sztalugach? bartleboom — Tak. PLASSON — Wszystkie są mniej więcej takie.

BARTLEBOOM — ...

PLASSON — Pan by je trzymał? Chmura zachodzi na słońce. Od razu robi się zaskakująco zimno. Bartleboom wciąga znowu swoją wełnianą czapkę.

PLASSON — To trudne.

BARTLEBOOM — Mnie pan tego nie musi mówić. Ja nie umiałbym narysować nawet tego

kawałka sera, nie rozumiem, jak pan może to robić, dla mnie to niepojęte.

PLASSON — Morze jest trudne.

BARTLEBOOM — ...

PLASSON — Trudno zrozumieć, od czego zacząć. Widzi pan, jak robiłem portrety,

portrety ludzi, wiedziałem od czego zacząć, patrzyłem na te twarze i wiedziałem dokładnie... (stop)

BARTLEBOOM — ...

83

PLASSON — ... BARTLEBOOM — ... PLASSON — ...

BARTLEBOOM — Pan robi ludziom portrety?

PLASSON — Tak.

BARTLEBOOM — Do diaska, przed laty chciałem sobie zamówić portret, naprawdę,

teraz wydaje mi się to może i głupie, ale... PLASSON — Kiedy portretowałem ludzi, zaczynałem od oczu. Zapominałem o całej reszcie i koncentrowałem się na oczach, przyglądałem się im przez długie minuty, potem szkicowałem je ołówkiem i to był cały sekret, bo jak już narysuje się oczy... (stop)

BARTLEBOOM — ... PLASSON — ...

BARTLEBOOM — Co się dzieje, jak się już narysuje oczy?

PLASSON — Dzieje się tak, że cała reszta przychodzi sama z siebie, jakby wszystkie inne szczegóły zbiegały się samorzutnie wokół tego pierwszego punktu, nie trzeba nawet... (stop) bartleboom — Nawet nie trzeba. PLASSON — Nie. Można nawet nie patrzeć na modela, wszystko wychodzi samo, usta, linia szyi, nawet ręce... Ale podstawową sprawą jest zacząć od oczu, rozumie pan?, i na tym polega prawdziwy problem; problem, który doprowadza mnie do szaleństwa, tkwi właśnie w tym... (stop)

BARTLEBOOM — ... PLASSON — ...

84

BARTLEBOOM — Wie pan, w czym tkwi problem, panie Plasson?

Zgoda: jest nieco skomplikowany. Ale daje sobie radę. Trzeba mu tylko pomóc, gdy się zaklinuje. Za każdym razem. Cierpliwie. Bartleboom, jak można było wnioskować z jego osobliwego życia uczuciowego, był człowiekiem cierpliwym.

PLASSON — Problem tkwi w tym: gdzie, u diabła, są oczy morza? Nic mi nie wyjdzie,

dopóki tego nie odkryję, bo to jest podstawa, rozumie pan?, podstawa wszystkiego, i dopóki nie pojmem, gdzie one są, będę nadal pędził dni na wpatrywaniu się w tę przeklętą połać wody bez... (stop)

BARTLEBOOM — ... PLASSON — ... BARTLEBOOM — ...

PLASSON — Na tym polega problem, panie Bartleboom.

Nie do wiary: tym razem sam podjął wątek. PLASSON — Na tym polega problem: gdzie zaczyna się morze?

Bartleboom milczał.

Słońce chowało się i wychodziło zza chmur. Milczącym widowiskiem dyrygował, jak zwykle, wiatr północny. Morze recytowało niewzruszenie swoje psalmy. Jeśli miało oczy, w tej chwili nie tu były one skierowane. Milczenie.

Długie minuty milczenia.

Po czym Plasson zwrócił się do Bartlebooma i zapytał jednym tchem

85

— A pan... ?? pan sprawdza za pomocą tych wszystkich swoich śmiesznych

przypadków? Bartleboom uśmiechnął się.

— Gdzie kończy się morze.

Dwa fragmenty układanki. Pasujące do siebie jak ulał. Gdzieś w niebie pewien stary Pan w tej właśnie chwili nareszcie je znalazł.

— Do diabła! A nie mówiłem, że nie mogły przepaść?

— Pokój jest na parterze. W głębi korytarza trzecie drzwi na lewo. Kluczy nie ma. Tutaj nikt ich nie ma. W tej książce proszę wpisać swoje nazwisko. To nie jest obowiązkowe, ale tutaj wszyscy to robią.

Księga z podpisami czekała otwarta na drewnianym pulpicie. Papierowe łoże świeżo zaścielone, czekające na sny obcych nazwisk. Pióro mężczyzny ledwo je musnęło.

Adams.

Po czym znieruchomiało na chwilę.

— Jeśli chce pan znać nazwiska innych, może pan zapytać mnie. To żadna tajemnica. Adams podniósł oczy znad książki i uśmiechnął się.

— Dira to piękne imię.

Dziewczynka osłupiała. Rzuciła instynktownie okiem na księgę.

— Tu nie ma mojego imienia.

— Tu nie.

86

Mogła mieć najwyżej dziesięć lat, ta dziewczynka. Ale jeśli chciała, mogła ich mieć o tysiąc więcej. Utkwiła wzrok w oczach Adamsa i powiedziała ostrym głosem dorosłej kobiety, której tu przecież nie było.

— Adams to nie jest pana prawdziwe nazwisko.

— Nie?

— Nie.

— A skąd to wiesz?

— Ja też umiem czytać.

Adams uśmiechnął się. Podniósł bagaż i ruszył w stronę swojego pokoju.

— Trzecie drzwi na lewo — krzyknął za nim głos, który znowu stał się głosem dziecka.

Nie było kluczy. Otworzył drzwi i wszedł. Nie, żeby spodziewał się Bóg wie czego.

Ale spodziewał się, że pokój będzie przynajmniej wolny.

— Och, przepraszam — powiedział ojciec Pluchę, odchodząc od okna i wygładzając instynktownie sutannę.

— Pomyliłem pokój?

— Nie, nie... to ja... widzi pan, ja mam pokój wyżej, piętro wyżej, ale tamten wychodzi na wzgórze, nie widać morza: wybrałem go przez ostrożność.

— Ostrożność?

— Dajmy spokój, to długa historia... Słowem, chciałem zobaczyć, co widać stąd, ale teraz przepraszam, nigdy bym tu nie wszedł, gdybym wiedział...

— Proszę zostać, jeśli książka chce.

87

— Nie, już sobie idę. Pan ma pewno dużo roboty, przyjechał pan właśnie teraz?

Adams postawił na ziemi swój bagaż.

— Ależ ze mnie głupiec, to jasne, że przyjechał pan dopiero co... w porządku,

już idę. Aha... nazywam się Pluchę, ojciec Pluchę.

Adams kiwnął głową.

— Ojciec Pluchę.

— Właśnie.

— Do zobaczenia, ojciec Pluchę.

— Tak, do zobaczenia.

Skręcił w stronę drzwi i wyszedł. Mijając recepcję — jeśli można ją tak nazwać — poczuł się w obowiązku wymamrotać

— Nie wiedziałem, że ktoś przyjedzie, chciałem tylko zobaczyć, jak stamtąd widać morze...

— Nic się nie stało, ojciec Pluchę.

Już miał wyjść, gdy nagle zatrzymał się, zawrócił i pochylając lekko nad kontuarem zapytał Dirę półgłosem

— Według pani, to może być doktor?

— Kto?

— On.

— Proszę zapytać jego.

— Nie wydaje mi się, żeby to był ktoś, kto marzy o udzielaniu odpowiedzi. Nie powiedział mi nawet, jak się nazywa.

Dira zawahała się.

— Adams.

— Adams i koniec?

— Adams i koniec.

— Aha.

88

Powinien odejść, ale miał jeszcze coś do powiedzenia. Powiedział to jeszcze ciszej.

— Oczy... On ma oczy tropiącego zwierzęcia. Tym razem skończył naprawdę.

Ann Deveria idąca wzdłuż brzegu w swoim liliowym płaszczu. Obok niej dziewczynka

nosząca imię Elisewin, z małą białą parasolką. Ma szesnaście lat. Może umrze, może będzie żyła. Kto to wie. Ann Deveria mówi, nie odrywając oczu od nicości, którą ma przed sobą. Przed sobą w kilku znaczeniach.

— Mój ojciec nie chciał umrzeć. Starzał się, ale nie umierał. Wyniszczały go choroby, ale on, niezłomnie, trwał uczepiony życia. W końcu nie wychodził już nawet ze swego pokoju. Musiano wszystko przy nim robić. I tak przez całe lata. Zamknął się w fortecy, którą zbudował na swój wyłączny użytek w najbardziej niewidocznym zakamarku własnej osoby. Wyrzekł się wszystkiego, z wyjątkiem dwóch

zajadle strzeżonych rzeczy, które naprawdę miały dla niego znaczenie: pisanie i nienawiści. Pisał mozolnie, ręką, którą był jeszcze w stanie poruszać.

Nienawidził oczami. Nie mówił: aż do końca nic już nie powiedział. Pisał i nienawidził. Kiedy umarł — bo w końcu umarł

— moja matka wzięła te setki zagryzmołonych kartek i przeczytała jedną po drugiej. Były tam nazwiska wszystkich, których znał, wypisane po kolei. A obok

każdego szczegółowy opis okropnej śmierci. Ja tych kartek nie czytałam. Ale
89

oczy — oczy, które nienawidziły w każdej minucie każdego dnia, aż do końca — te
oczy widziałam. Widziałam dokładnie. Poślubiłam mojego męża, bo miał dobre oczy.
To była jedyna rzecz, na jakiej mi zależało. Miał dobre oczy.

Zresztą życie nie toczy się wcale tak, jak to sobie wyobrażasz. Idzie swoją
drogą. A ty swoją. I nie jest to droga wspólna. Tak to jest... Nie chodzi o to,
że ja chciałam być szczęśliwa, wcale nie. Chciałam znaleźć ratunek, właśnie:
znaleźć ratunek. Ale za późno zrozumiałam, że należało go szukać w pragnieniach.
Człowiek wyobraża sobie, że ludzi ratuje co innego: obowiązki, uczciwość, bycie
dobrym, bycie sprawiedliwym. Nie. To pragnienia ratują. Tylko one są prawdziwe.
Ulegaj pragnieniom, a będziesz uratowana. Zrozumiałam to jednak zbyt późno.
Jeśli dasz czas życiu, opłacze cię dziwnie, bezlitośnie i nagle zdasz sobie
sprawę, że odtąd każde pragnienie sprawiać ci będzie ból. I tu następuje
katastrofa: nie sposób uciec, im bardziej się szamocesz, tym bardziej zaciska
się sieć, im bardziej się buntujesz, tym bardziej się ranisz. Nie ma wyjścia.
Kiedy już było za późno, ja zaczęłam pragnąć. Z całą mocą, na jaką było mnie
stać. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile zadałam sobie cierpienia.

Wiesz, co tu jest piękne? Popatrz: my idziemy, zostawiamy te wszystkie ślady na
piasku, a one tkwią w miejscu, wyraźne, równe. Ale jutro, gdy wsta-

90
niesz, spojrzysz na tę wielką plażę i nic już na niej nie będzie, żadnego śladu,
żadnego znaku, nic. Morze zaciera wszystko w nocy. Przyptyw zakrywa. Jakby nikt
nigdy tędy nie szedł. Jakby nas nigdy nie było. Jeśli jest takie miejsce na
świecie, gdzie może ci się wydać, że jesteś niczym, to tylko tutaj. To już nie
ziemia, to jeszcze nie morze. To nie życie pozorne, to nie życie prawdziwe. To
czas. Czas, który mija. I tyle.

Tu byłoby idealne schronienie. Niewidoczni dla wszelkich wrogów. Tkwiący w
zawieszeniu. Biali jak obrazy Plassona. Nieostrzegalni nawet dla samych siebie.
Ale jest jedna rysa na tym czyścucu. I jest to coś, przed czym nie można uciec.
Morze. Morze zachwyca, morze zabija, wzrusza, przeraża, niekiedy wywołuje nawet
śmiech, co jakiś czas znika i udaje jezioro, albo piętrzy burze, pożera statki,
daje bogactwo, nie daje odpowiedzi, jest mądre, jest łagodne, jest potężne, jest
nieprzewidywalne. Ale przede wszystkim morze wzywa. Odkryjesz to sama,
Elisewin.

W gruncie rzeczy nie robi nic innego, tylko wzywa. Nigdy nie przestaje, przenika
cię, czujesz je na sobie, chce właśnie ciebie. Możesz udawać, że nie słyszysz,
ale na nic się to nie zda. Nadal będzie cię wołać. To morze, które widzisz, i
wszystkie inne, których nie zobaczysz, ale czekać cię będą zawsze, przyczajone,
cierpliwe, o krok od twego życia. Będziesz słyszała ich niezmordowane wołanie.
Tak jest w tym piaszczystym czyścucu. Tak by było w każdym ra-

91
ju i w każdym piekle. Nic ci nie wyjaśniając, nie mówiąc dokąd, zawsze jakies
morze będzie cię przyzywać.
Ann Deveria przystaje. Pochyliła się, zdejmując pantofle. Zostawia je na piasku.

Idzie dalej boso. Elisewin stoi bez ruchu. Czeką, żeby tamta oddaliła się o kilka kroków. Po czym mówi, dostatecznie głośno, by mogła ją usłyszeć:

— Ja za parę dni stąd odjadę. I wejdę do morza. I wyzdrowieję. To jest to, czego pragnę. Życ. I stać się kiedyś piękną jak pani.

Ann Deveria odwraca się. Uśmiecha. Szuka słów. Znajduje.

— Weźmiesz mnie ze sobą?

Na parapecie okna Bartlebooma tym razem siedziało ich dwoje. To samo co zwykle dziecko. I Bartleboom. Z nogami zwieszonymi na zewnątrz. Ze wzrokiem zawieszonym na morzu.

— Słuchaj, Dood... Dziecko nazywało się Dood.

— Skoro zawsze tu siedzisz...

— Mmmmh.

— Może będziesz wiedział.

— Co?

— Gdzie morze ma oczy?

— Bo ma oczy, prawda?

— Tak.

— To gdzie one, u diabła, są?

— Okręty.

92

— Co, okręty?

— Okręty są oczami morza.

Bartleboom osłupiał. To doprawdy nie przyszło-by mu do głowy.

— Ale okrętów są setki...

— Ono ma setki oczu. Myśli pan, że dwa by mu starczyły?

Rzeczywiście. Mając tyle do roboty. I będąc tak wielkim. To nie pozbawione sensu.

— Tak, ale wobec tego, wybacz...

— Mmmmh.

— A morskie katastrofy? Burze, tajfuny, te wszystkie rzeczy... Dlaczego niby miałyby pochłaniać okręty, skoro są jego oczami?

Z miną trochę jakby zniecierpliwioną, Dood odwraca się do Bartlebooma i mówi

— A pan... pan nigdy nie zamyka oczu? Chryste. To dziecko ma na wszystko odpowiedź.

Bartleboom myśli. Myśli, duma, zastanawia się, rozważa. Potem nagle zeskakuje z parapetu. Od strony pokoju, ma się rozumieć. Żeby skoczyć na drugą stronę, trzeba by mieć skrzydła.

— Plasson... muszę znaleźć Plassona... trzeba mu to powiedzieć... do licha, to nie było zresztą takie trudne, wystarczyło trochę pomyśleć... Szuka gorączkowo wełnianej czapki. Nie może jej znaleźć. To zrozumiałe: ma ją na głowie. Daje za wygraną. Wybiega z pokoju.

— Do zobaczenia, Dood.

— Do zobaczenia.

Dziecko zostaje na miejscu, z oczami utkwionymi

93

w morze. Siedzi tak jakiś czas. Potem upewnia się, że nikogo nie ma w pobliżu i nagle skacze z parapetu. Od strony plaży, ma się rozumieć.

Pewnego dnia obudzili się i nie było nic. Tylko ślady na piasku nie zniknęły.

Zniknęło wszystko, można powiedzieć. Niewiarygodna mgła.

— To nie mgła, to chmury. Niewiarygodne chmury.

— To chmury morskie. Tamte drugie są wysoko na niebie. Morskie leżą nisko.

Pojawiają się z rzadka. Potem odchodzą.

Dira wiedziała mnóstwo rzeczy. To fakt, że widok na zewnątrz robił wrażenie.

Jeszcze poprzedniego wieczoru niebo było rozgwieżdżone, bajkowe. A teraz jakby się było w szklance mleka. Nie licząc zimna. Jakby się było w szklance zimnego mleka.

— W Carewall jest tak samo.

Ojciec Pluchę stał z nosem przyklejonym do szyby, zafascynowany.

— I trwa tak całe dnie. Nie ruszy się o milimetr. Tam, to jest mgła. Naprawdę mgła. Jak przyjdzie, człowiek całkiem się gubi. Ludzie nawet w dzień chodzą z pochodniami w rękę. Żeby się nie pogubić. Ale i to nie na wiele się zdaje. A już nocą... zdarza się, że człowiek zgubi się zupełnie. Pomyślcie, że Ario Crut pewnego wieczoru, gdy wracał do domu, pomylił dom i wylądował prosto w łóżku Metela Cruta, swego brata. Metel na-

94

wet tego nie zauważył, spał jak kamień, ale żona, owszem, zauważyła. Mężczyznę, który wsuwa się jej do łóżka. Coś nie do wiary. No i wiecie, co ona powiedziała?

I tu w głowie ojca Pluchę rozpętała się jak zwykle walka. Dwa piękne zdania ruszyły z bloków startowych w mózgu, z wyraźnym celem dopadnięcia na mecie głosu, który pozwoli im się uzewnętrznić. Bardziej sensowne z dwóch, zważywszy, że chodziło bądź co bądź o głos księdza, było z pewnością

— Zrób to, to narobię krzyku.

Ale miało tę wadę, że było nieprawdziwe. Zwyciężyło drugie, to autentyczne.

— Zrób to albo narobię krzyku.

— Ojcie Pluchę!

— Co ja powiedziałem?

— Co ojciec powiedział?

— Ja coś powiedziałem?

Wszyscy zgromadzili się w dużej sali wychodzącej na morze, która chroniła ich przed tą powodzią chmur, ale nie przed niemiłym wrażeniem, że nie bardzo wiedzą, co robić. Czym innym jest nic nie robić. Czym innym nie móc czegoś zrobić. To co innego. Wszyscy czuli się nieco zagubieni. Jak ryby w akwarium.

Najbardziej niespokojny był Plasson: w gumowych butach i rybackiej kurtce, krążył nerwowo śledząc zza szyb falę mleka, która nie ustępowała ani o milimetr.

— To wygląda doprawdy jak jeden z pańskich obrazów — zauważyła głośno Ann Deveria, za-

95

głębiona w wiklinowym fotelu i także śledząca wielkie widowisko. — Wszystko cudownie białe.

Plasson krążył nadal tam i z powrotem. Jakby jej w ogóle nie usłyszał.

Bartleboom podniósł głowę znad przerzucanej leniwie książki.

— Jest pani zbyt surowa, madame Deveria. Pan Plasson próbuje dokonać czegoś bardzo trudnego. A jego obrazy nie są bielsze od kartek tej mojej książki.

— Pan pisze książkę? — spytała Elisewin ze swego krzesła przed wielkim kominkiem.

— Coś w rodzaju książki.

— Słyszałeś, ojciec Pluchę, pan Bartleboom pisze książki.

— Nie, to nie jest właściwie książka...

— To encyklopedia — wyjaśniała Ann Deveria.

— Encyklopedia?

I zaczęło się. Czasem wystarczy drobnostka, by zapomnieć o wielkim morzu mleka, które z ciebie kpi. Może nawet wystarczyć chropawy dźwięk obcego słowa.

Encyklopedia. Jedno słowo. Zrozumieli wszyscy: Bartleboom, Elisewin, ojciec Pluchę, Plasson. I madame Deveria.

— Bartleboom, proszę nie udawać skromnego, proszę wyjaśnić panience tę historię granic, rzek i całej reszty.

— Ma tytuł Encyklopedia granic spotykanych w naturze...

— Piękny tytuł. Miałem nauczyciela w seminarium...

— Pozwól mu mówić, ojciec Pluchę...

96

— Pracuję nad nią od dwunastu lat. To rzecz skomplikowana... właściwie badam, dokąd natura może dojść, a raczej: gdzie decyduje się zatrzymać. Bo zatrzymuje się zawsze, wcześniej czy później. To naukowo dowiedzione. Na przykład...

— Niech pan jej opowie o kopironach.

— No cóż, to przypadek dość szczególny.

— Panie Plasson, słyszał pan już historię kopiro-nów?

— Ależ on właśnie mnie opowiedział historię kopironów, droga madame Deveria, a pani słyszała ją ode mnie.

— Do licha, toż to było bardzo długie zdanie, brawo, Plasson, robi pan postępy.

— No więc, te kopirony?

— Kopirony żyją na lodowcach Północy. Są to zwierzęta na swój sposób doskonałe. Praktycznie nie starzeją się. Gdyby chciały, mogłyby żyć wiecznie.

— Straszne.

— Ale, uwaga, natura trzyma wszystko pod kontrolą, nic jej nie umknie. I cóż się zatem dzieje: w pewnej chwili, gdy mają jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat, kopirony przestają jeść.

— Nie.

— Tak. Przestają jeść. Żyją jeszcze średnio trzy lata w tym stanie. Potem umierają.

— Trzy lata bez jedzenia?

— Średnio. Niektóre wytrzymują nawet dłużej. Ale w końcu, i to jest ważne, umierają. To naukowe.

— Ależ to samobójstwo.

7 — Ocean morze

97

- W pewnym sensie.
- I według pana mamy w to wierzyć, panie Bartleboom?
- Proszę spojrzeć, mam nawet rysunek... rysunek kopirona...
- Do licha, miał pan rację, Bartleboom, rysuje pan rzeczywiście jak noga, naprawdę, nigdy nie widziałem rysunku (stop)
- To nie ja go zrobiłem... narysował go marynarz, który opowiedział mi tę historię...
- Marynarz?
- O całej tej historii dowiedział się pan od marynarza?
- Tak, dlaczego?
- Winszuję, panie Bartleboom, to rzeczywiście naukowe.
- Ja panu wierzę.
- Dziękuję, panno Elisewin.
- Ja panu wierzę i ojciec Pluchę wierzy, prawda?
- Oczywiście... to historia absolutnie prawdopodobna, więcej, tak sobie myślę, że chyba już ją nawet słyszałem, to musiało być w seminarium...
- Czegóż tam się nie uczy, w tych seminariach... jest może także jakieś seminarium dla pań?
- Pomyślałem sobie właśnie, panie Plasson, że pan mógłby mi zrobić ilustracje do Encyklopedii, to byłoby wspaniałe, nie?
- Miałbym rysować kopirony?
- No cóż, pomijając kopirony, jest tam wiele innych rzeczy... napisałem 872 hasła, może pan sobie wybrać to, co się panu podoba...

98

- 872?
- Nie sądzi pani, że to dobry pomysł, madame Deveria?
- Przy hasła „morze” darowałabym sobie chyba ilustrację...
- Ojciec Pluchę sam zrobił rysunki do swojej książki.
- Elisewin, przestań...
- Ale to prawda...
- Proszę mi nie mówić, że mamy drugiego naukowca...
- To prześliczna książka.
- Naprawdę ojciec pisze, ojciec Pluchę?
- Skądże, to rzecz dość... szczególna, trudno powiedzieć, żeby to była książka.
- Ależ to jest książka.
- Elisewin...
- Nigdy jej nikomu nie pokazuje, ale jest prześliczna.
- Według mnie, to poezje.
- Niezupełnie.
- Ale jest pan blisko.
- Piosenki?
- Nie.
- No, ojciec Pluchę, wszyscy się do ojca mod-lą...
- Otóż to...
- Otóż co?

— Nic, chodzi o to modlenie się...

— Proszę mi nie mówić, że...

— Modlitwy. To są modlitwy.

— Modlitwy?

99

— To już koniec...

— Ale modlitwy ojca Pluchę są niepodobne do innych...

— Ja uważam, że to świetny pomysł. Zawsze brakowało mi pięknego modlitewnika.

— Panie Bartleboom, uczony nie powinien się modlić, jeśli jest prawdziwym uczniem nie powinien nawet myśleć, że (stop)

— Przeciwnie! Właśnie dlatego, że badamy naturę, a natura jest niczym innym, jak odbiciem...

— Napisał też jedną bardzo piękną o pewnym lekarzu. To uczony, prawda?

— Co to znaczy o lekarzu?

— Ma tytuł Modlitwa lekarza, który ratuje chorego i w chwili gdy tamten wstaje, uzdrowiony, czuje bezbrzeżne znużenie.

— Jak?

— Ale to nie jest tytuł dla modlitwy.

— Mówiłam, że modlitwy ojca Pluchę są niepodobne do innych.

— I wszystkie mają takie tytuły?

— No, czasem tytuły są krótsze, ale zawsze chodzi o coś takiego.

— Proszę nam wymienić inne, ojcze Pluchę...

— A, teraz interesują pana modlitwy, co, panie Plasson?

— No, nie wiem... jest Modlitwa za dziecko, które nie może wymówić „r”, albo Modlitwa człowieka, który leci w przepaść i nie chciałby umrzeć...

— Nie wierzę...

IOO

— No, oczywiście, jest bardzo krótka, kilka słów... albo Modlitwa starca, któremu trzęsą się ręce, takie rzeczy...

— Ależ to niezwykle!

— A ile ojciec ich napisał?

— Trochę... niełatwo je pisać, czasem by się chciało, ale jak nie ma natchnienia...

— Ale w przybliżeniu?

— W tej chwili... jest ich 9502.

— Nie...

— To niesamowite...

— Do diabła, panie Bartleboom, w porównaniu z tym pańska Encyklopedia to zeszycik z notatkami.

— Ale jak ojciec to robi, ojcze Pluchę?

— Nie wiem.

— Wczoraj napisał jedną prześliczną.

— Elisewin...

— Naprawdę.

— Elisewin, proszę cię...

— Wczoraj wieczorem napisał jedną o panu. Nagle wszyscy milkną.
Wczoraj wieczorem napisał jedną o panu.
Ale to nie na kogoś z nich patrzyła mówiąc te słowa.
Wczoraj wieczorem napisał jedną o panu.
Mówiąc to, patrzyła gdzie indziej i tam odwracają się teraz wszyscy, zaskoczeni.
Stół obok oszklonych drzwi wejściowych. Przy

101

stole mężczyzna ze zgaszoną fajką w ręku. Adams. Nikt nie wie, kiedy tu przyszedł. Może zjawił się dopiero co, może był tu przez cały czas.

— Wczoraj wieczorem napisał jedną o panu. Nikt się nie rusza. Ale Elisewin wstaje i podchodzi do niego.

— Jest zatytułowana Modlitwa człowieka, który nie chce powiedzieć swojego imienia.

Ale ze słodyczą. Mówi to ze słodyczą.

— Ojciec Pluchę sądzi, że pan jest lekarzem. Adams uśmiecha się.

— Tylko czasami.

— Ale ja mówię, że pan jest marynarzem. Wszyscy milczą. Nieruchomi. Ale nie ronią ani słowa, ani jednego słowa.

— Tylko czasami.

— A tutaj, dzisiaj, kim pan jest? Adams potrząsa głową.

— Jestem kimś, kto czeka.

Elisewin stoi przed nim. Ma w głowie konkretne i proste pytanie:

— Na co?

Tylko dwa słowa. Ale nie udaje się jej ich wypowiedzieć, bo sekundę wcześniej słyszy w głowie głos, który szeptem:

Nie pytaj mnie o to, Elisewin. Proszę cię, nie pytaj.

Stoi nieruchomo, nic nie mówiąc, z oczami utkwionymi w niemych jak głąz oczach Adamsa. Cisza. Potem Adams unosi oczy ponad nią i mówi

— Mamy dzisiaj cudowne słońce.

102

Za oknami, bez słowa skargi, zmarły wszystkie chmury i bije w oczy oślepiająco czyste powietrze dnia wskrzeszonego z nicości.

Plaża. I morze. Światło.

Wiatr z północy. Cisza przypiływów. Dnie. Noce.

Liturgia. Bez ruchu, jeśli dobrze się przyjrzeć. Bez ruchu.

Ludzie jak gesty jakiegoś obrządku. Nie tyle ludzie. Gesty.

Wchłania ich, przemienionych w tlen dla anielskiego surplace, podstępny codzienny ceremoniał. Metabolizuje idealny krajobraz wybrzeża, zmieniając w figury z jedwabnych wachlarzy. Co dzień bardziej niezmienny. Żyjąc o krok od morza, stają się znikając, a w przerwach eleganckiej nicości dostępują pociechy tymczasowego nieistnienia. Nad tym trompe l'oeil duszy unosi się srebrzysty dźwięk ich słów, jedyna uchwytna rysa na spokoju niewypowiedzianego czaru.

— Sądzi pani, że ja zwariowałem?

— Nie.

Bartleboom opowiedział jej całą historię. O listach, mahoniowej skrzynce,

kobiecie, na którą czeka. O wszystkim.

103

— Nigdy o tym nikomu nie opowiadałem. Cisza. Wieczór. Ann Deveria.

Rozpuszczone

włosy. Biała nocna koszula do samych stóp. Jej pokój. Światło chwiejące się na ścianach.

— Dlaczego mnie, Bartleboom?

Profesor miętosi brzegi marynarki. To niełatwe. To wcale nie jest łatwe.

— Bo pani musi mi pomóc. -Ja?

— Pani.

Ktoś buduje sobie wspaniałe historie, to jest fakt, i przez całe lata może w nie wierzyć, nieważne, jak bardzo są szalone i nieprawdopodobne, nosi je w sobie i tyle. Takie rzeczy mogą cię nawet czynić szczęśliwym. Szczęśliwym. I mogłoby to trwać bez końca. Po czym, któregoś dnia, coś pęka w samym środku fantastycznej maszyny, trzask, bez żadnego powodu, pęka nagle, a ty zostajesz sam i nie rozumiesz, jak to się dzieje, że cała ta wspaniała historia nie tkwi już w tobie, ale przed tobą, jakby to było szaleństwo kogoś innego, a tym innym jesteś ty. Trzask. Czasem wystarczy drobnostka. Nawet pojawiające się nagle pytanie. I to już wystarczy.

— Madame Deveria... ale jak ja rozpoznam tę kobietę, tę moją, gdy ją spotkam? Nawet proste pytanie, które wyłania się z podziemnej kawiarni, gdzie zostało pogrzebane. To wystarczy.

— Jak ja ją rozpoznam, gdy ją spotkam? Właśnie.

104

— A przez te wszystkie lata nie zastanawiał się pan nad tym?

— Nie. Wiedziałem, że ją rozpoznam, tylko tyle. Ale teraz boję się. Boję się, że nie będę w stanie tego zrobić. A ona przejdzie. I ja ją stracę. Doprawdy, ogromna jak świat jest udręka profesora Bartlebooma.

— Niech pani mnie nauczy, madame Deveria, jak ja mam rozpoznać, gdy ją spotkam.

Śpi, Elisewin, w blasku świecy i małej dziewczynki. I ojciec Pluchę pośród swoich modlitw, i Plas-son w bieli swoich obrazów. Śpi nawet Adams, zwierzę na łowach. Śpi hotel Almayer, kołysany oceanem morzem.

— Proszę zamknąć oczy, panie Bartleboom, i podać mi rękę.

Bartleboom posłusznie wykonuje polecenie. I zaraz czuje pod dłońmi twarz tej kobiety, i wargi, które bawia się jego palcami, a potem szczupłą szyję i rozchylającą się koszulę, jej dłonie, które prowadzą jego ręce po gorącej i miękkiej skórze i przyciskają je mocno, by mógł poznać sekrety tego nieznanego ciała, objąć ten żar, a potem powędrować znowu ku ramionom, między włosy, i znowu między wargi, gdzie palce przesuwają się będą tam i z powrotem, dopóki nie zatrzyma ich głos wypisujący w ciszy słowa:

— Proszę na mnie spojrzeć, panie Bartleboom. Koszula opadła jej na kolana. Oczy uśmiechają się bez żadnego skrępowania.

— Któregoś dnia zobaczy pan kobietę i poczuje

105

to wszystko nie dotykając jej nawet. Proszę jej dać swoje listy. Napisał je pan do niej. Tysiące myśli kotłuje się w głowie Bartlebooma, gdy cofa dłoń, otwarte, jakby po zamknięciu ich wszystko miało zniknąć. Opuszczając pokój, z zamętem w głowie, ma wrażenie, że widzi w półmroku nierealną postać prześlicznej dziewczynki, przytulonej do dużej poduszki w głębi łóżka. Nagiej. Ze skórą białą jak morską chmura.

— Kiedy chcesz wyjechać, Elisewin? — pyta ojciec Pluchę.

— A ty?

— Ja niczego nie chcę. Ale musimy dojechać do Daschenbach, wcześniej czy później. To tam masz się leczyć. Tutaj... to tutaj nie jest miejscem, gdzie by można wyzdrowieć.

— Dlaczego tak mówisz?

— Jest coś... coś chorego w tym miejscu. Nie zauważyłaś? Białe obrazy tego malarza, niekończące się pomiary profesora Bartlebooma... i jeszcze ta pani, taka piękna, a przecież nieszczęśliwa i samotna, no nie wiem... nie mówiąc już o tym mężczyźnie, który czeka... pędzi czas na czekaniu Bóg jeden wie, na co czy na kogo... Wszystko... wszystko stoi na krok przed czymś. Nie ma tu nic realnego, rozumiesz?

Elisewin milczy i myśli.

— Mało tego. Wiesz, co odkryłem? W tym hotelu jest jeszcze jeden gość. W siódmym pokoju, tym,

106

który wydaje się pusty. No więc nie jest pusty. Jest tam jakiś człowiek. Ale nigdy nie wychodzi. Dira nie chciała mi powiedzieć, kto to. Nikt go nigdy nie widział. Jada w pokoju. Sądzisz, że to normalne? Elisewin milczy.

— Co to za miejsce, gdzie ludzie są, ale ich nie widać, albo chodzą w nieskończoność tam i z powrotem, jakby mieli przed sobą wieczność na...

— To jest brzeg morza, ojciec Pluchę. Ni ziemia, ni morze. To jest miejsce, którego nie ma. Elisewin wstaje. Uśmiecha się.

— To świat aniołów.

Już ma wyjść. Zatrzymuje się.

— Wyjedziemy, ojciec Pluchę. Jeszcze parę dni i wyjedziemy.

— Więc słuchaj uważnie, Doi. Masz patrzeć na morze. I jak zobaczysz okręt, to mi powiesz. Zrozumiałeś?

— Tak, panie Plasson.

— Brawo.

Chodzi o to, że Plasson widzi niewiele. Widzi z bliska, ale nie widzi z daleka.

Mówi, że zbyt długo wpatrywał się w twarze bogaczy. To niszczy wzrok. Nie mówiąc o reszcie. Dlatego szuka okrętów, ale ich nie znajduje. Może Dołowi się uda.

— Bo statki przepływają daleko, panie Plasson.

— Dlaczego?

— Boją się kroków diabła.

— To znaczy?

107

- Raf. Tu przed nami, wzdłuż całego wybrzeża, są rafy. Ledwie wychylają się z morza, nie zawsze je widać. I dlatego statki płyną daleko od brzegu.
 - Już tylko raf nam brakowało.
 - Diabeł je tu położył.
 - Tak, Doi.
 - Naprawdę! Widzi pan, diabeł mieszkał tam daleko, na wyspie Taby. No i pewnego dnia jedna dziewczynka, która była świętą, wzięła małą łódkę i wiosłując trzy dni i trzy noce dotarła do wyspy. Była piękna.
 - Wyspa czy święta?
 - Dziewczynka.
 - Aha.
 - Była taka piękna, że kiedy diabeł ją zobaczył, śmiertelnie się wystraszył. Próbował ją przepędzić, ale ona nie ruszyła się ani o milimetr. Stała i patrzyła na niego. Aż któregoś dnia diabeł już naprawdę nie strzymał.
 - Wytrzymał.
 - Już naprawdę nie wytrzymał i z krzykiem zaczął biec i biec prosto w morze, aż zniknął i tyle go widzieli.
 - A co mają do tego rafy?
 - Mają, bo za każdym krokiem uciekającego diabła wychodziła z morza skała. Gdzie tylko postawił nogę, trzask, pokazywała się skała. I są tam jeszcze teraz. To kroki diabła.
 - Piękna historia.
 - Tak.
 - Nic nie widzisz?
- 108
- Nie. Cisza.
 - To mamy tu zostać cały dzień?
 - Tak. Cisza.
 - Ja wolałem tu przyjeżdżać po pana wieczorem łódką.
 - Nie rozprasza się, Doi.
 - Mógłby ojciec napisać dla nich wiersz, ojciec Pluchę.
 - Mówi pan, że mewy się modlą?
 - Z pewnością. Zwłaszcza, gdy mają umrzeć.
 - A pan nigdy się nie modli, Bartleboom? Bartleboom poprawia sobie na głowie wełnianą czapkę.
 - Kiedyś modliłem się. Potem zrobiłem rachunek. W ciągu ośmiu lat pozwoliłem sobie poprosić Wszechmocnego o dwie rzeczy. Wynik: moja siostra umarła, a kobietę, którą poślubię, muszę dopiero spotkać. Teraz modlę się o wiele rzadziej.
 - Nie sądzę, aby...
 - Liczby mówią jasno, ojciec Pluchę. Reszta to poezja.
 - Właśnie. Gdybyśmy tylko byli trochę bardziej...
 - Proszę nie komplikować spraw, ojciec Pluchę. Problem jest prosty. Ojciec naprawdę wierzy, że Bóg istnieje?
 - No cóż, słowo istnieje wydaje mi się nie-

co przesadne, ale wierzę, że jest, otóż to, na swój sposób jest.

— A czy to jakaś różnica?

— Różnica, Bartleboom, i to jaka różnica. Niech pan weźmie na przykład tę historię siódmego pokoju... tak, historię tego człowieka w hotelu, który nigdy nie opuszcza pokoju i tak dalej, zgoda?

— No i?

— Nikt go nigdy nie widział. Jada, jak się wydaje. Ale równie dobrze mógłby to być kamuflaż. Mógłby nie istnieć. Wymysł Diry. Ale dla nas, tak czy inaczej, on tam jest. Wieczorem w tym pokoju zapala się światło, czasem słychać jakieś odgłosy, pan też, jak widziałem, przechodząc tamtędy zwalnia, stara się coś zobaczyć, coś usłyszeć... Dla nas ten człowiek tam jest.

— Ależ to nieprawda, a zresztą to jakiś wariat, to...

— To nie wariat, panie Bartleboom. Dira mówi, że to dżentelmen, prawdziwy pan. Mówi, że ma jakiś sekret, tylko tyle, a poza tym to osoba zupełnie normalna.

— I ojciec w to wierzy?

— Nie wiem, kto to jest, nie wiem, czy istnieje, ale wiem, że tam jest. Dla mnie jest. I jest to ktoś, kto się boi.

— Boi się? Bartleboom kręci głową.

— Ale czego?

— Pan nie idzie na plażę?

— Nie.

i io

— Pan nie spaceruje, nie pisze, nie maluje obrazów, nie mówi, nie zadaje pytań. Pan czeka, prawda?

— Tak.

— A dlaczego? Dlaczego nie zrobi pan tego, co pan musi zrobić, żeby mieć to już za sobą? Adams podnosi wzrok na tę dziewczynkę, która, jeśli chce, mówi głosem kobiety, a teraz właśnie chce.

— Na całym świecie, w tysiącach różnych miejsc, widziałem takie hotele. Albo może: widziałem ten hotel w tysiącu najróżniejszych miejsc na świecie. Ta sama samotność, te same kolory, te same zapachy, ta sama cisza. Ludzie tam przyjeżdżają i czas staje w miejscu. Są tacy, na których robi to wrażenie bliskie szczęścia, prawda?

— Są tacy.

— Ja, gdybym mógł się cofnąć wstecz, wybrałbym właśnie to: żyć na wprost morza. Milczenie.

— Na wprost. Milczenie.

— Adams... Milczenie.

— Niech pan przestanie czekać. To przecież nic trudnego zabić kogoś.

— Ale według ciebie ja tam umrę?

— W Daschenbach?

— Kiedy wniosą mnie do morza.

— Ależ skąd...

- Daj spokój, powiedz mi prawdę, ojcze Pluchę, nie żartuj.
 - Nie umrzesz, przysięgam ci, nie umrzesz.
 - A skąd wiesz?
 - Wiem.
 - E tam.
 - Śniło mi się.
 - Śniło...
 - No to posłuchaj. Pewnego wieczoru idę spać, wsuwam się do łóżka i kiedy mam już zgasić, widzę, że drzwi otwierają się i wchodzi jakiś mały chłopiec. Pomyślałem, że to służący, czy coś takiego. A tymczasem on podchodzi do mnie i pyta: „Czy jest coś, o czym chciałbyś śnić tej nocy, ojcze Pluchę?”. Po prostu. A ja mówię: „O hrabinie Varmeer w kąpielu”.
 - Ojcze Pluchę...
 - To był taki dowcip, zgoda? No i dobrze, on nic nie mówi, lekko się uśmiecha i wychodzi. Ja zasypiam i co mi się śni?
 - Hrabina Varmeer w kąpielu.
 - Właśnie.
 - No i co?
 - I nic, pełny zawód...
 - Brzydka?
 - Szczupła tylko z pozoru, pełny zawód... W każdym razie... Ten chłopiec przychodzi co wieczór. Nazywa się Ditz. I za każdym razem pyta, czy chcę, żeby coś mi się przyśniło. Więc przedwczoraj powiedziałem mu: „Chcę, żeby mi się przyśniła Elisewin. Żeby mi się przyśniła dorosła”. Zasnąłem i miałem sen o tobie.
- 112
- I jaka byłąm?
 - Żywa.
 - Żywa? I co jeszcze?
 - Żywa. Nie pytaj o nic więcej. Byłaś żywa.
 - Żywa... ja?
- Ann Deveria i Bartleboom, siedzący obok siebie w wyciągniętej na brzeg łodzi.
- A pani co mu odpowiedziała? — pyta Bartleboom.
 - Nie odpowiedziałam mu.
 - Nie?
 - Nie.
 - I co teraz będzie?
 - Nie wiem. Myślę, że przyjedzie.
 - Jest pani szczęśliwa z tego powodu?
 - Pragnę go. Ale nie wiem.
 - Może przyjedzie i zabierze panią, na zawsze.
 - Niech pan nie mówi głupot, panie Bartleboom.
 - A dlaczego nie? Sama pani mówiła, że ją kocha, że poza panią nie ma nikogo na świecie... Kochanek Ann Deveria odkrył wreszcie, gdzie mąż ją zesłał. Napisał. W tej chwili jest już może w drodze ku morzu, ku tej plaży.

— Ja bym tu przyjechał i zabrał panią, na zawsze.

Ann Deveria uśmiecha się.

— Niech pan to powie jeszcze raz, Bartleboom. Tym samym tonem, proszę. Niech pan to powie jeszcze raz.

8 — Ocean morze

"?

— Tam... o, tam!

— Gdzie tam?

— Tam... nie, bardziej na prawo, o proszę, tutaj...

— Widzę go! Widzę, mój Boże.

— Trzymasztowiec!

— Trzymasztowiec?

— To trzymasztowiec, nie widzi pan?

— Trzy maszty?

— Plasson, ale odkąd my tu już jesteśmy?

— Od zawsze, madame.

— Nie, ja pytam serio.

— Od zawsze, madame. Serio.

— Moim zdaniem, to ogrodnik.

— Dlaczego?

— Zna nazwy drzew.

— A pani skąd to wie, Elisewin?

— Mnie tam ta historia z siódmym pokojem wcale się nie podoba.

— A co to panu przeszkadza?

— Boję się człowieka, którego nie można zobaczyć.

— Ojciec Pluchę mówi, że to on się boi.

— Ale czego?

114

— Co jakiś czas zastanawiam się, na co my właściwie czekamy.

Milczenie.

— Żeby było za późno, madame.

Mogłoby tak trwać wiecznie.

Księga druga BRZUCH MORZA

Czternaście dni po wypłynięciu z Rochefort, fregata „Alliance” z francuskiej marynarki osiadła, z winy kapitana czy niedokładnych map, na mieliźnie u wybrzeży Senegalu. Próby uwolnienia kadłuba zawiodły. Nie pozostawało nic innego,

jak opuścić statek. Ponieważ było za mało szalup, by pomieścić całą załogę, zbudowano i spuszczone na wodę tratwę długą na czterdzieści stóp i o połowę węższą. Zeszło na nią 147 osób: żołnierze, marynarze, kilkoro pasażerów, czterech oficerów, lekarz i inżynier kartograf. Plan ewakuacji statku zakładał, że cztery szalupy, jakimi dysponowano, doholują tratwę do brzegu. Wkrótce jednak po opuszczeniu wraku „Alliance” panika i zamieszanie ogarnęły konwój, który starał się powoli płynąć w stronę wybrzeża. W wyniku nieudolności czy nikczemności — nikomu nie udało się nigdy ustalić prawdy — szalupy straciły

kontakt z tratwą. Lina holownicza pękła. Albo ktoś ją przeciął. Łodzie płynęły dalej w stronę lądu, a tratwa znalazła się na łasce losu. Nie minęło pół godziny, gdy porwana przez prądy zniknęła za horyzontem.

119

Po pierwsze moje nazwisko, Savigny.

Po pierwsze moje nazwisko, po drugie spojrzenia tych, którzy nas porzucili — ich oczy w tamtej chwili — patrzyli prosto na tratwę, nie byli w stanie spojrzeć gdzie indziej, ale w tych spojrzeniach nie było nic, absolutna pustka, ani nienawiści, ani litości, żalu, strachu, nic. Ich oczy.

Po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po trzecie jedna myśl: zaraz zginę, nie zginę. Zaraz zginę nie zginę zaraz zginę nie zginę zaraz — woda sięga do kolan, tratwa sunie pod powierzchnią morza, przygnieciona ciężarem zbyt wielu osób — zginę nie zginę zaraz zginę nie zginę — zapach, zapach strachu, morza i ciał, drewno trzeszczące pod stopami, głosy, liny do trzymania się, moje ubranie, moja broń, twarz mężczyzny, który — zaraz zginę nie zginę zaraz zginę nie zginę zaraz zginę — fale wszędzie wokół, nie trzeba myśleć gdzie jest ziemia? kto nas prowadzi, kto dowodzi?, wiatr, prąd, modlitwy jak płacz, modlitwy jak gniew, wyjące morze, strach który

Po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po trzecie jedna myśl, po czwarte noc, która nadciąga, chmury kryjące światło księżyca, straszna ciemność, nic tylko dźwięki, czyli krzyk i płacz i modły i przekleństwa i morze coraz wyższe, omiatające ze wszystkich stron to kłębowisko ciał — nie pozostaje nic jak ucześć się czegoś, liny, belki, czyjegoś ramienia, całą noc w wodzie, pod wodą,

120

gdyby choć światło, jakiegokolwiek światło, ta ciemność jest wieczna i nie do zniesienia ten lament towarzyszący każdej chwili — ale przez mgnienie oka, pamiętam, pod chłaskaniem niespodziewanej fali, ściany wody, pamiętam, niespodziewana cisza, przerażająca cisza, chwila i mój krzyk, mój krzyk, mój krzyk,

Po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po trzecie jedna myśl, po czwarte noc, która nadciąga, po piąte udręczone ciała wciśnięte między belki tratwy, jakiś człowiek jak szmata wiszący na palu, który przebił mu pierś i nie puszcza, chwieje się w morskim tańcu w świetle dnia, które odsłania zamordowanych w ciemności przez morze, odczepiają ich kolejno z ich szubienic i morzu oddają, które ich zabrało, morze ze wszystkich stron, nie ma ziemi, nie ma statku na horyzoncie, nic — i w tym krajobrazie trupów i nicości jakiś człowiek przepycha się oto przez tłum, bez słowa ześlizguje się w morze i zaczyna płynąć, po prostu odchodzi, a inni na ten widok skaczą za nim, niektórzy właściwie nawet nie płyną, osuwają się tylko w morze bez jednego ruchu i znikają — ich widok jest wręcz kojący — obejmują się przed odejściem w morze — niespodziewane łzy na twarzach mężczyzn — a potem osuwają się w morze i wciągają słoną wodę głęboko do płuc, by przepaliła wszystko — nikt ich nie zatrzymuje, nikt

Po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po trzecie jedna myśl, po czwarte noc, która zapada, po piąt-

121

te te udręczone ciała, po szóste głód — głód, co rośnie w środku, kasa w gardle i przesłania oczy, pięć beczek wina i jedyny worek sucharów, kartograf Correard mówi: Nie damy rady — ludzie patrzą na siebie, śledzą się ukradkiem, ta chwila zdecyduje o tym, j ? ? będzie się walczyć, jeśli dojdzie do walki, Lheureux, pierwszy oficer, mówi: Na każdego człowieka dwie szklanki wina i suchar — śledzą się ludzie ukradkiem, może to światło dnia czy morze kołyszające się leniwie, jakby nastąpiło zawieszenie broni, czy słowa, które Lheureux mówi wolno i dobitnie stojąc na jednej z beczek: Uratujemy się przez nienawiść do tych, którzy nas zostawili, i wrócimy, aby im spojrzeć w oczy, i nie będą już mogli spać, ani żyć, ani ująć przekleństwu, jakim staniemy się dla nich, my, żywi, i oni, zabijani codziennie, do końca, własną winą — może to tamto ciche światło czy fale kołyszające się leniwie, jakby nastąpiło zawieszenie broni, ale oto ludzie milkną, a desperacja przekształca się w spokój i porządek — przechodzą przed nami kolejno, ich ręce, nasze ręce, po jednej racji na każdego — to prawie absurd, jak dobrze pomyśleć, na środku morza ponad stu ludzi pokonanych, zgubionych, załamanych ustawia się w karny szereg, doskonały rysunek w bezkształtnym chaosie morskiego wnętrza, by przeżyć, milcząco, z nieludzką cierpliwością i nieludzkim rozsądkiem

Po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po trzecie jedna myśl, po czwarte noc, która zapada, po piątę te udręczone ciała, po szó-

122

ste głód i po siódme strach, strach pojawiający się nocą — znowu noc — strach, okrucieństwo, krew, śmierć, nienawiść, nikczemny strach. Zawładnęli jedną beczką, a wino zawładnęło nimi. Przy świetle księżyca jakiś człowiek wali siekierą w wiązania tratwy, jeden z oficerów próbuje go zatrzymać, rzucają się na niego, zadają ciosy nożem, wraca ku nam zakrwawiony, wyciągamy szable i strzelby, światło księżyca znika za chmurami, nic nie widać, ta chwila trwa bez końca, potem wali się na nas niewidoczna fala ciał i krzyku, i broni, ślepa desperacja szukająca śmierci, niech to się wreszcie raz skończy, i nienawiść szukająca wroga, tu i teraz, by zawlec go do piekła — i w świetle, które pojawia się i znika, pamiętam te ciała biegnące na nasze szable, i odgłosy wystrzałów, i krew tryskającą z ran, i stopy ślizgające się na głowach wciśniętych między belki tratwy, i tych desperatów czołgających się z połamanymi nogami do nas, by, nie mając już broni, gryźć nas w nogi i nie puszczać, w oczekiwaniu na cios i mordercze ostrze, pamiętam wreszcie śmierć dwóch spośród nas, rozszarpanych dosłownie zębami tej nieludzkiej bestii, która wyszła z nicości nocy, i dziesiątków spośród nich, zasiekanych i potopionych, wloką się tratwą patrząc jak zahipnotyzowani na swoje okaleczenia, wzywają świętych zanurzając ręce w ranach naszych ludzi, by wydrzeć im wnętrzności — pamiętam — jakiś mężczyzna rzuca się na mnie, zaciska mi ręce na szyi i próbując mnie udusić nie przestaje równocześnie powtarzać płaczliwie „litości, litości, litości”,

123

absurdalne widowisko, moje życie jest w jego palcach, a jego na ostrzu mojej szabli, która w końcu wchodzi mu w bok, a potem w brzuch, a potem w gardło, a potem w głowę, która stacza się do wody, a potem w to, co zostało, krwawą miazgę zwiniętą między belkami tratwy, niepotrzebną kukłę, w której moja szabla zanurza się raz i drugi i trzeci i czwarty i piąty

Po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po trzecie jedna myśl, po czwarte noc, która zapada, po piąte te udręczone ciała, po szóste głód, po siódme strach i po ósme widmo szaleństwa unoszące się nad tą prawdziwą rzeźnią, przerażającym polem walki omiatanym przez fale, wszędzie ciała, kawałki ciał, twarze zielonkawe, żółtawe, krew zakrzepła na oczach bez powiek, rozdarte rany i rozdarte usta, niczym trupy wyrzucone przez ziemię, niedorzeczny wstrząs sejsmiczny siejący wokół zmarłych, umierających, chwiejny szkielet tratwy wybrukowany konającymi, wśród których krążą żywi — żywi — okradający trupy z ich

nędnego mienia, a przede wszystkim pogrążający się kolejno w szaleństwie, każdy na swój sposób, każdy z własnym widmem wydartym rozumowi przez głód, pragnienie,

strach i rozpacz. Widma. Ziemia, którą widzą, Ziemia! czy statki na horyzoncie. Krzyczą, ale nikt ich nie słucha. Ktoś pisze urzędowy list protestacyjny do admiralicji, by wyrazić oburzenie, ujawnić nikczemność i domagać się oficjalnie... Słowa, modlitwy, wizje, stado latających ryb, chmura wskazująca drogę ratunku,

124

matki, rodzeństwo, żony, które zjawiają się, by opatrzyć rany, dać wodę i ukojenie, ktoś szuka niespokojnie swojego lustra, oddajcie mi moje lustro, jakiś człowiek błogosławi umierających przeklinając i płacząc, ktoś przemawia do morza cichym głosem, mówi do niego siedząc na skraju tratwy, uwodzi je, rzecz by można, słyszy jego odpowiedzi, morze odpowiada, ostatni dialog, niektórzy w końcu ulegają jego chytrym słowom i, przekonani, osuwają się w końcu do wody i oddają wielkiemu przyjacielowi, który pochłania ich i unosi daleko — gdy tymczasem po tratwie biega ciągle tam i z powrotem Leon, mały chłopiec, Leon majtek, Leon dwunastoletni, którego ogarnęło szaleństwo, strach odwiódł od zmysłów i biega tam i z powrotem od jednego krańca tratwy po drugi, krzycząc bez wytchnienia jedno i to samo mamó, moja mamó, moja mamó, moja mamó, Leon o słodkim spojrzeniu

i aksamitnej skórze biega jak szalony, ptak w klatce, aż go to zabija, pęka mu serce, czy może coś innego w środku, coś, co go powala niespodzianie z wywróconymi oczami i piersią wstrząsaną konwulsyjnym drżeniem i każe w końcu znieruchomieć na deskach, skąd podnoszą go ramiona Gilberta — Gilberta, który go kochał — i ściskają — Gilberta, który go kochał, a teraz oplakuje go i całuje niepokieszony, dziwny widok, tutaj w samym środku piekła twarz tego starca schylonego nad wargami dziecka, dziwny widok te pocałunki, jakże mógłbym je zapomnieć, ja, który te pocałunki widziałem, ja bez wizji, ja o krok od śmierci i nie mający na

125

pociechę nawet jakiegoś widma czy łagodnego szaleństwa, ja, który przestałem liczyć dni, lecz wiem, że każdej nocy pojawi się znowu ta bestia, musi się pojawić bestia strachu, nocna masakra, ta wojna, którą tu prowadzimy, ta śmierć, którą rozsiewamy wkoło, by nie umrzeć, my, co

Po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po trzecie jedna myśl, po czwarte noc, która zapada, po piąte te udręczone ciała, po szóste głód, po siódme strach, po ósme widmo szaleństwa i po dziewiąte to obłędne mięso, mięso suszące się na wantach żagla, krwawe mięso, mięso, mięso ludzkie, w moich rękach, pod moimi zębami, mięso ludzi, których widziałem, którzy tu byli, ciało ludzi żywych, a potem umarłych, zamordowanych, pociętych, oszalałych, ciało z ramion i nóg, które widziałem w walce, ciało odcięte od kości, bezimienne mięso, które teraz pożeram oszalały z głodu, całe dni przeżuwanie skóry naszych pasów i kawałków tkanin, nie ma już nic na tej okrutnej tratwie, nic, woda morska i mocz studzony w blaszanych kubkach, kawałki cyny trzymane pod językiem, by nie oszaleć z pragnienia, i gówno, którego nie sposób przełknąć, i sznury przesiąknięte krwią i solą, jedyne pożywienie, które ma posmak życia, dopóki ktoś, ślepy z głodu, nie pochyli się nad trupem przyjaciela i płacząc, mówiąc coś, modląc się nie odetnie mu kawałka ciała i nie zaciągnie go jak zwierzę w jakiś ką, gdzie zacznie go ssać i gryźć, i wymiotując gryźć znowu, z wściekłością pokonując obrzydzenie, by

126

wyrwać śmierci ostatnią ścieżkę do życia, okrutną ścieżkę, na którą przecież i my wkraczamy po kolei wszyscy, zrównani w tym zezwierzczeniu, jak szakale, ucichli wreszcie, każdy ze swoim strzępem mięsa, cierpki smak pod zębami, ręce oblepione krwią, w brzuchu paraliżujący spazm bólu, zapach śmierci, zapach stęchlizny, skóra, rozpadające się mięso, włókna mięsa ociekające wodą i surowicą, te ciała otwarte jak krzyk, zastawione stoły dla zwierząt, którymi jesteśmy, koniec wszystkiego, straszna kapitulacja, ohydna klęska, odrażająca porażka, bluźniercza katastrofa, i wtedy właśnie podnoszę wzrok — wtedy — podnoszę wzrok — wzrok — wtedy podnoszę wzrok i widzę je — ja — widzę: morze. Po

raz pierwszy, po tylu dniach, widzę je naprawdę. I słyszę jego nieludzki głos i silny zapach, a wewnątrz jego niepowstrzymany taniec, niekończącą się falę. Wszystko znika i zostaje tylko ono, przede mną, na mnie. Objawienie. Rozwiewa się zasłona bólu i strachu, co spowijała mi duszę, rozpada sieć podłości, okrucieństw, horroru, w której tkwiły moje oczy, rozprasza cień śmierci, który zaciemniał mi umysł i w nagłym świetle zaskakującej jasności widzę wreszcie, czuję i rozumiem. Morze. Wydawało się widzem milczącym, przyzwalającym. Wydawało

się ramą, scenografią, tłem. Teraz patrzę na nie i pojmuję: morze było wszystkim. Od pierwszej chwili było wszystkim. Widzę, jak tańczy wokół mnie, okazałe w lodowatym świetle, wspaniałe, nieskończone monstrum. To ono było w rękach zadających

127

śmierć, w umierających zmarłych, to ono było w pragnieniu i głodzie, było w

agonii, w podłości i szaleństwie, ono było nienawiścią i rozpaczą, litością i rezygnacją, ono jest tą krwią i tym mięsem, ono jest tą potwornością i tym blaskiem. Nie ma tratwy, nie ma ludzi, nie ma słów, uczuć, gestów, niczego. Nie ma winnych i niewinnych, skazanych i ocalonych. Jest tylko morze. Wszystko stało się morzem. My, opuszczeni przez ziemię, staliśmy się brzuchem morza i brzuch morza to my, to w nas oddycha i żyje. Patrzą, jak tańczy w swym połyskliwym płaszczu dla uciechy własnych niewidzialnych oczu, i wreszcie pojmuję, że to wszystko tutaj to nie jest klęska człowieka, lecz wyłącznie triumf morza i jego chwała, a zatem hosanna ??, hosanna, hosanna oceanowi morzu, potężniejszemu nad inne i wspanialszemu od innych, hosanna ?? ? chwała, panu i słudze, ofierze i katu, hosanna, ziemia skłania się przed jego krokiem, a on muska wonnymi wargami kraj jej szaty, święte, święte, ŚWIĘTE łono wszystkiego, co się ??-dzi, i brzuch wszystkiego, co umiera, HOSANNA MU I CHWAŁA, morzu, gdzie każdy los, każde serce

znajdzie przytułek, początkowi i końcu, kresowi i źródłu, panu nicości, mistrzowi wszystkiego, hosanna ?? ? chwała, panu czasu i władcy nocy, jednemu i jedyemu, HOSANNA, bo jego jest horyzont i zawrotne łono, głębokie i niezbadane, i chwała, chwała, chwała na wysokości, bo nie ma nieba, które by się w Nim nie przeglądało i nie gubiło, nie ma ziemi, która by

128

przed Nim nie ustąpiła, przed Nim niepokonanym, przed Nim oblubieńcem Luny i troskliwym ojcem łagodnych przypraw, przed Nim chylą się wszyscy ludzie i intonują HOSANNA I CHWAŁA, bo Ono jest w nich i w nich rośnie, a oni w Nim żyją

i umierają, i jest dla nich zagadką i celem i prawdą i potępieniem i ratunkiem i jedyną drogą ku wieczności, i tak jest, i tak będzie zawsze, aż po sam kres dni, który będzie kresem morza, jeśli morze mieć będzie kres, Ono, Święte, Jedno i Jedyne, Ocean Morze, któremu niech będzie HOSANNA I CHWAŁA aż po wieki wieków. AMEN.

Amen. Amen. Amen. Amen. Amen. Amen. Amen. Amen. Amen. Amen. Po pierwsze po pierwsze moje nazwisko, po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po trzecie jedna myśl, po czwarte noc, która nadchodzi, po pierwsze moje nazwisko, po drugie

9 — Ocean morze

129

tamte oczy, po trzecie jedna myśl, po czwarte noc, która nadchodzi, po piąte te udęczone ciała, po szóste głód,

po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po trzecie jedna myśl, po czwarte noc, która nadchodzi, po piąte te udęczone ciała, po szóste głód, po siódme strach, po ósme widmo szaleństwa

po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po trzecie jedna myśl, po czwarte noc, która nadchodzi, po piąte te udęczone ciała, po szóste głód, po siódme strach, po ósme widmo szaleństwa, po dziewiąte mięso i po dziesiąte

człowiek, który patrzy na mnie i mnie nie zabija. Nazywa się Thomas. Był najsilniejszy z nich wszystkich. Bo był przebiegły. Nie udało się nam go zabić. Próbował to zrobić Lheureux pierwszej nocy. Próbował Corrécard. Ale ten człowiek jest niespożyty. Wokół niego poginęli wszyscy jego towarzysze. Na tratwie zostało nas piętnastu. I jednym z tych piętnastu jest on. Długo tkwił w rogu najbardziej od nas odległym. Potem zaczął się powoli czołgać i przybliżać. Każdy ruch jest wysiłkiem nie do pojęcia, wiem o tym dobrze, ja, który leżę tu nieruchomo od ubiegłej nocy i tu postanowiłem umrzeć. Każde słowo jest okrutnym wysiłkiem, a każdy ruch nieznośnym trudem. Ale on nie przestaje się zbliżać. Za pasem ma nóż. I to o mnie mu chodzi. Wiem o tym.

Bóg wie, ile czasu minęło. Nie ma już dnia, nie ma już nocy, wokół trwa nieruchoma cisza. Jesteśmy dryfującym cmentarzem. Otwieram oczy

130

i widzę go przy sobie. Nie wiem, czy to koszmar senny, czy prawda. Może to tylko szaleństwo, które wreszcie i mną owładnęło. Ale jeśli to jest szaleństwo, sprawia ból, nie ma w nim nic kojącego. Chciałbym, żeby ten człowiek coś zrobił. Ale on tylko patrzy na mnie. Ja nie mam już broni. On ma nóż. Ja nie mam już zupełnie siły. On ma w oczach spokój i siłę polującego zwierzęcia. To nie do wiary, że potrafi jeszcze nienawidzić, tutaj, w tym plugawym dryfującym więzieniu, gdzie nie ma już nic poza śmiercią. To nie do wiary, że potrafi jeszcze pamiętać. Gdybym tylko był w stanie mówić, gdyby tylko było jeszcze we mnie trochę życia, powiedziałbym mu, że musiałem to zrobić, że nie ma litości, nie ma winy w tym piekle i że nie ma tu ani mnie, ani jego, tylko morze, ocean morze. Powiedziałbym mu, żeby już na mnie nie patrzył, żeby mnie zabił. Z łaski swojej. Ale nie jestem w stanie mówić. On nie rusza się z miejsca, nie odrywa swoich oczu od moich. I nie zabija mnie. Czy to wszystko skończy się wreszcie? Na tratwie i wszędzie wokół jest przeraźliwa cisza. Nikt się już nie skarży. Umarli nie żyją, żywi czekają i tyle. Żadnych modlitw, żadnych krzyków, nic. Morze tańczy, lecz powoli, jakby na pożegnanie, po cichu. Nie czuję już głodu ani pragnienia, ani bólu. Tylko ogromne znużenie. Otwieram oczy. Ten człowiek jest tu nadal. Zamykam je znowu. Zabij mnie, Thomas, lub daj mi umrzeć w spokoju. Już się zemściłeś. Odejdź. Popatrz na morze. Ja jestem już ni-

131

czym. Moja dusza nie jest już moją, nie jest już moim moje życie, nie kradnij mi tymi oczami śmierci.

Morze tańczy powoli.

Żadnych modlitw, żadnych jęków, nic.

Morze tańczy powoli.

Będzie patrzeć na moją śmierć?

Nazywam się Thomas. A to jest historia hańby. Piszę ją teraz w myśli resztką sił, jakie mi jeszcze zostały, z oczami utkwionymi w tego człowieka, któremu nie przebaczę nigdy. Przeczyta ją śmierć.

„Alliance” był statkiem dużym i mocnym. Morze nigdy by go nie pokonało. Potrzeba trzech tysięcy dębów, by zbudować taki statek. Pływający las. Zgubiła go głupota

ludzi. Kapitan Chau-mareys sprawdzał mapy i mierzył odległość od dna. Ale nie umiał czytać morza. Nie umiał czytać jego barw. „Alliance” wpadł na mieliznę Arguin, zanim ktokolwiek go powstrzymał. Dziwna katastrofa: dało się słyszeć coś niby głuchy jęk płynący z głębi kadłuba, po czym statek utknął, przechylony lekko na bok. Znieruchomiały. Na zawsze. Widywałem wspaniałe statki walczące z dzikimi burzami i widziałem, jak kilka z nich poddaje się i ginie w falach wysokich jak zamki. To było niczym pojedynek. Piękne. Ale „Alliance” nie mógł walczyć. Zginął po cichu. Morze wokoło było prawie płaskie. Wróg był w środku, nie na zewnątrz. I cała jego siła na nic się nie zda-

132

ła wobec takiego wroga. Widziałem wielu ludzi ginących w tak absurdalny sposób. Ale nigdy nie widziałem statków.

Kadłub zaczynał trzeszczeć. Postanowili zostawić „Alliance” własnemu losowi i zbudowali tę tratwę. Miała zapach śmierci, zanim jeszcze spuszczone ją na wodę. Ludzie to czuli i tłoczyli się wokół szalup ratunkowych, by ujść tej pułapce. Schodzili na nią pod lufami karabinów. Komendant obiecał i przysiągł, że ich nie zostawi, że szalupy wezmą tratwę na hol, że nie ma żadnego ryzyka. Wylądowali, ściśnięci jak bydło, na tej barce bez burt, bez kila, bez steru. Ja byłem jednym z nich. Byli tam żołnierze i marynarze. Jacyś pasażerowie. A także czterech oficerów, kartograf i lekarz nazwiskiem Savigny: zajęli miejsce na środku tratwy, gdzie złożono zapasy, te nieliczne, które nie wpadły do morza w zamieszaniu towarzyszącym przesiadce. Stali na skrzyni: wokół nich staliśmy my, po kolana w wodzie, bo tratwa zanurzała się pod naszym ciężarem. Już w tamtej chwili powinienem był wszystko zrozumieć.

Z tamtych wydarzeń pozostał mi jeden obraz. Schmaltz. Schmaltz, gubernator, ten, który, w imieniu króla, miał objąć w posiadanie nowe kolonie. Spuszczono go z prawej burty w fotelu. Złożony, aksamitny fotel, a w nim on, niewzruszony. Spuścili ich w dół, jakby byli jedną figurą. My, na tej tratwie, przycumowani jeszcze do „Alliance”, ale już zmagający się z morzem i strachem. A on tam, zawieszony w próżni, opuszcza-

133

ny na swoją szalupę w błogim spokoju, niczym ci anieli, których spuszczają z sufitu w miejskich teatrach. Kołysał się razem ze swoim fotelem jak wahadło. A ja pomyślałem: kołysze się jak wisielec w wieczornej bryzie.

Nie wiem, kiedy dokładnie nas zostawili. Walczyłem o to, by utrzymać się na nogach i by Therese była blisko mnie. Ale usłyszałem krzyki, a potem strzały. Podniosłem wzrok. I ponad dziesiątkami chwiejących się głów i dziesiątkami przecinających powietrze rąk, ujrzałem morze i dalekie szalupy, i pustkę między nami i nimi. Patrzyłem nie wierząc oczom. Wiedziałem, że nie wrócą. Byliśmy zdani na łaskę losu. Tylko szczęśliwy traf mógł nas uratować. Ale pokonani nigdy nie mają szczęścia.

Therese była młodą dziewczyną. Nie wiem, ile lat miała naprawdę. Ale wyglądała jak młoda dziewczyna. Kiedy byłem w Rochefort i pracowałem w porcie, przechodziła z koszami ryb i patrzyła na mnie. Patrzyła tak długo, aż się w niej zakochałem. Tylko ją tam miałem. Moje życie, cokolwiek było warte, i ją. Kiedy

zaciągnąłem się do ekspedycji płynącej do nowych kolonii, udało mi się załatwić jej miejsce markietanki. I tak wyruszyliśmy obydwój, zaokrętowani na „Alliance”. Wydawało się to zabawą. Tak naprawdę, przez pierwsze dni wydawało się zabawą. Jeśli rozumiem, co znaczy być szczęśliwym, my, w tamte noce, byliśmy szczęśliwi. Kiedy znalazłem się wśród tych, którzy mieli zejść na tratwę, Therese postanowiła pójść ze mną. Mogła popłynąć

134

szalupą, ale chciała pójść ze mną. Powiedziałem jej, żeby nie robiła głupstw, że spotkamy się na lądzie, że nie musi się niczego obawiać. Ale ona nie chciała mnie słuchać. Byli mężczyźni wielcy i silni jak skały, którzy płaczliwie błagali o miejsce na tych przeklętych szalupach, skacząc z tratwy i ryzykując śmierć, byle stąd uciec. Ona zeszła na tratwę bez słowa, kryjąc się ze swym strachem. Kobiety robią czasem rzeczy, które wprawić mogą w osłupienie. Choćbym próbował przez całe życie, nie byłbym zdolny do tej płochości, jaką one potrafią niekiedy okazać. Są lekkie w środku. W środku.

Pierwsi zginęli nocą, zepchnięci do morza przez fale omiatające tratwę. Z ciemności dochodziły ich oddalające się stopniowo krzyki. O świcie brakowało dziesięciu ludzi. Niektórzy leżeli wciśnięci między bale tratwy, tratowani przez innych. Czterej oficerowie, razem z kartografem Correard i lekarzem Savigny, ujęli sytuację w swojej ręce. Mieli broń. I pilnowali zapasów. Ludzie im ufali. Lheureux, jeden z oficerów, wygłosił nawet piękne przemówienie, kazał podnieść żagiel i powiedział Zawiedzie nas na ląd, a tam ścigać będziemy tych, co nas zdradzili i zostawili, i nie spoczniemy, póki nie zasmakują naszej zemsty. Tak właśnie powiedział: póki nie zasmakują naszej zemsty. Nie wyglądał nawet na oficera. Wydawał się jednym z nas. Te słowa ludzi rozgrzały. Myśleliśmy wszyscy, że naprawdę tak się skończy. Należało tylko nie bać się i wytrwać. Morze uspokoiło się. Lekki wiatr wydymał nasz prowizorycz-

135

ny żagiel. Każdy z nas dostał swoją rację jedzenia i picia. Therese powiedziała do mnie: Damy radę. A ja odparłem: Tak.

Był zachód, gdy oficerowie, nie mówiąc słowa, zepchnęli ze skrzyni jedną z trzech beczek wina, która ześlizgnęła się między nas. Nie kiwnęli palcem, gdy parę osób rzuciło się na nią, otworzyło ją i zaczęło pić. Ludzie biegli do beczki, było wielkie zamieszanie, wszyscy chcieli tego wina, a ja nic nie rozumiałem. Stałem nadal nieruchomo, trzymając przy sobie Therese. Było w tym wszystkim coś dziwnego. Potem dały się słyszeć krzyki i odgłos siekiery, którą ktoś próbował przeciąć sznury trzymające razem belki tratwy. To było jak sygnał. Rozpętała się dzika walka. Było ciemno, tylko chwilami księżyc wysuwał się zza chmur. Słyszałem strzały karabinowe, a w tych nagłych przeblyskach światła widziałem ludzi — jak zjawy — rzucających się na siebie, i trupy, i szable tnące na oślep. Krzyki, wściekłe krzyki i jęki. Miałem tylko nóż: ten sam, który teraz zatopię w sercu tego człowieka, który nie ma już siły uciec. Wyciągnąłem go, ale nie wiedziałem, kto jest wrogiem, nie chciałem zabijać, nic nie rozumiałem. Potem księżyc ukazał się znowu i ujrzałem bezbronnego człowieka, który przyciskał się do Savigny'ego, lekarza, i wołał litości, litości, litości; i nie

przestał tak krzyżeć, kiedy pierwsze pchnięcie szablą dosięgło jego brzucha, a potem drugie i trzecie... Ujrzałem, jak wali się na ziemię. Ujrzałem twarz Savigny'ego. I zrozumiałem. Kto jest wrogiem. I że wróg zwycięży.

136

Okrutnym świtem, kiedy się rozwidniło, na tratwie leżały dziesiątki straszliwie okaleczonych trupów i pełno konających. Wokół skrzyni ze trzydziestu uzbrojonych mężczyzn pilnowało zapasów. W oczach oficerów widniała jakaś pełna euforii pewność. Krążyli po tratwie z obnażonymi szablami, uspokajając żywych i spychając do wody konających. Nikt nie śmiał nic powiedzieć. Strach i oszołomienie po tej nocy nienawiści odjęło mowę i sparaliżowało wszystkich. Nikt jeszcze nie rozumiał, co się naprawdę stało. Ja patrzyłem na to wszystko i myślałem: jeśli tak dalej pójdzie, nie mamy szans. Najstarszy oficer nazywał się Dupont. Przeszedł obok nas w swoim białym mundurze poplamionym krwią, plotąc

o powinnościach żołnierzy i czymś tam jeszcze. Miał pistolet w ręku i szablę w pochwie. Na chwilę odwrócił się do mnie plecami. Wiedziałem, że druga okazja się nie trafi. Nie zdążył nawet krzyknąć, gdy unieruchomiłem go, przykładając mu nóż do gardła. Ludzie ze skrzyni instynktownie wycelowali w nas karabiny. Strzeliliby zapewne, ale Savigny kazał się im zatrzymać. I wtedy, w ciszy, przyciskając nóż do gardła Duponta, zacząłem mówić. Powiedziałem: mordują nas, jednego po drugim. I będą mordować nadal, póki nie zostaną sami. Tej nocy upili nas. Ale następnej nie będą już potrzebować alibi ani pomocy. Mają broń, a nas jest już niewielu. W ciemności zrobią to, co będą chcieli. Możecie mi wierzyć albo nie, ale jest właśnie tak. Nie ma żywności dla wszystkich i oni o tym wiedzą. Nie zostawią przy

137

życiu nikogo, kto nie będzie im potrzebny. Możecie mi wierzyć albo nie, ale jest właśnie tak.

Ludzie wokół mnie stali jak ogłuszeni. Głód, pragnienie, nocna walka, to morze, które ani na chwilę nie przestawało tańczyć... Próbowali myśleć, chcieli zrozumieć. Trudno sobie wyobrazić, że w takim miejscu, zagubieni, walcząc ze śmiercią, zmuszeni jesteśmy odkryć jeszcze jednego, bardziej niebezpiecznego wroga: ludzi jak my. Przeciw nam. Było w tym wszystkim coś niedorzecznego. A jednak była to prawda. Jeden po drugim stawali przy mnie. Savigny wykrzykiwał groźby i rozkazy. Ale nikt go nie słuchał. Chociaż było to idiotyczne, na tej zagubionej na morzu tratwie zaczynała się wojna. Oddaliśmy Dupon-ta żywego w zamian za trochę żywności i broni. Skupiliśmy się w jednym rogu tratwy. I czekaliśmy na noc. Trzymałem Therese przy sobie. Wciąż powtarzała: ja się nie boję. Nie boję się. Nie boję.

Tamtej nocy i następnych, które po niej przyszły, nie chcę pamiętać. Pedantyczna, fachowa masakra. Im więcej mijało czasu, tym oczywistsze stawało się, że aby przeżyć, trzeba zostać w niewielu. I oni, z naukową ścisłością, zabijali. Było coś, co mnie fascynowało w tym opanowanym wyrachowaniu, w tej bezlitosnej inteligencji. Trzeba było nie lada umysłu, by nie stracić w tym upodleniu logicznego ciągu tej eksterminacji. W oczach tego człowieka, które teraz patrzę

na mnie, jakby był senną marą, czytałem tysiąc razy, z nienawiścią i podziwem, oznaki przerażającego geniuszu.

138

Próbowaliśmy się bronić. Ale było to niemożliwe. Słabi mogą tylko uciekać. A nie można uciec z tratwy zagubionej na środku morza. W dzień walczyło się z głodem, rozpaczą, szaleństwem. Potem zapadała noc i znów wybuchała wojna, coraz bardziej zmęczona, osłabła, powolna, prowadzona przez bliskich śmierci morderców przeciw konającej zwierzynie. O świcie nowi zmarli podsycali nadzieję żywych i ich przerażający plan ratunku. Nie wiem, ile to wszystko trwało. Ale, wcześniej czy później, musiało się jakoś skończyć. Skończyła się woda, wino, resztki tego, co jeszcze było do jedzenia. Żaden statek nie przybył na ratunek. Nie było już czasu na żadne kalkulacje. Nie było już po co się zabijać. Widziałem dwóch oficerów, którzy wyrzucili swoją broń do morza i myli się godzinami, maniakalnie, w morskiej wodzie. Chcieli umrzeć niewinni. Tyle tylko zostało z ich ambicji i z ich rozumu. Wszystko daremne. Ta masakra, ich niegodziwość, nasz gniew.

Wszystko

po prostu daremne. Nie ma takiej inteligencji, nie ma takiej odwagi, która mogłaby odmienić los. Pamiętam, że szukałem twarzy Sa-vigny'ego. I w końcu zobaczyłem twarz człowieka, który został pokonany. Teraz wiem, że nawet na granicy śmierci twarze ludzkie kłamią.

Tamtej nocy otworzyłem oczy zbudzony jakimś hałasem i w niepewnym świetle księżyca dostrzegłem zarys stojącego nade mną mężczyzny. Instynktownie chwyciłem

nóż i skierowałem go ku niemu. Mężczyzna zatrzymał się. Nie wiedziałem, czy to sen, koszmar, czy co. Nie wolno

139

mi było zamknąć oczu. Pozostałem na miejscu nieruchomy. Przez chwilę, przez kilka minut, nie wiem. Potem mężczyzna odwrócił się. I zobaczyłem dwie rzeczy. Twarz, a była to twarz Savi-gny'ego, i szablę, która przecina powietrze i spada na mnie. To była chwila. Nie wiedziałem, czy to sen, koszmar, czy co. Nie czułem żadnego bólu. Nie było na mnie krwi. Mężczyzna zniknął. Ja pozostałem nieruchomy.

Dopiero po chwili odwróciłem się i zobaczyłem: obok mnie leżała Thć-rese z rozplataną piersią i szeroko otwartymi oczami, które patrzyły na mnie zdumione. Nie. To nie mogła być prawda. Nie. Teraz, gdy wszystko się skończyło. Dlaczego? To chyba sen, koszmar senny, nie mógł tego zrobić naprawdę. Nie. Nie teraz.

Dlaczego teraz?

— Żegnaj, najdroższy.

— Och nie, nie, nie, nie.

— Żegnaj.

— Nie umrzesz, przysięgam ci.

— Żegnaj.

— Proszę cię, nie umrzesz...

— Daj spokój.

— Nie umrzesz.

— Daj spokój.
— Uratujemy się, musisz mi wierzyć.
— Najdroższy...
— Nie umieraj...
— Najdroższy.
— Nie umieraj. Nie umieraj. Nie umieraj. Morze huczało głośno. Nigdy nie słyszałem, by tak huczało. Wziąłem ją w ramiona i powlokłem

140

się na skraj tratwy. Zsunąłem ją do wody. Nie chciałem, by została w tym piekle. I jeśli nie ma tu skrawka ziemi, która by mogła strzec jej spokoju, niech ją weźmie do siebie głębokie morze. Nieskończony ogród zmarłych, bez krzyży i bez granic. Odplynęła jak fala, ale fala piękniejsza od innych.

Ja nie wiem. Trudno to wszystko zrozumieć. Gdybym miał przed sobą całe życie, spędziłbym je może na opowiadaniu tej historii, bez końca, po tysiąc razy i wreszcie, pewnego dnia, może bym ją zrozumiał. Ale przed sobą mam tylko człowieka, który czeka na mój nóż. A dalej morze, morze, morze.

Jedyny człowiek, który naprawdę mnie czegoś nauczył, starzec nazwiskiem Darrell, mawiał zawsze, że są trzy typy ludzi: ci, którzy żyją na wprost morza, ci, którzy wypuszczają się na morze, i ci, którzy umieją wrócić z morza żywi. I mówił: będziesz zaskoczony, jak odkryjesz, którzy z nich są najszczęśliwsi. Ja byłem wtedy chłopcem. Zimą patrzyłem na statki wyciągnięte na brzeg, podparte ogromnymi drewnianymi szcudłami, z kadłubem w powietrzu i stępką tnącą piasek jak niepotrzebna klinga. I myślałem: ja się tu nie zatrzymam. Chcę dotrzeć daleko w morze. Bo jeśli na tym świecie jest coś prawdziwego, to tylko tam.

Teraz jestem właśnie w takim miejscu, na największej głębiny morskiego brzucha. Jestem jeszcze żywy, bo zabijałem bez litości, bo jadłem to mięso odcięte z trupów moich towarzyszy, bo piłem ich krew. Widziałem mnóstwo rzeczy, które z mor-

141

skiego brzegu są niewidoczne. Zobaczyłem, czym naprawdę jest żądza i czym jest strach. Widziałem, jak ludzie miękną i zamieniają się w dzieci. A potem zmieniają się znowu i stają dzikimi bestiami. Widziałem ludzi śniących sny cudowne i słuchałem najpiękniejszych w życiu historii, opowiadanych przez zwykłych ludzi, którzy w chwilę potem rzucali się w morze i znikali na zawsze. Odczytywałem na niebie nieznanome znaki i wpatrywałem się w horyzont wzrokiem, którego siły dotąd nie znałem. Czym jest nienawiść, zrozumiałem dopiero na tych zakrwawionych balach, zalewany morską wodą jątrzącą rany. I nie wiedziałem, czym jest litość, póki nie zobaczyłem rąk morderców gładzących godzinami włosy towarzysza, który nie może umrzeć. Widziałem okrucieństwo w kopniakach spychających z tratwy konających, widziałem czułość w oczach Gilberta, który całował swego małego Leona, widziałem inteligencję w precyzyjnych ruchach, jakimi Savigny dokonywał swojej masakry, i widziałem szaleństwo w tych dwóch ludziach, którzy pewnego ranka rozłożyli skrzydła i odlecieli w niebo. Choćbym żył jeszcze tysiąc lat, miłością będzie lekki ciężar Therese w moich ramionach na chwilę przed tym, jak ześlizgnęła się w fale. A przeznaczeniem będzie imię

tego oceanu morza, nieskończonego i pięknego. Nie myliłem się tam na brzegu, w owe zimy, myśląc, że tutaj jest prawda. Lata musiały minąć, abym mógł zejść w głąb morskiego brzucha: ale znalazłem to, czego szukałem. Prawdę. Nawet tę najtrudniejszą ze wszyst-

142

kich do zniesienia i okrutnie prawdziwą. To morze jest zwierciadłem. Tu, w jego brzuchu, zobaczyłem samego siebie. Zobaczyłem naprawdę.

Ja nie wiem. Gdybym miał życie przed sobą — ja, który wkrótce mam umrzeć — spędziłbym je na opowiadaniu tej historii, nieprzerwanie, po tysiąc razy, by zrozumieć, co to znaczy, że prawda odsłania się nam tylko w strachu i że, by ją poznać, musieliśmy przejść przez to piekło, by ją zobaczyć, musieliśmy się nawzajem zniszczyć, by ją osiąść, musieliśmy się zmienić w dzikie bestie, by móc ją wydobyć na jaw, musieliśmy zostać złamani cierpieniem. A żeby być prawdziwi, musieliśmy umrzeć. Dlaczego? Dlaczego rzeczy stają się prawdziwe tylko wtedy, gdy ogarnie je rozpacz? Kto ustawił świat w taki sposób, że prawda musi być po ciemnej stronie i że tylko wstydlive bagno ludzkich wyrzutków jest tą ohydną ziemią, na której rośnie coś, co jako jedyne nie jest kłamstwem? I wreszcie: cóż to za prawda, która śmierdzi trupem, i rośnie we krwi, żywi się cierpieniem, i żyje tam, gdzie człowiek się poniża, i triumfuje, gdzie człowiek się rozkłada? Czyja to prawda? Czy to prawda dla nas? Tam na wybrzeżu, w tamte zimy, wyobrażałem sobie prawdę, która jest spokojem, zacisznym schronieniem, ulgą, miłosierdziem, słodyczą. To była prawda stworzona dla nas. Która na nas czekała i pochylałaby się nad nami jak odnaleziona matka. Ale tu, w brzuchu morza, ujrzałem prawdę, która zagnieździła się wśród nas, skrupulatna i doskonała: i to, co ujrzałem, było drapieżnym

143

ptakiem, wspaniałym w locie i okrutnym. Ja nie wiem. To nie o tym marzyłem zimą, gdy o tym marzyłem.

Darrell był jednym z tych, którzy wrócili. Widział brzuch morza, był tutaj, ale wrócił. Ludzie mówili, że to człowiek miły niebu. Przeżył dwie morskie katastrofy i, jak mówiono, za drugim razem przebył ponad trzy tysiące mil w nędznej łódce, by odnaleźć ziemię. Dni i noce w brzuchu morza. A potem wrócił. Dlatego ludzie mówili: Darrell jest mądry, Darrell widział, Darrell wie. Ja słuchałem go po całych dniach: ale o brzuchu morza nigdy mi nic nie powiedział. Nie chciał o tym mówić. Nie podobało mu się nawet, że ludzie mają go za mądrego i doświadczonego. Nie znosił zwłaszcza, gdy ktoś mówił o nim, że się uratował. Nie mógł słuchać tego słowa: uratowany. Opuszczał głowę i przymykał oczy w sposób, którego nie dało się zapomnieć. Patrzyłem wtedy na niego i nie potrafiłem znaleźć słowa na to, co czytałem na jego twarzy, a co, wiedziałem o tym, jest jego sekretem. Tysiąc razy byłem bliski tego słowa. Ale znalazłem je dopiero tu, na tej tratwie, w brzuchu morza. I teraz wiem, że Darrell był człowiekiem doświadczonym i mądrym. Człowiekiem, który widział. Ale przede wszystkim, w głębi każdej przeżywanej chwili, był człowiekiem niepocieszonym. Tego dowiedziałem się w brzuchu morza. Że kto ujrzał prawdę, pozostanie na zawsze niepocieszony. I że naprawdę uratowany jest tylko ten, kto nigdy nie był

w niebezpieczeństwie. Mógłby

144

już teraz nawet ukazać się statek na horyzoncie i przy płynąć po falach aż tu, i dotrzeć na chwilę przed śmiercią, i zabrać nas, i sprawić, że wrócimy żywi, żywi: ale to by nas już i tak nie uratowało naprawdę. Choćbyśmy nawet kiedyś odnaleźli jakąś ziemię, nic nas już nie uratuje. To, co widzieliśmy, zostanie w naszych oczach, to, co zrobiliśmy, zostanie w naszych rękach, to, co czuliśmy, zostanie w naszych duszach. I na zawsze, my, którzy poznaliśmy rzeczy prawdziwe, na zawsze, my, synowie strachu, na zawsze, my, ocaleni z brzucha morza, na zawsze, my, doświadczeni i mądrzy — na zawsze już — będziemy niepokieszeni.

Niepokieszeni.

Niepokieszeni.

Wielka cisza panuje na tratwie. Savigny co jakiś czas otwiera oczy i patrzy na mnie. Jesteśmy tak blisko śmierci, jesteśmy tak głęboko w brzuchu morza, że nawet twarze nie są już w stanie kłamać. Jego twarz jest taka prawdziwa. Strach, znużenie i obrzydzenie. Kto wie, co on czyta na mojej twarzy. Jest teraz tak blisko, że chwilami czuję jego zapach. Zaraz dowlokę się do niego i nożem rozerwę mu serce. Cóż za dziwny pojedynek. Przez całe dni, na tratwie zdanej na łaskę morza, wśród wszystkich tych śmierci, staraliśmy się odnaleźć i zabić. Coraz bardziej bezsilni, coraz wolniej. A teraz ten ostatni sztych zdaje się odwlekać w nieskończoność. Ale nic z tego. Przysięgam. Niech los się nie łudzi: chociaż wszechmocny, nie zdąży zatrzymać tego pojedynku. On

10 — Ocean morze

145

nie umrze, zanim go zabiję. I zabiję go, zanim umrę. Tylko to mi zostaje: lekki ciężar Therese, odcisnięty jak niezatarty ślad w moich ramionach, i potrzeba, pragnienie jakiejś sprawiedliwości. Niechaj to morze wie, że będzie mój. Niech każde morze wie, że będzie mój. Niech każde morze wie, że zdąży przed nim. I nie w jego falach Sa-vigny zapłaci, ale w moich rękach.

Wielka cisza panuje na tratwie. Słysząc tylko huk morza.

Po pierwsze moje nazwisko, po drugie tamte oczy, po trzecie jedna myśl, po czwarte noc, która nadchodzi, po piąte te udręczone ciała, po szóste głód, po siódme strach, po ósme widmo szaleństwa, po dziewiąte mięso i po dziesiąte człowiek, który patrzy na mnie i mnie nie zabija.

A na końcu żagiel.

Biały. Na horyzoncie.

Księga trzecia PIEŚNI POWROTU

i. ELISEWIN

Na skraju lądu, o krok od ogarniętego burzą morza, spoczywał w chwiejnej równowadze hotel Almayer, pogrążony w mroku nocy jak fotografia, dowód miłości, w mroku szuflady. Chociaż było już dawno po kolacji, wszyscy, nie wiedząc czemu, siedzieli nadal w dużym pokoju z kominkiem. Furia morza siała niepokój w sercach i zamęt w myślach.

— Nie chcę nic mówić, ale należałoby może...

— Niech pan będzie spokojny, Bartleboom. Hotele na ogół nie toną.

— Na ogół? Co to znaczy na ogół?

Ale najciekawiej miała się rzecz z dziećmi. Wszystkie razem, z nosami przyklejonymi do szyb, dziwnie milczące, wpatrywały się w panującą na dworze ciemność: Dood, który mieszkał na parapecie okna Bartlebooma, i Ditz, obdarowujący snami ojca Pluchę, i Doi, wypatrujący statków dla Plas-sona. I Dira. I nawet prześliczna dziewczynka sypiająca w łóżku Ann Deveria, której nikt nigdy w hotelu nie widział. Wszystkie razem, nie wiadomo czym zahipnotyzowane, milczące i niespokojne.

149

— Są jak zwierzątka, wierzcie mi. Czują niebezpieczeństwo. To instynkt.

— Plasson, może by pan spróbował uspokoić swego przyjaciela...

— Ja uważam, że ta dziewczynka jest cudowna...

— Niech pani spróbuje, madame.

— Wcale nie potrzebuję, aby ktoś się trudził uspokajaniem mnie, ponieważ jestem najzupełniej spokojny.

— Spokojny?

— Najzupełniej.

— Elisewin... czyż ona nie jest piękna? Przypomina...

— Ojciec Pluchę, powinieś przestać patrzeć ciągle na kobiety.

— To nie kobieta...

— Pewno że kobieta.

— Ale mała...

— Powiedzmy, że rozsądek dyktuje mi świętą ostrożność w ocenie...

— To nie jest rozsądek. To najzwyczajniejszy strach.

— Nieprawda.

— Tak.

— Nie.

— Oczywiście że tak.

— Oczywiście że nie.

— Ach, dosyć. Moglibyście tak ciągnąć godzinami. Ja idę do siebie.

— Dobranoc, madame — powiedzieli wszyscy.

— Dobranoc — odpowiedziała z roztargnieniem Ann Deveria. Ale nie wstała z fotela. Nie zmieniła nawet pozycji. Została na miejscu, nierucho-

150

ma. Jakby się nic nie zdarzyło. Doprawdy: to była dziwna noc.

Może w końcu wszyscy uznaliby tę noc za normalną, za noc jak każda inna, rozeszliby się kolejno do swoich pokojów, zasnęliby nawet mimo tego niezmordowanego łoskotu wzburzonego morza, każdy opatulony w swoje sny, czy skryty w śnie bez słów. Może w końcu ta noc stałaby się naprawdę nocą jak każda inna. Ale nie stała się. Pierwszą, która oderwała oczy od szyb, odwróciła się nagle i wybiegła z pokoju, była Dira. Inne dzieci poszły za nią bez słowa. Plasson spojrział osłupiały na Bartlebooma, który patrzył osłupiały na ojca Pluchę, który patrzył osłupiały na Elisewin, która patrzyła osłupiała na Ann Deveria, która nadal patrzyła przed siebie. Ale z niedostrzegalnym zdumieniem. Kiedy dzieci wróciły do pokoju, niosły w rękach latarnie. Dira zaczęła je

zapalać, jedną po drugiej, z dziwnym pośpiechem.

— Czy coś się stało? — zapytał grzecznie Bartle-boom.

— Niech pan trzyma — odpowiedział Dood, podając mu jedną z zapalonych latarni.

— A pan, panie Plasson, niech weźmie tę tutaj, szybko.

Nikt już nic nie rozumiał. Każdy miał w ręku zapaloną latarnię. Nikt nic nie wyjaśnił, dzieci biegały z jednego końca pokoju w drugi ogarnięte niezrozumiałym niepokojem. Ojciec Pluchę patrzył jak zahipnotyzowany w płomyk swojej latarni. Bartleboom protestował wydając nieokreślone dźwięki. Ann Deveria wstała z fotela.

Elisewin

151

zdała sobie sprawę, że drży. I w tej właśnie chwili wielkie oszklone drzwi, które wychodziły na plażę, otworzyły się na oścież. Jak wystrzelony z ka-tapulty, wściekły wiatr zaczął owiewać wszystko i wszystkich. Twarze dzieci pojaśniały. A Dira powiedziała

— Szybko... tędy!

Wybiegła przez otwarte drzwi ze swoją latarnią w ręku.

— Chodźmy... chodźmy stąd!

Dzieci krzyczały. Ale nie ze strachu. Chciały przekrzyczeć łoskot morza i wiatru. W ich głosach dźwięczała radość — niewytłumaczalna radość.

Bartleboom stał sztywno pośrodku pokoju, kompletnie zdezorientowany. Ojciec Pluchę odwrócił się do Elisewin i ujrzał na jej twarzy uderzającą bladość.

Madame Deveria nie powiedziała ani słowa, ale wzięła swoją latarnię i podążyła za Di-rą. Plasson pobiegł za nią.

— Elisewin, lepiej, żebyś tu została...

— Nie.

— Elisewin, posłuchaj...

Bartleboom wziął machinalnie płaszcz i wybiegł mrużąc coś do siebie.

— Elisewin...

— Chodźmy.

— Nie, posłuchaj mnie... wcale nie jestem pewny, że ty...

Wróciła jedna z dziewczynek — ta prześliczna

— i nie mówiąc słowa wzięła za rękę Elisewin i uśmiechnęła się do niej.

152

— Ja jestem pewna, ojciec Pluchę.

Jej głos drżał. Ale drżał z siły, i z pragnienia. Nie ze strachu.

Hotel Almayer został z tyłu, ze swymi drzwiami trzaskającymi na wietrze i światłami malejącymi w ciemności. Jak rozżarzone kamyki, co wypadły z pieca koksowego, dziesięć małych latarni biegło wzdłuż plaży, rysując w nocy hieroglify, zabawne i tajemnicze. Niewidoczne morze wydawało niewiarygodny huk. Wiał wiatr wprowadzający w pomieszanie świat, słowa, twarze i myśli. Cudowny wiatr. I ocean morze.

— Żądam wyjaśnienia, gdzie my, u diabła, idziemy!

— Co?

— GDZIE, U DIABŁA, IDZIEMY?

— Proszę trzymać wyżej tę latarnię, panie Bartleboom!

- Latarnia!
- Ej, czy naprawdę musimy tak biec?
- Już od lat nie biegałem...
- Co od lat?
- Dood, do licha, czy można wiedzieć...
- OD LAT NIE BIEGAŁEM.
- Wszystko w porządku, panie Bartleboom?
- Dood, do licha...
- Elisewin!
- Jestem tutaj, jestem tutaj.
- Trzymaj się blisko mnie, Elisewin.
- Jestem tutaj.

Cudowny wiatr. Ocean morze.

- Wiecie, co ja myślę?

153

- Że ???
- Według mnie chodzi o statki, statki.
- Statki?
- Tak się robi, gdy na morzu jest burza... Zapala się na brzegu światła dla statków... żeby nie wpadły na skały...
- Słyszał pan, panie Bartleboom?
- Co?
- Będzie pan bohaterem, panie Bartleboom!
- Co ten Plasson, u diabła, mówi?
- Że będzie pan bohaterem! -Ja?
- PANNO DIRO!
- Gdzież on idzie?
- Nie można by się na chwilę zatrzymać?
- Wie pan, co robią mieszkańcy wysp, gdy na morzu jest burza?
- Nie, madame.
- Biegają jak szaleni po wyspie z latarniami uniesionymi nad głową... i w ten sposób statki... w ten sposób statki tracą orientację i lądują na skałach.
- Pani żartuje.
- Wcale nie żartuję... Są całe wyspy, które żyją z tego, co znajdują we wrakach.
- Nie chce pani przecież powiedzieć, że...
- Proszę mi potrzymać latarnię, z laski swojej.
- Zatrzymajcie się na chwilę, do diabła!
- Madame... pani płaszcz!
- Niech pan go zostawi.
- Ale...
- Proszę go, na Boga, zostawić!

154

Cudowny wiatr. Ocean morze.

- Ale co oni robią?
- Panno Diro!

— Gdzie, u diabła, idą?
— No nie...
— DOOD!
— Niech pan biegnie, Bartleboom.
— Tak, ale w którą stronę?
— No nie, dajcie spokój, czy te dzieci nie umieją mówić?
— Proszę spojrzeć tam.
— To Dira.
— Wchodzi na wzgórze.
— Ja idę tędy.
— Dood! Dood! Trzeba iść w stronę wzgórza!
— Ależ gdzie pan idzie?
— Chryste, tu się już zupełnie nie można połapać.
— Proszę trzymać wysoko tę latarnię i biec, ojczy Pluchę.
— Nie zrobię ani kroku dalej, jeśli...
— Ale dlaczego nic nie mówią?
— Wcale mi się nie podobają te ich spojrzenia.
— Co się panu nie podoba?
— Oczy. OCZY!
— Plasson, gdzie się podział Plasson?
— Ja idę z Dołem.
— Ale...
— LATARNIA. MOJA LATARNIA ZGASŁA!
— Madame Deveria, gdzie pani idzie?
— W końcu chciałbym przynajmniej wiedzieć, czy ratuję jakiś statek, czy ma przeze mnie zatonać!

155

— elisewin! Moja latarnia! Zgasła!
— Panie Plasson, co powiedziała Dira?
— Tędy, tędy...
— Moja latarnia...
— MADAME!
— Nie słyszy już pana, panie Bartleboom.
— Ależ to niemożliwe...
— elisewin! Gdzie się podziała Elisewin? Moja latarnia...
— Ojczy Pluchę, niech pan już tu nie stoi.
— Latarnia mi zgasła.
— Do diabła, ja idę tędy.
— Proszę podejść, zapalę ją ojcu.
— Mój Boże, Elisewin, widział ją pan? — Pewno poszła z madame Deveria.
— Przecież była tutaj, była tutaj...
— Proszę trzymać prosto tę latarnię.
— Elisewin...
— Ditz, widziałeś Elisewin?
— DITZ! ditz! Co, u diabła, dzieje się z tymi dziećmi?

- Proszę... latarnia ojca...
- Ja już nic nie rozumiem.
- Dalej, chodźmy.
- Muszę znaleźć Elisewin...
- Chodźmy, ojciec Pluchę, wszyscy są już daleko.
- Elisewin... ELISEWIN! Dobry Boże, gdzie ty się podziałas... ELISEWIN!
- Ojciec Pluchę, proszę przestać, znajdziemy ją...
- ELISEWIN! ELISEWIN! Elisewin, proszę cię...

156

Nieruchoma, ze zgaszoną latarnią w ręku, Elisewin słyszała z daleka swoje imię, przemieszane z wiatrem i hukiem morza. W ciemności przed sobą widziała krzyżujące się światelka wielu latarni, zagubionych każda w swojej podróży skrajem wzburzonego morza. W jej myślach nie było niepokoju ani strachu. W jej duszy, nagle, rozlało się spokojne jezioro. Jego dźwięk przypominał znajomy głos. Odwróciła się i powoli ruszyła z powrotem. Dla niej nie było już wiatru, nie było nocy, nie było morza. Szła i wiedziała, dokąd idzie. Tylko tyle. Cudowne uczucie. Kiedy w końcu przeznaczenie odmyka się przed nami i przybiera kształt ścieżki, jednoznacznego śladu, pewnego kierunku. Ten nieskończony czas przybliżania się. Przysuwania. Chciałoby się, aby to nigdy nie miało końca. Oddać się w ręce losu. To naprawdę emocjonujące. Bez dylematów, bez kłamstw. Wiedzieć dokąd. I dojść. Niezależnie od tego, co ten los oznacza.

Szła — i było to najpiękniejsze ze wszystkiego, co robiła kiedykolwiek.

Widziała coraz bliżej hotel Almayer. Jego światła. Przecięła plażę, stanęła w progu, weszła i zamknęła za sobą te drzwi, przez które razem z innymi, kiedyś, chyba dawno, wybiegła, nie wiedząc jeszcze nic. Cisza.

Po drewnianej posadzce, krok za krokiem. Ziarenka piasku trzeszczące pod stopami. W jakimś kącie, na ziemi, płaszcz porzucony przez Plaso-

157

na, gdy wybiegał w pośpiechu. Na poduszkach fotela odcisk ciała madame Deveria, jakby przed chwilą właśnie podniosła się z miejsca. A na środku pokoju nieruchomy Adams. Który na nią patrzy.

Krok za krokiem, aż znajdzie się przed nim. I powie:

— Nie zrobisz mi krzywdy, prawda? Nie zrobi jej krzywdy, prawda?

— Nie. Nie. Wtedy Elisewin ujęła

w ręce twarz

tego mężczyzny i

pocałowała go.

Na ziemiach Carewall nie przestaliby nigdy opowiadać tej historii. Gdyby ją tylko znali. Nie przestaliby nigdy. Każdy na swój sposób, ale każdy opowiadałby o tych dwojgu i o całej nocy spędzonej na przywracaniu sobie nawzajem życia, wargami i dłońmi, dziewczynka, która nigdy nic nie widziała, i mężczyzna, który widział zbyt dużo, on w niej — każdy skrawek skóry jest podróżą, odkryciem, powrotem — usta Adamsa, by poczuć smak świata, piersi Elisewin, by o nim zapomnieć — w środku tej nocy wzburzonej, czarnej burzy — piany tryskające w ciemności, fale jak walące się góry, huk, donośne podmuchy

158

wiatru, wściekle wyjące i prędkie, które przemykają po powierzchni morza, po nerwach świata, ocean morze, ociekający wodą, wzburzony kolos — westchnienia, westchnienia w piersi Elisewin — skrzydlaty aksamit — westchnienia przy każdym nowym kroku w ten świat wykraczający poza nigdy nie widziane góry i jeziora niewiarygodnych kształtów — na brzuchu Adama biały ciężar tej dziewczynki kołyszący się w takt niemej muzyki — kto by to powiedział, że całując oczy mężczyzny można widzieć tak daleko — gładząc nogi młodziutkiej dziewczynki można biec tak szybko i uciec — uciec od wszystkiego — widzieć daleko — przyszli z dwóch najdalszych krańców świata, to zadziwiające, pomyśleć, że nigdy nie otarliby się o siebie, gdyby nie przemierzyli świata wzdłuż i wszerz, a tymczasem nie musieli się nawet szukać, to nie do wiary, trzeba było się tylko rozpoznać, rozpoznać się, to trwało chwilę, pierwsze spojrzenie i już wiedzieli, to cudowne — nie przestaliby o tym mówić już nigdy na ziemiach Carewall, aby nikt nie zapomniał, że nigdy nie jest się dość daleko od siebie, by nie móc się znaleźć, nigdy — dość daleko od siebie —? by nie móc się znaleźć — ci dwoje byli daleko, dalej niż inni, a teraz — głos Elisewin krzyczy przyjmując w duszę strumień opowieści, Adams płacze, czując, że opowieści go opuszczają, nareszcie, w końcu, skończone — może świat jest raną i ktoś ją zszywa w tych dwóch splątanych ciałach — i nie jest to nawet miłość, to zdumiewające, ale dłonie, skóra, wargi, zaskoczenie, seks, smak — może

159

smutek — nawet smutek — pragnienie — kiedy będą o tym opowiadać, nie wymówią
słowa miłość — tysiąc słów wymówią, miłość przemilczą — wszystko milczy dokoła,
gdy nagle Elisewin czuje, że pęka jej kręgosłup, a myśli spowija biała mgła, ściska tego mężczyznę w sobie, chwyta go za ręce i myśli: umrę. Czuje, że pęka jej kręgosłup, a myśli spowija biała mgła, ściska tego mężczyznę w sobie, chwyta go za ręce i, widzisz, nie umrze.
— Posłuchaj, Elisewin...
— Nie, nic nie mów...
— Posłuchaj.
— Nie.
— To, co się tu wydarzy, będzie straszne i...
— Pocałuj mnie... już świt, zaraz wrócą...
— Posłuchaj mnie...
— Nic nie mów, proszę.
— Elisewin...

Jak to zrobić? Jak jej to powiesz, takiej kobiecie, to, co powiedziec jej musisz, czując jej ręce na sobie i jej skórę, nie można mówić o śmierci właśnie jej, jak to powiesz takiej młodziutkiej dziewczynie, to, o czym ona już wie, ale co będzie też musiała usłyszeć, słowa, jedno po drugim, które można już znać, ale trzeba je także usłyszeć, wcześniej czy później ktoś musi je wypowiedzieć, a ty

usłyszeć, musi usłyszeć je ona, ta młodziutka dziewczyna, która mówi

— Nigdy nie widziałam, żebyś miał takie oczy.

? ??

A potem

— Gdybyś tylko chciał, mógłbyś się uratować. Jak jej to powiesz, takiej kobiecie, że ty chciałbyś się uratować, a jeszcze bardziej chciałbyś uratować ją, właśnie ją, i siebie, i całe życie, ale nie można, każdy ma swoją podróż do odbycia, a w ramionach kobiety droga staje się zawiła, nawet ty ją przestajesz rozumieć, i we właściwej chwili nie możesz jej nic powiedzieć, brak ci słów, słów, które by pasowały, tam, pośród tych pocałunków, na tej skórze, nie ma słów odpowiednich, możesz szukać do woli w sobie i wokół siebie, nie znajdziesz ich, brzmią nie tak jak trzeba, brak im właściwej muzyki, tu, pośród tych pocałunków, na tej skórze, to kwestia muzyki. Tak, że w końcu coś mówisz, ale jakież to ubogie.

— Elisewin, dla mnie nie ma już ratunku. Jak mu to powiesz, takiemu mężczyźnie, że teraz to ty chciałabyś mu coś wyjawiać i pośród jego pieszczot wyjaśnić mu, że los to nie łańcuch, ale lot, i że gdyby tylko miał jeszcze naprawdę ochotę żyć, mógłby to zrobić, i gdyby tylko chciał cię naprawdę, mógłby mieć tysiąc nocy takich jak ta, zamiast tej jedynej, straszliwej, ku której zmierza, bo ta straszliwa noc na niego czeka i od lat go przyzywa. Jak mu to powiesz, takiemu mężczyźnie, że zostać mordercą nie zda się na nic, że na nic nie zda się ta krew i ten ból, to tylko sposób, by bez tchu dobiec do kresu, chociaż czas i świat, kresu tego nie pragnąc, czekają tu na nas, wołają nas, gdybyśmy tylko umieli je usłyszeć, gdyby tylko on umiał naprawdę, naprawdę usłyszeć

11 — Ocean morze

161

mnie. Jak mu to powiesz, takiemu mężczyźnie, że oto cię traci?

— Ja odjadę...

— Ja nie chcę tu być... odjeżdżam.

— Ja nie chcę usłyszeć tego krzyku, chcę być daleko.

— Nie chcę go usłyszeć.

To muzyka jest trudna, oto cała prawda, to muzykę trudno znaleźć, by to sobie powiedzieć, gdy się jest tak blisko jedno drugiego, muzykę i gesty, które by złagodziły cierpienie, gdy już naprawdę nie ma nic do zrobienia, muzykę, dzięki której nie bolesnym rozdarciem, lecz tańcem stałoby się to odejście, ta ucieczka ku życiu i daleko od życia, dziwne wahadło duszy, zbawcze i zabójcze, gdyby to umieć odtańczyć, mniej by nas bolało, i dlatego wszyscy kochankowie szukają w takiej chwili muzyki w słowach, w spopielałych gestach, ale wiedzą, że gdyby mieć odwagę, tylko w milczeniu znaleźć by ją można, muzykę, tę właściwą muzykę, w ogromnym miłosnym milczeniu na pustkowiu pożegnań, w znużonym jeziorze przeciekającym z wolna w tę znaną od wieków melodyjkę, którą śpiewa się półgłosem

— Żegnaj, Elisewin. Wątła melodia.

— Żegnaj, Thomas.

Elisewin wyslizguje się spod płaszcza i wstaje. Jej nagie dziewczęce ciało kryje

ciepło całej nocy.

162

Podnosi ubrania, zbliża się do okna. Świat na zewnątrz jest, jak był. Możesz zrobić nie wiem co, ale bądź pewny, że odnajdziesz go na swoim miejscu, zawsze. To nie do wiary, ale tak jest.

Dwie bose dziewczęce stopy. Wspinają się po schodach, wchodzą do pokoju, idą w stronę okna, zatrzymują się.

Wzgórza leżą spokojnie. Jakby nie miały przed sobą żadnego morza.

— Wyjedziemy jutro, ojcze Pluchę.

— Co?

— Jutro. Wyjedziemy.

— Ale...

— Proszę.

— Elisewin... nie można decydować tak na poczekaniu... musimy napisać do Daschenbach... przecież tamci nie czekają tam na nas po całych dniach...

— Nie pojedziemy do Daschenbach.

— Co to znaczy nie pojedziemy do Daschenbach?

— Nie pojedziemy tam.

— Elisewin, zachowajmy spokój. Przyjechaliśmy aż tutaj, bo musisz się wyleczyć, a żeby się wyleczyć, musisz wejść do morza, a żeby wejść do morza, musisz pojechać do...

— Ja już weszłam do morza.

— Słucham?

— Ja nie mam się już z czego leczyć, ojcze Pluchę.

163

— Ale...

— Ja jestem żywa.

— Jezu... cóż się, u diabła, stało?

— Nic... musisz mi tylko zaufać... proszę cię, musisz mi ufać...

— Ja... ja ci ufam, ale...

— Więc zabierz mnie stąd. Jutro.

— Jutro...

Ojciec Pluchę stoi w miejscu, obracając w dłoniach swoje zaskoczenie. W głowie tysiąc pytań. Ale świetnie wie, jakie powinien zadać. Kilka słów. Zwyczajnych.

Po prostu: „A co powie twój ojciec?”. Po prostu. Ale słowa gdzieś się zawieruszyły. Nie sposób ich wyłowić. I wciąż ich jeszcze szukając, ojciec Pluchę słyszy własny głos, który pyta:

— I jakie ono jest?... Jakie jest to morze? Elisewin uśmiecha się.

— Cudowne.

— I co jeszcze?

Elisewin uśmiecha się nadal.

— Potem nagle się kończy.

Wyruszyli wcześniej rano. Karetą toczyła się drogą wzdłuż morza. Ojciec Pluchę trząsał się na swoim siedzeniu z tą samą wesołą rezygnacją, z jaką się spakował, pożegnał ze wszystkimi, pożegnał raz jeszcze i celowo zostawił w hotelu jedną

walizkę, bo kiedy się odjeżdża, trzeba sobie zawsze zostawić pretekst do powrotu. Nigdy nic nie wiadomo. Siedział w milczeniu, dopóki droga nie

164

skręciła i morze nie zaczęło się oddalać. Ani chwili dłużej.

— Czy wolno spytać, gdzie my jedziemy? Elisewin ścisnęła w rękę kartkę.

Zerknęła do niej.

— Saint Parteny.

— A co to jest?

— Miasteczko — powiedziała Elisewin zaciskając znów dłoń na kartce.

— Miasteczko gdzie?

— Jakies dwadzieścia dni stąd. W pobliżu stolicy.

— Dwadzieścia dni? Ależ to szaleństwo.

— Spójrz na morze, ojciec Pluchę, znika.

— Dwadzieścia dni... Mam nadzieję, że masz ważny powód, by ruszać w taką podróż...

— Znika...

— Elisewin, mówię do ciebie, po co my tam jedziemy?

— Jedziemy odwiedzić kogoś.

— Dwadzieścia dni drogi, żeby kogoś odwiedzić?

— Tak.

— Do diabła, wobec tego musi to być co najmniej jakiś książę, sam nie wiem, król we własnej osobie, święty...

— Mniej więcej... Pauza.

— To admirał. Pauza.

— Jezu...

Na Archipelagu Tamalskim co wieczór pojawiała się mgła, która pożerała statki i zwracała je o

165

świcie całe pokryte śniegiem. W cieśninie Cada-oum, gdy księżyc był na nowiu, woda cofała się, odkrywając ogromne ławice piasku pełne mówiących mięczaków i jadowitych alg. Na pełnym morzu w pobliżu Sycylii jedna wyspa zniknęła, a niedaleko od niej wynurzyły się dwie inne, nie istniejące na mapach. Na wodach Dragharu pojmany został pirat van Dell, który wolał rzucić się na pastwę rekinom niż wpaść w ręce królewskiej marynarki. W swoim pałacu admirał Langlais nadal, z wyczerpującą dokładnością, katalogował logiczne absurdy i niewiarygodne prawdy, które docierały do niego ze wszystkich mórz kuli ziemskiej. Jego pióro z niewzruszoną cierpliwością kreśliło fantastyczną geografie niezmordowanego świata. Jego umysł wypoczywał w skrupulatnie przestrzeganej niezmienności codziennego życia. Dni płynęły identycznie. I coś prawie niepokojącego było w zapuszczonym ogrodzie.

— Nazywam się Elisewin — powiedziała dziewczyna stając przed nim.

Uderzył go jej głos: aksamit.

— Poznałam mężczyznę, który nazywał się Thomas.

Aksamit.

— Kiedy mieszkał tu z panem nosił imię Adams. Admirał Langlais siedział

nieruchomo patrząc

w ciemne oczy tej dziewczyny. Nie odezwał się. Miał nadzieję, że tamtego imienia nigdy już nie usłyszy. Odpędzał je od siebie przez tyle dni, przez tyle miesięcy.

Teraz miał tylko parę chwil, by nie dopuścić do jego powrotu, który zraniłby

166

mu duszę wspomnieniami. Chciał wstać i poprosić tę dziewczynę, żeby sobie poszła.

Da jej karekę. Pieniądze. Wszystko. Mógłby jej rozkazać, by odeszła. W imię

króla, proszę odejść. Gdzieś z daleka dotarł do niego ten aksamitny głos. Mówił:

— Czy mogę u pana zostać?

Przez pięćdziesiąt trzy dni i dziewięć godzin Langlais nie wiedział, co kazało mu w tamtej chwili odpowiedzieć

— Tak, jeśli pani sobie życzy.

Zrozumiał to pewnego wieczoru, gdy, siedząc przy Elisewin, usłyszał, jak aksamitny głos zaczyna mówić

— W Timbuktu o tej porze kobiety lubią śpiewać i kochać się ze swymi mężczyznami. Odsuwają zasłony z twarzy i nawet słońce się oddala, zaskoczone ich urodą.

Langlais poczuł w sercu ogromne i słodkie zmęczenie. Jakby przez całe lata podróżował zagubiony i wreszcie odnalazł drogę powrotną. Nie spojrzął na Elisewin. Ale zapytał cicho

— Skąd pani zna tę historię?

— Nie wiem. Ale wiem, że należy do pana. I ta, i wszystkie inne.

Elisewin została w pałacu Langlais'go przez pięć lat. Ojciec Pluchę przez pięć dni. Szóstego powiedział Elisewin, że to nie do wiary, ale zostawił jedną walizkę tam, w hotelu Almayer, nie do wiary, doprawdy, ale w tej walizce są ważne rzeczy,

167

ubrania, a może nawet książka ze wszystkimi modlitwami.

— Co to znaczy może?

— Może... to znaczy na pewno, teraz sobie myślę, że na pewno jest w tamtej walizce, sama rozumiesz, że w żadnym wypadku nie mogę jej tam zostawić... nie, żeby były czymś niezwykłym, te modlitwy, uchowaj Boże, ale, w końcu, stracić je w taki sposób... tym bardziej że chodzi o krótką podróż, około dwudziestu dni, to nie tak znów daleko, chodzi tylko o...

— Ojcie Pluchę...

— ...rozumie się, w każdym razie, że wrócę... jadę tylko zabrać walizkę, parę dni może odpocznę i zaraz...

— Ojcie Pluchę...

— ...to kwestia dwóch miesięcy, co najwyżej wyskoczyłbym może do twojego ojca, to znaczy, chcę powiedzieć, z drugiej strony byłoby nawet lepiej, gdybym...

— Ojcie Pluchę... Boże, jak mi cię będzie brakować.

Odjechał nazajutrz. Był już w karecie, gdy nagle wysiadł i podchodząc do Langlais'go powiedział:

— Wie pan co? Sądziłem, że admirałowie są na morzu...

— A ja sądziłem, że księża są w kościele.

— No cóż, wie pan, Bóg jest wszędzie...

— I morze, ojciec. I morze.

Odjechał. Ale tym razem nie zostawił walizki.

168

Elisewin została w pałacu Langlais'go przez pięć lat. Pedantyczny porządek tych pokojów i spokój tego życia przypominały jej białe dywany w Care-wall, okrężne alejki i życie, które ojciec urządził jej kiedyś tak, by mogła się o nie jedynie otrzeć. Ale to, co tam było lekarstwem i kuracją, tutaj stało się pogodną pewnością i szczęśliwym ozdro-wieniem. W tym, co poznała kiedyś jako samą istotę słabości, odkrywała teraz formę czystej siły. Nauczyła się od Langlais'go, że wśród wszystkich możliwych form życia trzeba wybrać jedną i na niej się oprzeć, by móc obserwować spokojnie wszystkie inne. Sama podarowała Langlais'-mu, jedną po drugiej, tysiące opowieści, które pewien mężczyzna i pewna noc zasiały w niej w sposób trwały i nieodwołalny. On słuchał jej w milczeniu. Ona opowiadała. Aksamit. O Adamsie nie mówili nigdy. Tylko raz Langlais, podnosząc nagle oczy znad swoich książek, powiedział powoli

— Ja go kochałem, tego człowieka. Nie wiem, czy może pani zrozumieć, co to znaczy, ale ja go kochałem.

Langlais umarł pewnego letniego poranka, trawiony okrutnym bólem i odprowadzany głosem

— jak aksamit — który mówił mu o zapachu pewnego ogrodu, najmniejszego i najpiękniejszego w Timbuktu. Następnego dnia Elisewin odjechała. Chciała wrócić do Carewall. Niezależnie od tego, czy zajmie jej to miesiąc, czy całe życie, ale tam wróci. Nie bardzo mogła sobie wyobrazić, co ją czeka. Wiedziała tylko, że wszystkie te tkwiące

169

w niej opowieści zachowa dla siebie, na zawsze. Wiedziała, że w każdym mężczyźnie, którego pokocha, szukać będzie smaku Thomasa. I wiedziała, że żadna ziemia nie zasypie w niej śladu morza.

Wszystko inne było jeszcze niewiadomą. O d-k ? ? ć ją — to będzie cudowne.

170

2. OJCIEC PLUCHE

Modlitwa za kogoś, kto się zgubił, czyli, po prostu, modlitwa za mnie.

Dobry Panie Boże,
cierpliwości,
to znowu ja.

A więc tutaj wszystko
w porządku,
każdy lepiej czy gorzej
sobie radzi,
właściwie
zawsze daje się jakoś
wybrnąć z sytuacji,
rozumiesz mnie,

słowem, nie o to chodzi.

Chodzi o coś innego,
jeśli znajdziesz cierpliwość,
by mnie wysłuchać,
by.

Chodzi o tę drogę
piękną drogę

171

tę drogę, która biegnie nadbiega przebiega ale nie jest prosta jakby mogła ani
nawet krzywa jakby chciała nie.

Dziwnie się jakoś rozmywa. Wierz mi
(raz Ty mnie uwierz) rozmywa się.

Jeśli krótko powiedzieć mam, to tu, to tam zagości w nagłym porywie wolności.
Nie wiem sam.

Teraz, nie chcąc bynajmniej niczego umniejszać, muszę Ci wyjaśnić tę sprawę,
która jest sprawą czysto ludzką, nie boską, tę historię z drogą przed nami, co
zaczyna się rozmywać, gubić, rozpadać, znikać, nie wiem, czy mnie rozumiesz, ale
trudno, żebyś rozumiał, to sprawa ludzka, ogólnie rzecz biorąc, gubić się.

Ciebie to nie dotyczy. Cierpliwości, pozwól mi to wyjaśnić. To potrwa tylko
chwilę. Przede wszystkim niech cię nie zwiedzie fakt, że z technicznego punktu
widzenia, któremu trudno zaprzeczyć, ta droga, co biegnie nadbiega przebiega pod
kołami tej karety, istotnie,

172

jeśli trzymać się faktów, nie rozmywa się ani trochę. Z technicznego punktu
widzenia. Biegnie prosto, bez wahania, żeby choć najskromniejszy rozjazd,
cokolwiek. Prosto jak po sznurku. Sam to widzę. Ale problem, pozwól, że Ci to
powiem, nie na tym polega. Nie o tej drodze z ziemi, kurzu i kamieni mówimy.
Chodzi o inną drogę. Co biegnie nie na zewnątrz, a w środ-k u. Tu, w środku.
Nie wiem, czy zrozumiałeś: o moją drogę. Każdy ma swoją, o tym wiem, nawet Ty,
któremu nieobcy jest przecież projekt tej maszyny, jaką, na swój sposób, jest
każdy z nas. Drogę w środku mają wszyscy, co na ogół ułatwia zadanie odbycia tej
naszej podróży i z rzadka tylko je komplikuje. Teraz jest jeden z tych momentów,
gdy je komplikuje. Krótko mówiąc, to właśnie ta droga, droga w środku, rozmywa
się, rozmyła, przekłeta, zniknęła. Zdarza się. Wierz mi. I nie jest to miłe. Nie.

Ja sędzę że to było, Dobry Panie Boże, to było sędzę
przez morze. Morze mąci odmęty mąci myśli żagle
rozum kłamie ci nagle i drogi wczorajsze

173

dzisiaj się nie liczą.

Tak że sędzę,

ja sędzę,

że ten twój pomysł

z potopem

był

doprawdy

pomysłem genialnym.
Bo jeśli
chciałoby się
człowieka
ukarać
pytam
czy coś gorszego
można by wymyślić
nad to by pozostawić biedaka
samego
pośrodku tego morza.
Ani jednej plaży.
Nic.
Żadnej rafy
czy pustego wraku.
Nawet czegoś takiego.
I żadnego znaku
który by pokazywał
w którą tu iść
stronę
by móc umrzeć.
Więc widzisz,
Dobry Panie Boże,
morze
to jakby
174
potop
w miniaturze.
Kameralny.
Jesteś tam,
spacerujesz
oglądasz
oddychasz
rozmawiasz
śledzisz je,
z brzegu, rzecz jasna,
a ono
tymczasem
zabiera ci
myśli kamienne
co były
drogą
pewnością
przeznaczeniem
a

w zamian
daje ci
żagle
co falują w głowie
niby taniec
kobiety
co wiedzie
do szaleństwa.

Wybacz tę metaforę.

Lecz trudno wyjaśnić
dlaczego brak odpowiedzi
temu kto patrzył w morze.

Tak więc teraz, krótko mówiąc, problem
na tym, że tyle dróg mam wokół siebie, a żadnej w środku, więcej, dla
dokładności, żadnej w środku, a cztery wokół siebie. Pierwsza: wracam do
Elisewin i tam zostaję razem z nią, co zresztą, powiedzmy to sobie, było
pierwszym założeniem tej mojej podróży. Druga: jadę dalej, do hotelu Almayer,
który nie jest miejscem całkiem zdrowym, zważywszy niebezpieczną bliskość morza,
ale jest też miejscem niewiarygodnie pięknym, spokojnym, wygodnym, zabójczym i
ostatecznym. Trzecia: jadę dalej, prosto, nie skręcam do hotelu i wracam do
Carewall, do barona, który na mnie czeka, w końcu tam jest mój dom, tam jest
moje miejsce. A w każdym razie było. Czwarta: zostawiam wszystko, zrzucam tę
czarną i smutną suknię, wybieram pierwszą lepszą inną drogę, wyuczam się
jakiegoś zawodu, poślubiam kobietę dowcipną i nie za piękną, płodzę kilkoro
dzieci, starzeję się i w końcu umieram, za Twoim przyzwoleniem, pogodny i
zmęczony jak każdy chrześcijanin. Jak widzisz, nie brak mi jasnych poglądów,
widzę bardzo jasno, ale tylko do pewnego punktu. Znam doskonale pytanie. To,
czego mi brakuje, to odpowiedź. Ta karetka pędzi, a ja nie wiem dokąd. Szukam
odpowiedzi, ale w mojej głowie jest ciemno. Zatem biorę
tę ciemność i składam w twoje ręce.

176

I proszę
Dobry Panie Boże
byś ją trzymał przy sobie
choćby przez godzinę
trzymał ją w dłoni
tylko tyle aby
roztopiała się ciemność
ból roztopił który
sprawia głowie
ta ciemność
ta czerń
sprawia sercu,
zechciałbyś?
Mógłbyś

choćby
pochylić się nad nią
spojrzeć
z uśmiechem
rozchylić ją
dobyć
trochę światła
i odrzucić ją
już ja potem
pomyślę
jak ją znaleźć
rozejrzę się
za nią.
To drobnostka
dla Ciebie,
a rzecz wielka
dla mnie.
Słuchasz mnie,
12 — Ocean morze
Dobry Panie Boże?
Nie proszę Cię o wiele
proszę tylko o.
Nie chcę Cię obrazić
licząc że.
Nie jest głupotą
mieć nadzieję na.
Zresztą to tylko modlitwa,
to sposób pisania
zapach żywionej nadziei.
A Ty napisz
gdzie zechcesz
ścieżkę
którą zgubiłem.
Wystarczy znak,
cokolwiek,
draśnięcie
na szybie
tych oczu
co patrzą
nie widząc,
ja je zobaczę.
Napisz
na mapie świata
jedno słowo
dla mnie,

ja
je odczytam.
Muśnij
jedną chwilę
tego milczenia,
ja to usłyszę.

178

Nie bój się, ja się nie boję.
I niech mknie
ta modlitwa
siłą słów
poza klatkę świata
nie wiedzieć jak daleko.

Amen.

Modlitwa za kogoś, kto odnalazł swoją drogę, czyli, mówiąc po prostu, modlitwa
za mnie.

Dobry Panie Boże
cierpliwości
to znowu ja.

Umiera powoli, ten człowiek, umiera powoli jakby chciał posmakować, poczuć pod
palcami tę resztkę życia jaka mu została. Baron umiera tak jak inni ludzie,
teraz to już wiadomo. Ja jestem tutaj,

179

i jest oczywiste
że moje miejsce było
obok niego,
barona co umiera.
Chce usłyszeć
o swojej córce
której tutaj nie ma,
i nikt nie wie, gdzie jest
chce usłyszeć
że żyje
tam gdzie jest
że nie umarła w morzu
w morzu
wyzdrowiała.
Ja opowiadam mu
a on umiera
ale to nieco lżej
umierać w ten sposób.
Mówię do niego
z bliska
przyciszonym głosem
i jasne jest

że moje miejsce
było
tutaj.
To Ty mnie zawróciłeś
z pierwszej lepszej drogi
i cierpliwie
przywiodłeś mnie tu
teraz kiedy
jestem tutaj potrzebny.

A ja

180

co się zgubiłem teraz
znowu się odnalazłem.

To wspaniałe pomyśleć że Ty mnie wysłuchałeś tamtego dnia naprawdę wysuchałeś
mnie wtedy.

Człowiek modli się aby nie czuć się samotnym człowiek modli się aby skrócić czas
czekania, nawet nie marzy o tym że Bóg że Bóg

zechce go słuchać. Czy to nie wspaniałe? Usłyszałeś mnie. Uratowałeś.

Pewno, jeśli wolno mi zwrócić najpokorniej uwagę, nie sądzę, by naprawdę trzeba
aż było osunięcia się drogi do Quartel, co przecież dla miejscowych było bardzo
kłopotliwe, starczyłoby zapewne coś mniej poważnego, jakiś znak dyskretnej szy,
sam nie wiem, może bardziej poufny, między nami dwoma. Podobnie jak, jeśli mogę
wysunąć tę drobną obiekcję, scena z końmi, które stanęły nagle na drodze do
Elisewin, i nie było sposobu, by nakłonić je do dalszego biegu, technicznie było
to skuteczne, ale może trochę nazbyt

181

spektakularne, nie sądzisz?, ja bym zrozumiał nawet znak pomniejszony, Tobie
niekiedy zdarza się przesadzać, prawda?, w każdym razie tamci do dziś opowiadają
sobie o tym, takich scen się nie zapomina. Jednym słowem, sądzę, że wystarczyłby
ten sen z baronem, który podnosi się z łóżka i woła „Ojczy Pluchę! Ojczy
Pluchę!”, rzecz dobrze zrobiona w swoim rodzaju, nie budząca wątpliwości, i
rzeczywiście następnego ranka byłem już w drodze do Carewall, sam widzisz, że
niewiele trzeba w gruncie rzeczy. Nie, mówię Ci to, żebyś w przyszłości, gdyby
znów coś takiego się trafiło, wiedział, co masz robić. Sen to coś, co działa.

Jeśli chcesz rady, to to jest dobry sposób. By kogoś uratować, jakby co. Sen. I
tak

zatrzymam tę czarną suknię smutną suknię i te wzgórza wesołe wzgórza w oczach i
na sobie.

In saecula saeculorum to jest moje miejsce. Wszystko jest teraz prostsze. Teraz
proste jest wszystko.

182

Co jeszcze trzeba zrobić,
sam zrobić potrafię.

Gdyby coś było trzeba,
wiesz, gdzie on jest,

Pluchę,
który winien Ci życie.
I niech mknie
ta modlitwa
siłą słów
poza klatkę świata
nie wiedzieć jak daleko.
Amen.
183

3. ANNDEYERIA

Drogi Andre, mój najmilszy ukochany sprzed tysiąca lat,
dziewczynka, która dała ci ten list, nazywa się Dira. Powiedziałam, żeby kazała
ci go przeczytać, jak tylko przyjedziesz do hotelu, zanim pójdziesz do mojego
pokoju. Do ostatniej linijki. Nie próbuj jej oszukać. Tej dziewczynki oszukać
nie można.

Więc usiądź. I posłuchaj mnie.

Nie wiem, jak mnie znalazłeś. To miejsce prawie nie istnieje. Kiedy pytasz o
hotel Almayer, ludzie patrzą na ciebie zaskoczeni, nie znają go. Jeśli mój mąż
chciał znaleźć niedostępny zakątek świata, gdzie bym mogła wyzdrowieć, znalazł
właściwe miejsce. Bóg jeden wie, jak tobie udało się je znaleźć.

Dostałam twoje listy i niełatwo było mi je czytać. Rany wspomnień otwierają się
boleśnie. Gdybym nadal pragnęła cię i czekała, te listy byłyby oślepiającym
szczęściem. Ale to dziwne miejsce. Rzeczywistość blednie i wszystko staje się
wspomnieniem. Nawet ty, powoli, przestałeś być tym upragnionym i odszedłeś w
przeszłość.

184

Twoje listy dotarły do mnie niczym przesłanie ze świata, który już nie istnieje.
Ja cię kochałam, Andre, i nie umiem wyobrazić sobie, by można było kochać
bardziej. Miałam życie, w którym czułam się szczęśliwa, a pozwoliłam, by
wszystko się rozpadło, byle tylko być z tobą. Pokochałam cię, bo pragnienie
ciebie było silniejsze od każdego szczęścia. Wiedziałam, że życie nie jest dość
pojemne, by zawrzeć w sobie wszystko, co może wydać się pragnieniem. Ale nie
próbowałam się zatrzymać, ani zatrzymać ciebie. Wiedziałam, że życie robi to
bez naszego udziału. I zrobiło. Rozleciało się nagle. Wszędzie były skorupy i
cięły jak brzytwa.

Potem przyjechałam tutaj. I to już niełatwo wytłumaczyć. Mój mąż myślał, że to
miejsce, gdzie wyzdrowieję. Ale wyzdrowieć to słowo zbyt małe na określenie tego,
co się tu stało. I zbyt proste. To jest miejsce, gdzie sam się ze sobą
rozstajesz. To, czym jesteś, z wolna z ciebie opada. Oddalasz się od tego krok
za krokiem, po tym brzegu, który nie zna czasu i żyje tylko jeden dzień, wciąż
ten sam. Czas terazniejszy znika, a ty stajesz się wspomnieniem. Opada z ciebie
wszystko, lęki, uczucia, pragnienia: przechowujesz je, niczym znoszone ubrania,
w szafie nieznannej mądrości, nieoczekiwanego spokoju. Czy potrafisz mnie
zrozumieć? Potrafisz zrozumieć, jakie to wszystko jest piękne?

Wierz mi, to nie jest rodzaj — łagodniejszy — śmierci. Nigdy nie czułam się bardziej żywa niż teraz. Ale jest inaczej. To, czym jestem, już się

185

dokonało: i tutaj, teraz, żyje we mnie jak krok w swoim śladzie, jak dźwięk w echu, jak zagadka w swojej odpowiedzi. Nie umiera, bynajmniej. Prześlizguje się na drugą stronę życia. Z lekkością, która wydaje się tańcem.

To tak, jakby wszystko stracić, by wszystko odzyskać.

Jeżeli jesteś to w stanie zrozumieć, uwierzysz, jeśli ci powiem, że nie potrafię myśleć o przyszłości. Przyszłość to pojęcie, które jest mi dalekie. Nie jest ważna. Nic nie oznacza. Nie umiem już w nią patrzeć. W swoich listach tak często o niej mówisz. Ja z trudem przypominam sobie, co to znaczy. Przyszłość. Moja jest już cała tutaj i teraz. Moja będzie spokojem nieruchomego czasu, który kolekcjonuje chwile i kładzie jedną na drugiej, tak że wydają się wciąż jedną i tą samą. Stąd do mojej śmierci upłynie taka chwila, nie więcej.

Ja nie pójdę z tobą, Andre. Nie odbuduję sobie żadnego życia, bo dopiero co nauczyłam się gościć w sobie to, które było moim. I podoba mi się. Nie chcę innego. Rozumiem twoje dalekie wyspy, rozumiem twoje marzenia, twoje projekty. Ale nie istnieje już droga, która mogłaby mnie tam zawieść. Wybacz mi, mój najmilszy ukochany, ale twoja przyszłość nie będzie moją.

Jest pewien człowiek w tym hotelu, który ma śmieszne nazwisko i bada, gdzie kończy się morze. W tych dniach, czekając na ciebie, opowiedziałam mu o nas, o tym, że boję się twego przyjazdu, a jednocześnie pragnę, byś przyjechał. To człowiek dobry i cierpliwy. Wysłuchał mnie.

186

I któregoś dnia powiedział: „Niech pani do niego napisze”. On mówi, że pisanie do kogoś to jedyny sposób, by bezboleśnie na niego czekać. I napisałam. Wszystko, co tkwi we mnie, przelałam w ten list. On mówi, ten człowiek o śmiesznym nazwisku, że ty zrozumiesz. Mówi, że go przeczytasz, a potem wyjdiesz na plażę i chodząc po brzegu morza przemyślisz to wszystko, i zrozumiesz. Nieważne, czy będzie to trwało godzinę, czy dzień. Ale w końcu wrócisz do hotelu. On mówi, że wejdiesz po schodach, otworzysz moje drzwi, nic nie mówiąc weźmiesz mnie w ramiona i pocałujesz.

Wiem, że to się wydaje głupie. Ale chciałabym, żeby naprawdę tak się stało. To piękny sposób na to, by się zgubić, zgubić się jedno w ramionach drugiego.

Nic nie może ukraść mi wspomnień o czasach, gdy, całą sobą, byłam twoją Ann.

187

4. PLASSON

TYMCZASOWY KATALOG DZIEŁ MALARSKICH MALARZA MICHELA PLASSONA UŁOŻONY W PORZĄDKU

CHRONOLOGICZNYM LICZĄC OD CHWILI PRZYBYCIA RZECZONEGO DO HOTELU ALMAYER

(MIEJSCOWOŚĆ QUARTEL) AŻ DO ŚMIERCI TEGOŻ.

Zredagowany z myślą o potomnych przez profesora Ismaela Adelante Ismaela Bartlebooma w oparciu o własne doświadczenia i inne wiarygodne świadectwa.

Dedykowany madame Ann Deveria.

i. Ocean morze, olej na płótnie, 15 x 21,6 cm

Kolekcja Bartlebooma Opis. Całkowicie biały.

2. Ocean morze, olej na płótnie, 80,4 x 110,5 cm

Kolekcja Bartlebooma Opis. Całkowicie biały.

188

3. Ocean morze, akwarela, 33 x 50,5 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Biały z niewyraźnym cieniem w kolorze ochry w górnej części.

4. Ocean morze, olej na płótnie, 44,2 x 100,8 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Całkowicie biały. Podpis jest czerwony.

5. Ocean morze, rysunek, ołówek na papierze, 12 x 10 cm

Kolekcja Bartlebooma Opis.

Pośrodku kartki widać dwa punkty bardzo blisko siebie. Reszta jest biała. (Na prawym brzegu plama: tłuszcz?)

6. Ocean morze, akwarela, 31,2 x 26 cm Kolekcja Bartlebooma. Obecnie,

wyłącznie tymczasowo, powierzony pani Marii Luigii Severinie Hohenheit.

Opis.

Całkowicie biały.

Przekazując mi go, autor powiedział, dosłownie:

„To najlepsze z tego, co dotychczas zrobiłem”.

Tonem głębokiej satysfakcji.

7. Ocean morze, olej na płótnie, 120,4 x 80,5 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

189

Odznaczają się dwie kolorowe plamy: jedna w kolorze ochry, w górnej części

płótna, i jedna czarna, w części dolnej. Reszta biała. (Z tyłu odręczny napis:

„Burza”. A poniżej: „tatatum tatatum tatatum”).

8. Ocean morze, pastel na papierze, 19 x 31,2 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Pośrodku kartki, lekko przesunięty w lewo, mały

błękitny żagiel. Reszta biała.

9. Ocean morze, olej na płótnie, 340,8 x 220,5 cm Muzeum okręgowe w Quartel.

Numer katalogu: 87.

Opis.

Z prawej strony wynurzają się z wody ciemne skały. Rozbijające się o skały wysokie fale pienią się widowiskowo. W burzy widać dwa statki pogrążające się w morzu. Cztery szalupy zawisły nad spienioną kipiela. Na szalupach tłoczą się rozbitkowie. Niektórzy z nich, wpadłszy do morza, toną. Ale to morze jest za wysokie, o wiele wyższe w głębi, bliżej horyzontu, niż z przodu, i zasłania horyzont wbrew logice, jakby cały świat się podnosił, spychając nas, stojących tutaj, do wnętrza ziemi, pod jakieś majestatyczne wieko, które bez końca próbuje nas nakryć, i noc ze zgrozą zapada nad tym monstrem. (Autorstwo wątpliwe. Prawie

na pewno falsyfikat).

10. Ocean morze, akwarela, 20,8 x 16 cm Kolekcja Bartlebooma

190

Opis.

Całkowicie biały.

11. Ocean morze, olej na płótnie, 66,7 x 81 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Całkowicie biały. (Bardzo zniszczony. Prawdopodobnie wpadł do wody).

12. Portret Ismaela Adelante Ismaela Bartlebooma, ołówek na papierze, 41,5 x 41,5 cm

Opis.

Całkowicie biały. Pośrodku, kursywą, napis: Bartle-

13. Ocean morze, olej na płótnie, 42,6 x 51,9 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Całkowicie biały. Tym razem jednak zwrot ten należy rozumieć dosłownie: płótno jest całkowicie pokryte gęsto nałożoną białą farbą.

14. W hotelu Almayer, olej na płótnie, 50 x 42 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Portret anioła w stylu prerafaelickim. Twarz pozbawiona rysów. Skrzydła prezentujące znaczące bogactwo chromatyczne. Tło złote.

15. Ocean morze, akwarela, 118 x 80,6 cm Kolekcja Bartlebooma

191

Opis.

Trzy małe plamy w kolorze niebieskim w górze po lewej (żagle?). Reszta biała. Z tyłu własnoręczna notatka: „Pizama i skarpetki”.

16. Ocean morze, ołówek na papierze, 28 x 31,7 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Osiemnaście żagli różnej wielkości rozsianych bez określonego porządku. W dolnym lewym rogu mały szkic trójmasztowca wykonany najwyraźniej inną ręką, prawdopodobnie dziecinną (Doi?).

17. Portret Madame Ann Deveria, olej na płótnie, 52,8 x 30 cm

Kolekcja Bartlebooma Opis.

Bardzo blada ręka kobieca, cudownie smukłe palce. Tło białe.

18. 19, 20, 21. Ocean morze, ołówek na papierze, 12 x 12 cm

Kolekcja Bartlebooma Opis.

Seria czterech szkiców na pozór zupełnie identycznych. Pojedyncza linia horyzontu przecina je z lewej ku prawej (albo, jak kto woli, z prawej ku lewej) mniej więcej w połowie wysokości. Plasson twierdził, że w rzeczywistości chodzi o cztery rysunki zupełnie inne. Powiedział dosłownie: „To cztery rysunki zupełnie inne”. Osobiście odnoszę wrażenie, że przedstawiają ten sam frag-

192

ment w czterech różnych momentach dnia. Kiedy wyraziłem tę moją opinię autorowi, odpowiedział dosłownie „Tak pan mówi?”.

22. (Bez tytułu), ołówek na papierze, 20,8 x 13,5 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Młody mężczyzna na plaży zbliża się ku morzu niosąc w ramionach bezwładne ciało rozebranej kobiety. Księżyc na niebie i refleksy na wodzie. Ten szkic, długo trzymany w ukryciu na wyraźną prośbę autora, dziś wystawiam, biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął od dramatycznych wydarzeń, z którymi się wiąże.

23. Ocean morze, olej na płótnie, 127 x 108,6 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Gruba ciemnoczerwona rysa przecina płótno od lewej ku prawej. Reszta biała.

24. Ocean morze, olej na płótnie, 127 x 108,6 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Całkowicie biały. To ostatnia praca wykonana w czasie pobytu w hotelu Almayer, w miejscowości Quartel. Autor podarował ją hotelowi, wyrażając pragnienie, by wisiała na ścianie na wprost morza. Potem, drogą, której nie udało mi się nigdy wyjaśnić, znalazła się w moim posiadaniu. Zachowałem ją i mam do dyspozycji każdego, kto zechciałby udowodnić swoje do niej prawa.

13 — Ocean morze

193

25, 26, 27, 28, 29, ??, ??, 32. (Bez tytułu), olej na płótnie, różne wymiary.

Muzeum w Saint Jacques de Grance Opis.

Osiem portretów marynarzy, które pod względem stylu przypominają pierwszą manierę Plassona. Przeor Ferrand, który był łaskawy zasygnalizować mi ich istnienie, twierdzi, że autor wykonał je bezpłatnie, w dowód przywiązania do niektórych osób, z którymi nawiązał szczerą przyjaźń podczas swego pobytu w Saint Jacques. Tenże przeor wyznał mi uprzejmie, że prosił malarza o wykonanie swego portretu, ale spotkał się z grzeczną i stanowczą odmową. Słowa wypowiedziane przez niego przy tej okazji miały brzmieć: „Tak się fatalnie składa, że nie jest ojciec marynarzem i na twarzy ojca nie ma morza. Wie ojciec, ja teraz umiem malować tylko morze”.

33. Ocean morze, olej na płótnie (wymiary niepewne)

(zaginiony) Opis.

Całkowicie biały. I w tym wypadku cenne jest świadectwo przeora Ferrand. Przyznał on szczerze, że płótno, znalezione w mieszkaniu malarza nazajutrz po jego wyjeździe, uznane zostało, w wyniku trudnego do pojęcia nieporozumienia, za najwyklesze płótno, a nie dzieło skończone i znacznej wartości. Jako takie zostało wzięte przez nieznaną osobę i do dzisiaj go nie znaleziono.

194

34,35,36. (Bez tytułu), olej na płótnie, 68,8 x 82 cm

Muzeum Gallen-Martendorf, Helleborg Opis.

Chodzi o trzy wierne kopie, prawie identyczne, obrazu Hansa van Dyke'a Port w Skaleń. Muzeum Gallen-Martendorf skatalogowało je jako dzieła samego van Dyke'a,

co stanowi godne pożałowania nieporozumienie. Trzy płótna, na co wielokrotnie zwracałem uwagę kustosza wyżej wymienionego muzeum, prof. Broderfonsa, nie tylko

noszą z tyłu wyraźny napis „van Plasson”, ale odznaczają się pewnym szczegółem wskazującym w sposób oczywisty na autorstwo Plassona: na wszystkich trzech malarz sportretowany przy pracy na molo, na dole po lewej ma przed sobą sztalugi z całkowicie białym płótnem. Na oryginale van Dyke'a płótno jest pokryte kolorowymi farbami. Profesor Broderfons, chociaż przyznaje rację moim spostrzeżeniom, nie przywiązuje do nich żadnej szczególnej wagi. Profesor Broderfons jest zresztą badaczem niekompetentnym i człowiekiem absolutnie nieznośnym.

37. Jezioro Costanza, akwarela, 27 x 31,9 cm

Kolekcja Bartlebooma Opis.

Dzieło odznaczające się staranną i elegancką fakturą, przedstawiające słynne jezioro Costanza o zachodzie słońca. Kolory są ciepłe i stłumione. Nie występują postaci ludzkie. Ale woda i brzegi oddane są w sposób poetycki i wyrazisty.

Plasson przysłał mi to płótno z krótkim liścikiem, którego

195

tekst przytaczam w całości: „To znużenie, przyjacielu. Piękne znużenie. Żegnaj”.

38. Ocean morze, ołówek na papierze, 26 x 13,4 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Narysowana jest tu, starannie i dokładnie, lewa dłoń Plassona. Który, co trzeba odnotować, był leworęczny.

39. Ocean morze, ołówek na papierze, 26 x 13,4 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Lewa dłoń Plassona. Bez cieniowania.

40. Ocean morze, ołówek na papierze, 26 x 13,4 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Lewa dłoń Plassona. Kilka ledwie zaznaczonych linii.

41. Ocean morze, ołówek na papierze, 26x13,4 cm Kolekcja Bartlebooma

Opis.

Lewa dłoń Plassona. Trzy linie i lekkie cieniowanie.

Przypis. Ten rysunek, podobnie jak trzy poprzednie, podarowany został doktorowi Monnier, lekarzowi, który zajmował się Plassonem w czasie jego ostatniej, krótkiej i bolesnej, choroby (zapalenie płuc). Zgodnie z jego świadectwem, w które nie mam powodu wątpić, są to cztery ostatnie

196

prace, jakim poświęcił się Plasson, nie opuszczający już łóżka i z dnia na dzień słabszy. Zgodnie z tym samym świadectwem, Plasson umarł pogodnie, w cichej samotności i w spokoju ducha. Na kilka minut przed śmiercią wymówił następujące zdanie: „To nie kwestia kolorów, to kwestia muzyki, rozumie pan? Długo to trwało, ale teraz (stop)”. Był człowiekiem wielkiego serca i obdarzonym na pewno wielkim talentem artystycznym. Był moim przyjacielem. I ja go kochałem.

Teraz, zgodnie ze swoim wyraźnym życzeniem, spoczywa na cmentarzu w Quartel. Płyta na jego grobie jest z prostego kamienia. Całkowicie biała.

197

5. BARTLEBOOM

Było to tak. Bartleboom przebywał u wód w Bad Hollen, miasteczku przerażającym, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć. Jeździł tam z powodu jakichś trapiących go dolegliwości, związanych z prostatą, rzecz przykra, kłopotliwa. Kiedy coś szwankuje w tych częściach, jest to zawsze naprawdę kłopotliwe, niby nic poważnego, ale musisz uważać, musisz robić mnóstwo rzeczy śmiesznych, upokarzających. Bartleboom, na przykład, jeździł do wód w Bad Hollen. Miasteczku, poza wszystkim, przerażającym. Ale mniejsza z tym.

Bartleboom przebywał tam z narzeczoną, niejaką Marią Luigią Severiną Hohenheith, kobietą niewątpliwie piękną, ale w stylu operowym, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć. Trochę fasadową. Miałaś ochotę zajść ją od tyłu, by sprawdzić, czy coś tam jest za warstwą szminki, wielkimi słowami i całą resztą. Nie robiłaś tego rzecz jasna, ale miałaś ochotę. Bartleboom, prawdę mówiąc, zaręczył się bez wielkiego entuzjazmu, wręcz przeciwnie. Trzeba to przyznać. Wszystko zorganizowała jedna z jego ciotek, ciotka Matylda. Musisz

198

wiedzieć, że on wtedy był wręcz obłączony przez ciotki i, jeśli mam być szczerzy, od nich uzależniony, finansowo rzecz jasna, sam nie posiadał bowiem ani grosza. Ciotki łożyły na wszystko. Co było bezpośrednią konsekwencją całkowitego i pełnego pasji poświęcenia się nauce, która związała życie Bartlebooma z jego ambitną Encyklopedią granic i tak dalej, dziełem ogromnym i godnym szacunku, które jednak, co oczywiste, przeszkadzało mu w wypełnianiu obowiązków zawodowych,

każąc mu co roku zostawiać profesorską katedrę i związaną z nią pensję tymczasowemu zastępcy, którym w danym przypadku, to jest przez całe siedemnaście

lat trwania tej historii, byłem ja. Stąd, jak rozumiecie, moja wdzięczność i podziw dla jego pracy. To się rozumie samo przez się. Takich rzeczy człowiek honoru nie zapomina.

Ale mniejsza z tym.

Wszystko zorganizowała ciotka Matylda i Bartleboom nie mógł się zbytnio opierać.

Zaręczył się. Ale nie mógł tego jakoś strawić. Stracił nieco swego blasku...

duża mu zmatowiała, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć. Jakby spodziewał się czegoś innego, całkiem innego. Nie był przygotowany na rzecz tak normalną.

Egzystował, nic ponadto. Potem pewnego dnia, w Bad Hollen, wraz z narzeczoną i prostatą poszedł na jakieś przyjęcie, elegancką imprezę z szampanem i wesołą muzyką. Z walcami. I tam spotkał tę Annę Ancher. To była kobieta szczególna.

Malowała. Mówiono, że nawet dobrze. Zupełnie inny typ niż Maria

199

Luigia Severina, powiedzmy sobie szczerze. To ona zagadnęła go w zgiełku przyjęcia.

— Przepraszam... pan profesor Bartleboom, prawda?

— Tak.

— Jestem przyjaciółką Michela Plassona. Okazało się, że malarz pisał do niej z tysiąc razy, opowiadając o Bartleboomie i tylu innych sprawach, a szczególnie o

tej Encyklopedii granic i tak dalej, która, wnosząc z jej słów, zrobiła na niej ogromne wrażenie.

— Byłabym zachwycona, gdybym któregoś dnia mogła zobaczyć pańskie dzieło. Powiedziała właśnie tak: zachwycona. Powiedziała to przechylając lekko główkę na bok i odsuwając opadający na oczy pukiel kruczoczarnych włosów. Po mistrzowsku. Bartleboom miał wrażenie, jakby to zdanie przeniknęło mu prosto do krwi. Poczuł je, że tak powiem, nawet w spodniach. Wymamrotał coś i natychmiast zaczął się pocić. Przy niektórych okazjach pocił się jak lichy. Niezależnie od temperatury. Sam z siebie. Może by się i na tym skończyła ta historia, ale następnego dnia, gdy Bartleboom spacerował samotnie rozważając tamto zdanie i całą resztę, ujrzał przejeżdżającą karete, jedną z tych eleganckich karet, z bagażami i pudłami na kapelusze na dachu. Zmierzała za miasto. A w środku, widział to wyraźnie, siedziała Anna Ancher. Właśnie ona. Kruczoczarne włosy. Mała główka. Niczego nie brakowało. Nawet wrażenie w spodniach było takie jak poprzedniego dnia. Bartle-

boom zrozumiał. Cokolwiek by o nim mówiono, był to człowiek, który w razie potrzeby umiał podjąć decyzję i to nie na żarty, bo jeśli tak należało, nigdy jej już nie cofnął. Wrócił zatem do domu, spakował walizki i, gotów do odjazdu, stanął przed narzeczoną, Marią Luigią Severiną. Która przerzucała właśnie szczotki do włosów, wstążki i naszyjniki.

— Mario Luigo...

— Proszę cię, Ismaelu, jestem już spóźniona.

— Mario Luigo, pragnę cię poinformować, że nie jesteś już zaręczona.

— Zgoda, Ismaelu, pomówimy o tym później.

— W wyniku czego ja też nie jestem już zaręczony.

— To oczywiście, Ismaelu.

— Więc żegnaj.

Zdumiewająca w tej kobiecie była powolność reakcji. Wielokrotnie rozmawialiśmy z Bartleboomem o tej sprawie, był głęboko zafascynowany tym zjawiskiem, analizował je nawet, rzecz można, osiągając w tym zakresie pełną, prawie naukową kompetencję. W tym wypadku wiedział zatem dobrze, że aby zniknąć bezkarnie z jej domu, ma dwadzieścia dwie do dwudziestu sześciu sekund. Obliczył, że wystarczy mu to na dotarcie do karety. I rzeczywiście, w tej samej chwili gdy zasiadał w pojeździe, czystym porannym powietrzem Bad Hollen wstrząsnął nieludzki wrzask

— BAAAAAARTLEBOOM!

Co za głos miała ta kobieta. Jeszcze po wielu latach w Bad Hollen opowiadano, że było to tak,

201

jakby ktoś z dzwonnicy zrzucił fortepian prosto na skład kryształowych żyrandoli. Bartleboom zasięgnął informacji: Ancherowie mieszkali w miejscowości Hollenberg, pięćdziesiąt cztery kilometry na północ od Bad Hollen. Ruszył w podróż. Miał na sobie garnitur na wielkie okazje. Nawet kapelusz był uroczysty. Pocił się, owszem, ale w ramach ogólnie przyjętej przyzwoitości. Kareta mknęła bez przeszkód drogą między wzgórzami. Wszystko zdawało się zmierzać w najlepszym

kierunku. Bartleboom nie miał wątpliwości, jakie słowa wypowie, kiedy stanie przed Anną Ancher: — Czekałem na panią. Czekałem przez całe lata. I trzask, pada jej mahoniową skrzynkę z wszystkimi listami, setkami listów, osłupieć można ze zdumienia i wzruszenia. To był dobry plan, nie ma co mówić. Bartleboom obracał go w głowie przez całą drogę, co skłania do refleksji nad złożonością umysłu niektórych wielkich myślicieli i uczonych — a takim był bez wątpienia prof. Bartleboom — którym cudowna zdolność koncentrowania się z wielką trafnością i wnikliwością na jednej myśli każe równocześnie odsunąć natychmiast i całkowicie wszelkie myśli uboczne, pokrewne czy zbliżone. Słowem, szalone głowy. I tak na przykład Bartleboom spędził całą podróż na weryfikowaniu niepodważalnej ścisłości logicznej swojego planu, ale dopiero na siedem kilometrów przed Hollenbergiem, a dokładnie między miasteczkami Alzen i Balzen, przypomniał sobie, że właściwie tej mahoniowej skrzynki, a za-

202

tem wszystkich tych listów, setek listów on j u ż nie ma.

To prawdziwy cios, coś takiego. Jeśli wiecie, co chcę powiedzieć.

Istotnie, skrzynkę z listami Bartleboom dał był Marii Luigii Severinie w dniu zaręczyn. Nie był może zbyt przekonany, ale podał jej wszystko gestem dość uroczystym, mówiąc

— Czekałem na panią. Czekałem przez całe lata. Po dziesięciu, dwunastu sekundach zwykłego zastoju, Maria Luigia wytrzeszczyła oczy, wyciągnęła szyję i z niedowierzaniem wymówiła dwa proste słowa:

— Na mnie?

„Na mnie?” nie było właściwie tą odpowiedzią, jaką Bartleboom wymarzył sobie przez te wszystkie lata, gdy pisał tamte listy i żył samotnie, radząc sobie jak mógł. Dlatego oczywiste jest, że w tej sytuacji był trochę rozczarowany, nietrudno to zrozumieć. Co tłumaczy również, dlaczego potem nie wrócił już do tych listów, upewniając się tylko, że mahoniowa skrzynka jest nadal u Marii Luigii i Bóg jeden wie, czy ktokolwiek ją tam kiedyś otworzył. Zdarza się. Ktoś snuje marzenia, to jego sprawa osobista, ale potem życie nie chce podjąć jego gry i marzenia niszczy, jedna chwila, jedno zdanie i wszystko się rozpada. Zdarza się. Dlatego właśnie życie to takie ciężkie zajęcie. Trzeba się pogodzić z losem. Życie nie jest wdzięczne, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć. Wdzięczność. Ale mniejsza z tym.

203

Teraz chodziło o to, że skrzynka była potrzebna, ale znajdowała się w miejscu najgorszym z możliwych, czyli gdzieś w domu Marii Luigii. Bartleboom wysiadł z karety w Balzen, pięć kilometrów przed Hollenbergiem, przenocował w hoteliku i następnego ranka ruszył kareta w drugą stronę, by wrócić do Bad Hollen. Zaczęła się jego odyseja. Prawdziwa odyseja, możecie mi wierzyć.

Wobec Marii Luigii zastosował swoją zwykłą technikę, bezbłędną. Wszedł niezapowiedziany do pokoju, gdzie leżała w łóżku bez sił, kurując nerwy, i powiedział bez żadnych wstępów

— Moja droga, przyszedłem zabrać listy.

— Są na biurku, skarbie — odpowiedziała łagodnym głosem. Po czym, po upływie

dokładnie dwudziestu sześciu sekund, wydała zduszony jęk i zemdłała. Bartleboom, rozumie się, zdążył już zniknąć.

Wsiadł znowu do karety, kierując się tym razem w stronę Hollenbergu i następnego dnia wieczorem zjawił się w domu Ancherów. Zaprowadzono go do salonu i niewiele brakowało, by padł z wrażenia. Panienska siedziała przy fortepianie i grała, ze swoją główką, kruczoczarnymi włosami i całą resztą, grała jak anioł. Zupełnie sama, ona, fortepian i nic więcej. Coś niewiarygodnego. Bartleboom stał jak skamieniały, ze swoją mahoniową skrzynką w ręku, na progu salonu, zupełnie biały na twarzy. Nawet pocić się już nie mógł. Podziwiał i tyle.

Kiedy muzyka się skończyła, panienska zwróciła na niego oczy. W najwyższym zachwycie prze-

204

szedł przez salon, znalazł się przed nią, położył mahoniową skrzynkę na fortepianie i powiedział:

— Anno, czekałem na panią. Czekałem przez całe lata.

I tym razem odpowiedź była osobliwa.

— Ja nie jestem Anna.

— Słucham?

— Ja się nazywam Elisabetta. Anna to moja siostra.

Bliźniaczki, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć. Dwie krople wody.

— Moja siostra jest u wód, w Bad Hollen. Jakies pięćdziesiąt kilometrów stąd.

— Tak, znam drogę, dziękuję.

To prawdziwy cios, coś takiego. Nie ma co mówić. Prawdziwy cios. Na szczęście Bartleboom był silny siłą ducha, która w nim tkwiła, mógł obdarować nią jeszcze wielu innych. Wyruszył znowu w podróż do Bad Hollen. Jeśli tam była Anna Ancher, to i on musiał tam pojechać. To proste. Gdzieś w połowie drogi zaczęło się to mu jednak wydawać trochę mniej proste. Chodziło o to, że nie mógł zapomnieć tamtej muzyki. I fortepianu, rąk na klawiaturze, kruczoczarnej główki, słowem całego tamtego zjawiska. Które zdawało się dziełem szatana, tak było doskonałe. Albo przeznaczenia, powiedział sobie Bartleboom. Zaczęła dręczyć profesora ta historia z bliźniaczkami, malarką i pianistką, nie mógł się w niej połapać, co dość zrozumiałe. Im więcej mijało czasu, tym mniej z tego rozumiał. Można powiedzieć, że z każdym kilometrem drogi rozumiał o kilometr

205

mniej. W końcu postanowił zrobić przerwę na zastanowienie się. Wsiadł w Pozel, sześć kilometrów przed Bad Hollen. I tam spędził noc. Nazajutrz wsiadł w karetkę do Hollenbergu: zdecydował się na pianistkę. Bardziej fascynująca, pomyślał. Zmienił zdanie na dwudziestym drugim kilometrze: dokładnie w Bazeli, gdzie wysiadł i przenocował. Wyjechał wczesnym rankiem karetką do Bad Hollen — w głębi

duszy zaręczony już z Anną Ancher, malarką — by zatrzymać się w Suzer, małej wiosce dwa kilometry od Pozeli, gdzie wyjaśniło się ostatecznie, że, z punktu widzenia charakteru, pasuje bardziej do Elisabetty, pianistki. W ciągu następnych dni jego wahadłowe podróże zawiodły go znowu do Alzen, potem do Tozer,

stamtąd do Balzen, po czym z powrotem aż do Fazel, a stąd, kolejno, do Palzen, Rulzen, Alzen (po raz trzeci) i Colzen. Miejscowi ludzie nabrali przekonania, że jest inspektorem z jakiegoś ministerstwa. Wszyscy traktowali go bardzo dobrze. W Alzen, za trzecim razem, zastał nawet oczekujący go komitet obywatelski. Nie przywiązywał do tego wagi. Nie był formalistą. Był człowiekiem prostym, Bartleboom, pięknym okazem prostego człowieka. I rozsądnym. Naprawdę. Ale mniejsza z tym.

Ta historia nie mogła trwać wiecznie. Chociaż mieszkańcy miasteczek byli tacy uprzejmi. Wcześniej czy później musiała się skończyć. Bartleboom to rozumiał. I po dwunastu dniach gorączkowego krążenia ubrał się jak należy i ruszył zdecydowanie do Bad Hollen. Podjął decyzję: spędzi ży-

206

cie z malarką. Przyjechał wieczorem świątecznego dnia. Anny Ancher nie było w domu. Miała wkrótce wrócić. Poczekam, powiedział. I usiadł w saloniku. Ale tam nagle wrócił mu na pamięć, jak błyskawica, obraz istotny i złowieszczy: jego pięknie błyszcząca mahoniowa skrzynka na fortepianie w domu Ancherów. Zostawił ją tam. To rzeczy trudne do pojęcia dla ludzi normalnych, takich jak na przykład ja, to zagadka umysłów wyższych, to im właściwy jest ten genialny mechanizm zdolny zarówno do wspaniałych akrobacji, jak i kolosalnych wpadek. On, Bartleboom, należał do tego gatunku. Wpadek niekiedy kolosalnych. Nie stracił jednak głowy. Wstał z miejsca i oświadczywszy, że wróci później, schronił się w małym hoteliku za miastem. Następnego dnia wsiadł w karetę jadącą do Hollenbergu. Zaczął się do tej drogi przyzwyczajając, stawał się, by tak rzec, jej prawdziwym znawcą. Gdyby istniała katedra uniwersytecka do studiów nad tą drogą, mógłbym przysiąc, że on właśnie by ją dostał, to jasne.

W Hollenbergu sprawy potoczyły się gładko. Skrzynka faktycznie była tutaj.

— Chciałam ją panu odesłać, ale nie miałam pojęcia, gdzie pana szukać — powiedziała Elisabet-ta Ancher głosem, który uwiódłby nawet głuchego. Bartleboom zawahał się, ale zaraz się opamiętał.

— Nieważne, wszystko w porządku. Pocałował ją w rękę i wyszedł. Przez całą noc nie zmrużył oka, ale rano zjawił się punktualnie w

207

miejscu, skąd odjeżdżała pierwsza kareta do Bad Hollen. Piękna podróż. Na każdym przystanku powitania i oznaki radości. Ludzie zaczynali się przywiązywać, tak już jest w tych stronach, to ludzie towarzyscy, nie są podejrzliwi, idą do ciebie z sercem na dłoni. Naprawdę. Okolice przerażająco brzydka, to trzeba przyznać, za to ludzie wspaniali, ludzie starej daty. Ale mniejsza z tym.

Z boską pomocą Bartleboom dotarł do Bad Hollen, ze swoją mahoniową skrzynką, listami i całą resztą. Wrócił do domu Anny Ancher i kazał się zaanonsować.

Artystka malowała właśnie martwą naturę, jabłka gruszki bażanty, rzeczy w tym stylu, bażanty martwe, ma się rozumieć, bo miała to być martwa natura. Główkę trzymała lekko przechyloną na bok. Kruczoczarne włosy okalały uroczo twarz.

Gdyby stał tam jeszcze fortepian, nie miałbyś wątpliwości, że to tamta, ta z Hollen-bergu. A tymczasem to była ona, ta z Bad Hollen. Dwie krople wody, powiadam. To nadzwyczajne, co może zrobić natura, gdy przyłoży się do czegoś z

zapałem. Nie do wiary. Naprawdę.

— Profesor Bartleboom, co za niespodzianka! — zaszczębiotała.

— Dzień dobry, panno Ancher — odparł, dodając zaraz: — Anna Ancher, prawda?

— Tak, dlaczego?

Profesor chciał się upewnić. Na wszelki wypadek.

— Cóż pana sprowadziło aż tutaj, by uszczęśliwić mnie pańską wizytą?

- To — odparł poważnie Bartleboom, kładąc

208

przeed nią mahoniową skrzynkę i otwierając ją przed jej oczami. — Czekałem na panią, Anno. Czekałem przez całe lata.

Malarka wyciągnęła rękę i szybko zamknęła skrzynkę.

— Zanim zaczniemy rozmawiać dalej, muszę pana o czymś poinformować, profesorze

Bartleboom.

— O czym tylko pani zechce, najdroższa.

— Jestem zaręczona.

— Co to znaczy?

— Zaręczyłam się sześć dni temu z podporucznikiem Gallegą.

— Znakomity wybór.

— Dziękuję.

Bartleboom cofnął się myślą sześć dni wstecz. To był ten dzień, gdy jadąc z Ruzlen zatrzymał się w Colzen, skąd wrócił potem do Alzen. Słowem, sam środek jego katuszy. Sześć dni. Sześć nędznych dni. Nawiasem mówiąc ów Gallega był prawdziwym pasożytem, jeśli wicie, co chcę powiedzieć, osobnikiem bezwartościowym i w pewnym sensie nawet szkodliwym. Aż przykro. Doprawdy przykro.

— Czy chce pan teraz porozmawiać?

— Sądzę, że nie ma już potrzeby — odparł Bartleboom biorąc z powrotem mahoniową

skrzynkę. Po drodze do hotelu profesor Bartleboom próbował przeanalizować na zimno sytuację i doszedł do wniosku, że możliwości są dwie (okoliczność, jak wszyscy wiemy, powtarzająca się dość często, jako że możliwości są na ogół dwie, z rzadka trzy):

14 — Ocean morze

209

Moja ukochana,

Bóg jeden wie, jak bardzo porze brakuje mi Pani obec by dla mnie Pani uśmiech rze buntuje się przeciw ?? zumienia go. Nie myślała. stanąć przed nim twarzą moimi przyrzadami i zesz] początku tego, czego szuk wiek odpowiedzi. Gdzie za

Alessandro Baricco, urodzi

należy do czołówki pisarz]

powieści, sztuk teatralnj

muzykologii. Jego cztery

nagradzane, przyniosły m

z nich ukazały się nakładt

wl998,C%w2000iOc
Ocean morze, druga j
powieść Baricco, wydana
zdobył dwie pres
Yiareggio i Pal

I»

•

albo jest to jedynie kłopotliwa przeszkoda i wobec tego powinien wyzwać rzeźzonego podporucznika Gallegę na pojedynek i pozbyć się go. Albo jest to wyraźny znak losu, wielkodusznego losu, i wobec tego powinien wrócić jak najprędzej do HoUenbergu, by poślubić Elisabettę An-cher, niezapomnianą pianistkę. Nawiasem mówiąc, Bartleboom nienawidził pojedynków. Po prostu ich nie znosił. „Martwe bażanty...”, pomyślał z pewnym niesmakiem. I postanowił jechać. Siedząc na swoim miejscu w pierwszej porannej karecie, ruszył znowu w drogę do HoUenbergu. Był w pogodnym nastroju i z pobłażliwą sympatią przyjmował radosne objawy przywiązania, jakimi darzyli go kolejno mieszkańcy Pozel, Colzen, Tozen, Tozer, Rulzen, Palzen, Alzen, Balzen i Fazel. Mili ludzie, jak powiedziałem. Wczesnym wieczorem, nienagannie ubrany, zjawił się ze swoją mahoniową skrzynką w domu Ancherów.

— Proszę z panną Elisabettą — powiedział, tonem nieco uroczystym, do służącego, który otworzył mu drzwi.

— Nie ma jej, proszę pana. Pojechała dziś rano do Bad Hollen.

Nie do wiary.

Człowiek o innym przygotowaniu moralnym i kulturalnym zawróciłby pewnie i wsiadł

w najbliższą karetę do Bad Hollen. Człowiek, mniej odporny psychicznie i nerwowo, dałby może prostacko wyraz ostatecznej i nieuleczalnej rozpacz. Ale Bartleboom był człowiekiem prawym i uczciwym,

210

jednym z tych, co mają pewien styl, gdy trzeba przełknąć kaprysy losu.

Bartleboom zaczął się śmiać. Ale śmiał się na cały głos, do rozpuku, skręcał się ze śmiechu, nie sposób było go powstrzymać, do łez i w ogóle, prawdziwe przedstawienie, śmiech apokaliptyczny, frenetyczny, niepohamowany, śmiech, który trwał bez końca. Służący w domu Ancherów nie wiedzieli już, co robić, nie było sposobu, by go uspokoić, prośbą ani groźbą, nie przestawał zanosić się od śmiechu, co było krępujące, a na dodatek zaraźliwe, wiadomo, jeden zaczyna, a potem inni za nim, to taka prawidłowość, jak epidemia, chciałbyś zachować powagę, ale nie dajesz rady, to bezlitosne, nic nie poradzisz, poddawali się, jeden po drugim, wszyscy służący, chociaż wcale nie było im do śmiechu, wręcz przeciwnie, ściśle mówiąc mieli się czym przejmować, sytuacja była krępująca, jeśli nie wprost dramatyczna, ale jeden po drugim zaczynali się śmiać jak szaleni, można było nie zdzierżyć, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć, można się było zsi-kać, jeśli kto nie uważał. W końcu zanieśli go na łóżko. Ale w pozycji horyzontalnej śmiał się dalej, i to z jakim zapałem, z jakim rozmachem, doprawdy coś

nadzwyczajnego, dusząc się czkawką, płacząc, ale niepowstrzymanie, zadziwiająco, nie żartuję. Minęło półtorej godziny, a on śmiał się nadal. I ani na chwilę nie przestał. Służący byli już kompletnie wykończeni, wybiegali z domu, żeby nie słyszeć tej rozweselającej i zaraźliwej czkawki, próbowali uciekać, kiszki skręcały się

211

im boleśnie z tego wielkiego śmiechu, próbowali się ratować, można ich zrozumieć, to już zaczynała być sprawa życia i śmierci. Coś nieprawdopodobnego. Potem w pewnej chwili Bartleboom niespodziewanie przestał, jak zablokowana maszyna, zrobił się nagle poważny, rozejrzał wkoło i zatrzymawszy wzrok na służącym, który stał najbliżej, zapytał najpoważniej w świecie:

— Widziałeś mahoniową skrzynkę?

Ten nie mógł wprost uwierzyć, że może zrobić coś, co tamtemu pozwoli przestać.

— Oto ona, proszę pana.

— To ja ci ją daję — powiedział Bartleboom i znów zaniósł się śmiechem jak szalony, jakby powiedział wspaniały dowcip, najlepszy w życiu, największy, jeśli tak można powiedzieć, dowcipas. I już nie przestał.

Prześmiał całą noc. Pomijając już służbę w domu Ancherów, która chodziła teraz z wata w uszach, sprawa była kłopotliwa dla całego miasteczka, cichego Hollenbergu, bo śmiech Bartlebooma wykraczał, rozumie się, poza granice domu jako takiego i roznosił się aż miło w nocnej ciszy. O śnie nie było co mówić. Jeśli ktoś mógł zachować powagę, to już było dużo. I w pierwszej chwili rzeczywiście udawało się powagę zachować, choćby ze względu na irytację, jaką budził ten natrętny hałas, ale zdrowy rozsądek szybko brali diabli i zaczynał się szerzyć bakcyl śmiechu, niepowstrzymany, atakujący wszystkich bez wyboru, mężczyzn i kobiety, nie mówiąc już o dzieciach, naprawdę wszystkich. Jak epidemia. Były domy,

212

w których nikt nie śmiał się od miesiący, nawet już nie pamiętano, jak się to robi. Ludzie tonęli we wzajemnych urazach i w biedzie. Przez całe miesiące obcy im był luksus uśmiechu. A tej nocy zaczęli śmiać się wszyscy, skręcać się ze śmiechu, coś niesłychanego, nie poznawali się wręcz wzajemnie bez maski tego ich wiecznego zawodu, z rozlanym na twarzy kpiącym uśmiechem. Rewelacja. Można było

znów nabrać ochoty do życia na widok świateł zapalających się kolejno w tym miasteczku, domów chwiejących się od wybuchów śmiechu, chociaż nie było się z czego śmiać i śmiano się ot tak, jakimś cudem, jakby tej właśnie nocy przelała się beczka kolektywnej i zgodnej cierpliwości i wszelkiej nędzy, wszelkiej biedzie na pohybel całe miasteczko zalały zasłużone rzeki szyderczego śmiechu. Chwytający za serce koncert. Coś cudownego. A chórem dyrygował Bartleboom. Miał

swoją chwilę, by tak rzec. I dyrygował po mistrzowsku. Pamiętna noc, mówię wam. Zapytajcie, kogo chcecie. Tylko tchórz nie przyzna, że to była noc godna pamięci. Ale mniejsza z tym.

O świecie ustało, to znaczy, chcę powiedzieć, Bartleboom przestał. A potem, kolejno, wszyscy w całym miasteczku. Powoli przestawali się śmiać, w końcu

przestali zupełnie. Tak jak przyszło, odeszło. Bartleboom poprosił o coś do zjedzenia. Cała historia obudziła w nim, rozumie się, wielki apetyt, to nie byle co śmiać się przez tyle czasu i z takim zapalem. Ale jeśli chodzi o zdrowie, wyglądał kwitnąco.

213

— Nigdy nie czułem się lepiej — powiedział delegacji mieszkańców, którzy, do pewnego stopnia wdzięczni, a w każdym razie ciekawi, przyszli zapytać go o zdrowie. W istocie Bartleboom zyskał nowych przyjaciół. Los chciał najwyraźniej, by w tej okolicy ponawiały przyjaźnie. Z kobietami mu nie wychodziło, to prawda, ale jeśli idzie o ludność, zdawał się wprost stworzony do tych okolic. Naprawdę. Niemniej wstał, pożegnał wszystkich i zaczął się zbierać do odjazdu. Miał pewien konkretny plan.

— Którą drogą jedzie się do stolicy?

— Musi pan wrócić do Bad Hollen, a stamtąd...

— Nie ma mowy — i wyruszył w przeciwnym kierunku, kolaską sąsiada, który trudnił się kowalstwem i był bardzo zdolny w swej dziedzinie, prawdziwy talent. Sąsiad spędził noc pokładając się ze śmiechu. Miał więc, by tak rzec, pewien dług wdzięczności. Tego dnia zamknął warsztat i wywiózł Bartlebooma daleko od tych miejsc, tych wspomnień i całej reszty, do diabła z tym, nigdy już tu profesor nie wróci, koniec z tą historią, lepiej czy gorzej, ale się skończyło i to raz na zawsze, do jasnej Anielki. Koniec. Otóż to. Potem Bartleboom nie próbował się już nigdy ożenić. Mówił, że nie czas już na to i że nie ma o czym mówić. Ja myślę, że trochę nad tym wszystkim cierpiał, ale nie dawał ci tego odczuć, to nie w jego stylu, swoje smutki trzymał dla siebie i umiał przejść nad nimi do porządku dziennego. Był jednym z tych, co, niezależnie od wszystkiego, patrzą na życie pogodnie. Godził się z lo-

214

sem, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć. W ciągu siedmiu lat, gdy mieszkał tu, pod nami, cieszyliśmy się zawsze, że tu pod nami mieszka, tyle razy bywał u nas w domu, jakby należał do rodziny, i w jakimś sensie naprawdę należał. Mógłby zresztą mieszkać w dużo lepszych dzielnicach, ostatnimi czasy dostawał tyle pieniędzy, spadków dla ścisłości, ciotki padały jedna po drugiej jak przejrzałe jabłka, niech spoczywają w pokoju, cała procesja notariuszy, testament za testamentem i wszystkie, chcesz czy nie chcesz, kończyły się napływem gotówki do kieszeni Bartlebooma. Słowem, gdyby chciał, mógłby mieszkać zupełnie gdzie indziej. Ale on został tutaj. Mówił, że w tej dzielnicy czuje się dobrze. Umiał docenić, że tak powiem. Po tym też można człowieka poznać.

Nad tą swoją Encyklopedią granic i tak dalej pracował aż do końca. Zaczął ją pisać od nowa. Mówił, że nauka robi milowe kroki i że w rezultacie ciągle trzeba uzupełniać, precyzować, poprawiać, udoskonalać. Zafascynowała go myśl, że Encyklopedia granic jest książką, której właściwie nie sposób skończyć. Książką nieskończoną. To absurdalne, jak się zastanowić, i sam się z tego śmiał, tłumaczył mi to ciągle, zaskoczony, wręcz ubawiony. Inny może by nad tym cierpiał. Ale on, jak mówię, nie był stworzony do zmartwień. On był pogodny. Umarł, ma się rozumieć, też na swój sposób. Nie robiąc przedstawienia, po cichu.

Pewnego dnia poczuł się nienajlepiej, położył się do łóżka, a w tydzień później było już po wszystkim. Nie

215

wiadomo nawet, czy cierpiał, czy nie, pytałem go, ale jemu zależało na tym, żebyśmy się nie martwili wszyscy razem takimi drobiazgami. Nie lubił sprawiać kłopotu. Tylko raz poprosił mnie, czy nie zechciałbym postawić przed nim jednego z tych obrazów jego przyjaciela malarza, które wisiały na ścianie na wprost łóżka. To też była historia nie do wiary z tą kolekcją prac Plassona. Prawie wszystkie białe, dacie wiarę? Ale jemu bardzo na nich zależało. Ten, który przed nim wtedy postawiłem, też był biały, cały biały, wybrał go spośród innych, a ja mu go postawiłem tak, by mógł go z łóżka dobrze widzieć. Był biały, przysięgam. A on patrzył, patrzył, pożerał go oczami, że tak powiem. — Morze... — powiedział cicho. Umarł rankiem. Zamknął oczy i już ich nie otworzył. Po prostu. Ja nie wiem. Są ludzie, którzy umierają i, z całym szacunkiem, strata jest niewielka. Ale on należał do tych, których stratę się czuje. Jakby cały świat stał się z dnia na dzień cięższy. Możliwe, że ta planeta i cała reszta unoszą się w powietrzu tylko dlatego, że naokoło są tacy Bartleboomowie, którzy ją podtrzymują tą swoją pogodą. Nie wyglądają na bohaterów, a jednak wszystko trzyma się na nich. Tacy już są. Taki był Bartleboom. Na przykład: potrafił wziąć cię pod rękę, któregoś dnia na ulicy, i powiedzieć ci w wielkim sekrecie: — Ja pewnego razu widziałem anioły. Były na brzegu morza. Mimo że w Boga nie wierzył, był naukowcem i

216

nie miał zbyt wielu inklinacji do spraw kościelnych, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć. Ale widział anioły. I mówił ci o tym. Brał cię pod rękę, któregoś dnia na ulicy, i z zachwytem w oczach mówił ci o tym.

— Ja pewnego razu widziałem anioły. Czy można kogoś takiego nie kochać?

217

6. SAYIGNY

— Więc pan nas opuszcza, doktorze Savigny...

— Tak, proszę pana.

— I postanowił pan wrócić do Francji.

— Tak.

— To nie będzie dla pana łatwe... mam na myśli ciekawość ludzi, gazety, polityków... Obawiam się, że zaczęło się prawdziwe polowanie na ocalałych rozbitków z tej tratwy...

— Mówiono mi.

— To się stało jakąś sprawą ogólnonarodową. Tak to jest, gdy do czegoś wmiesza się polityka...

— Wcześniej czy później, zobaczy pan, wszyscy o tej historii zapomną.

— Nie wątpię, drogi Savigny. Proszę: oto pańskie dokumenty, może się pan zaokrętować.

— Dużo panu zawdzięczam, panie kapitanie.

— Nie ma o czym mówić.

— A jeśli chodzi o pańskiego lekarza, zawdzięczam mu chyba życie... dokonał

cudów.

— Savigny, gdybyśmy zaczęli liczyć cuda w tej historii, nigdy byśmy nie skończyli. Niech pan idzie. I powodzenia.

— Dziękuję, kapitanie. Aha, jeszcze jedno.

218

— Słucham.

— Ten... ten sternik... Thomas... mówią, że uciekł ze szpitala...

— Tak, to dziwna historia. Tu, oczywiście, nigdy by się to nie zdarzyło, ale tam, w szpitalu cywilnym, może pan sobie wyobrazić, jak...

— Nie ma o nim żadnych wiadomości?

— Nie, na razie nie. Ale w tym stanie, w jakim się znajdował, nie mógł ujść daleko. Najpewniej gdzieś umarł...

— Umarł?

— Ba, tyle przynajmniej można się spodziewać po kimś, kto... ale przepraszam: czy to był może pański przyjaciel?

— To nie będzie trudne, Savigny, ma pan tylko powtórzyć to, co napisał pan w tym swoim memoriale. A propos, musiał pan zrobić ładne pieniądze, co?, na tej książeczce... w salonach nie czytają nic innego...

— Pytałem pana, czy to naprawdę konieczne, żebym się stawił na sali.

— Ach, nie byłoby może konieczne, ale to diabelny proces, cały kraj na nas patrzy, nie można spokojnie pracować... wszystko ściśle z prawem, absurd...

— Będzie też Chaumareys...

— Pewno, że będzie... on chce bronić się osobiście... ale nie ma żadnej szansy, zero, ludzie chcą jego głowy i będą ją mieli.

— To nie była tylko jego wina.

219

— Nieważne, Savigny. On był kapitanem. On wprowadził „Alliance” na tę płyciznę, on zdecydował, że trzeba statek opuścić, i on, na zakończenie, zostawił was dryfujących na tej piekielnej pułapce...

— Dobrze, dobrze, dajmy spokój. Zobaczymy się na sali.

— Jest jeszcze jedna sprawa...

— Niech pan mnie puści, panie Parpeil.

— Mecenasiu Parpeil, jeśli łaska.

— Żegnam.

— Nie, nie może pan odejść.

— O co jeszcze chodzi?

— Och, zawracanie głowy... drobiazg, ale, wie pan, lepiej być ostrożnym... słowem krążą głosy, że ktoś, zdaje się, napisał jakiś... chyba dziennik, rodzaj zapisków z tamtych dni na tratwie... zdaje się, że to jakiś marynarz, i to już dostatecznie świadczy o tym, że sprawa jest mało poważna... czy może pan sobie wyobrazić marynarza, który pisze, oczywisty absurd, wydaje się jednak, że jeden z ocalałych...

— Thomas. Thomas umiał pisać.

— Słucham?

— Nie, nic.

— Cóż, słowem, w tym dzienniku są zdaje się rzeczy... w jakiś sposób, powiedzmy, kłopotliwe... słowem on opowiada o tym nieco inaczej, niż to opowiedział pan i inni...

— I czytał. Książki. Umiał czytać i pisać.

— Na Boga, zechce mnie pan wysłuchać?

220

— Tak?

— Niech pan zrozumie, niewiele trzeba, by rzucić na kogoś piękną kalumnię... może pana nawet zniszczyć... słowem zastanawiałem się, czy w razie potrzeby byłby pan gotów wyłożyć pewną sumę pieniędzy, rozumie mnie pan, nie ma innego sposobu obrony przed kalumnią, a zresztą lepiej zdusić sprawę w zarodku, zanim... Savigny! Gdzie pan, do diabła, idzie? Savigny! Naprawdę nie ma się o co obrażać, mówiłem to dla pańskiego dobra, ja się na tym znam...

— Pańskie zeznania były bardzo cenne, doktorze Savigny. Sąd dziękuje panu i prosi, żeby pan wrócił na miejsce.

— Doktorze Savigny...

— Tak, przepraszam, chciałem...

— Ma pan coś do dodania?

— Nie... a raczej... tylko jedną rzecz... Chciałem powiedzieć, że... morze to coś innego... nie można sądzić czegoś, co dzieje się tam w środku... morze to coś innego.

— Doktorze, to jest Trybunał Marynarki Królewskiej: doskonale wie, co to jest morze.

— Tak pan sądzi?

— Proszę mi wierzyć, lektura tej pańskiej zachwycającej książeczki była emocjonująca... nawet

221

zbyt emocjonująca dla takiej starszej pani jak ja...

— Pani markizo, co też pani mówi...

— To prawda, doktorze Savigny, ta książka jest taka... jakby to powiedzieć... realistyczna, otóż to, czytałam ją i miałam wrażenie, że jestem tam, na tej tratwie, pośrodku morza, dreszcze mnie przechodziły...

— Pani mi pochlebia, pani markizo...

— Nie, nie... ta książka jest naprawdę...

— Dzień dobry, doktorze Savigny.

— Adelo...

— Adelo, moja córko, nie każe się czekać tak długo komuś równie zajętemu jak doktor...

— Och, jestem pewna, że zadręczyłaś go tysiącem pytań o jego przygody, prawda, panie Savigny?

— Rozmowa z pani matką to przyjemność.

— Jeszcze trochę i herbata by wystygła.

— Jest pani wspaniała, Adelo.

— Dziękuję.

- Jeszcze jedną filiżankę, doktorze?
- Miał ciemne oczy?
- Tak.
- Wysoki, włosy czarne, gładkie...
- Związane na karku, proszę pana.
- Marynarz?
- Mógł być marynarzem. Ale ubrany był... normalnie, prawie elegancko.
- I nie powiedział swojego nazwiska.

222

- Nie. Powiedział tylko, że jeszcze wróci.
- Że wróci?
- Znaleźliśmy go w pewnym hoteliku nad rzeką... przypadek... szukaliśmy dwóch dezertów, a znaleźliśmy jego... mówi, że nazywa się Philip-pe.
- I nie próbował uciec?
- Nie. Protestował, chciał wiedzieć, dlaczego go aresztujemy... jak to zwykle... Tędy, Savigny.
- A wyście mu powiedzieli?
- Nic. Policja w naszych czasach nie musi nikomu wyjaśniać, dlaczego go zamyka. Nie będziemy mogli, oczywiście, trzymać go długo, jeśli nie znajdzie się stosowny motyw... ale o tym już pan pomyśli, nie?
- Z pewnością.
- O, proszę podejść. Nie, niech pan się zbytnio nie wychyla. Jest tam, widzi pan?, przedostatni w rządzie.
- Ten oparty o mur...
- Tak. To on?
- Obawiam się, że nie.
- Nie?
- Nie, przykro mi.
- Ale opis się zgadza, jest identyczny.
- Jest identyczny, ale to nie on.
- Panie Savigny, proszę posłuchać. Może pan sobie być nawet bohaterem królestwa,

może pan być nawet zaprzyjaźniony ze wszystkimi mini-

223

- strami tego świata, ale ten tutaj, to już czwarty, którego...
- Nieważne, zrobił pan już bardzo dużo.
- Nie, proszę mnie posłuchać. My go nigdy nie znajdziemy, tego człowieka, a wie pan dlaczego? Bo ten człowiek nie żyje. Uciekł z nędznego szpitala w obskurnym zakątku Afryki, przeszedł parę kilometrów jakiejś piekielnej pustyni i spiekł się w słońcu na śmierć. Koniec. Ten człowiek teraz, na drugim końcu świata, gnije gdzieś pod kupą piachu.
- Ten człowiek teraz jest w tym mieście i chce mnie dopaść. Niech pan spojrzy.
- List?
- Dwa dni temu ktoś zostawił go pod moimi drzwiami. Proszę, proszę przeczytać...
- Tylko jedno zdanie...

— Ale bardzo jasne, nie?

— T ho mas...

— Thomas. Pan ma rację, panie Pastor. Nigdy tego człowieka nie znajdziecie. Ale nie dlatego, że umarł. Dlatego, że żyje. Jest bardziej żywy niż ja i pan razem wzięci. Równie żywy jak tropiące zwierzę.

— Panie Savigny, zapewniam pana, że...

— Żyje. I, w przeciwieństwie do mnie, ma powód, żeby żyć.

— Ależ to szaleństwo, Savigny! Lekarz błyskotliwy jak pan, dzisiaj już sławny... właśnie teraz, gdy otwierają się przed panem drzwi Akademii...

224

Wie pan doskonale, to pańskie studium na temat skutków głodu i pragnienia... słowem, choć ja uważam, że to bardziej powieść niż praca naukowa...

— Panie baronie...

— ... niemniej na moich kolegach zrobiło wielkie wrażenie i cieszę się za pana, Akademia skłania się przed pańskim urokiem i... przed pańskimi... bolesnymi doświadczeniami... mogę to zrozumieć... ale nie mogę zrozumieć, dlaczego wbił pan sobie do głowy właśnie teraz, żeby wyjechać i ukryć się w jakiejś zapomnianej prowincjonalnej dziurze, gdzie będzie pan pełnił funkcję, słuchajcie no tylko, lekarza wiejskiego, dobrze mówię?

— Tak, panie baronie.

— No to winszuję... nie ma lekarza w tym mieście, który nie chciałby, co mówię, nie marzyłby o tym, by mieć pańskie nazwisko i pańską wspaniałą przyszłość, a pan co postanawia? Prowadzić praktykę w jakiejś osadzie... co to właściwie za miejscowość?

— Na wsi.

— To zrozumiałem, ale gdzie?

— Daleko.

— Czy mam wnioskować, że nie można wiedzieć gdzie?

— Tego bym sobie życzył, panie baronie.

— Absurd. Pan jest żaloszny, Savigny, jest pan niemożliwy, nierozsądny, okropny. Nie znajduję żadnego logicznego wytłumaczenia dla pańskiego niewybaczalnego postępuku i... i... jedyne, co

15 — Ocean morze

225

mi przychodzi do głowy, to to, że pan zwariował! — Odwrotnie: ja nie chcę zwariować, panie baronie.

— O, proszę... to jest Charbonne... widzi je pan, tam w dole?

— Tak.

— To piękne miasteczko. Będzie tam panu dobrze.

— Tak.

— Proszę się podnieść, doktorze... o, tak. Niech pan przytrzyma to przez chwilę, o, właśnie... Bredził pan przez całą noc, musi pan coś zrobić.

— Powiedziałem ci, że nie ma potrzeby, żebyś zostawała, Marie.

— Co pan robi?... nie chce pan chyba wstać...

— Oczywiście, że chcę wstać...

- Ależ pan nie może...
- Marie, to ja jestem lekarzem.
- Tak, ale nie widział się pan tej nocy... pan naprawdę był chory, wyglądał pan jak wariat, rozmawiał z duchami i krzyczał...
- Krzyczałem?
- Gniewał się pan na morze.
- Aaa, znowu?
- Pan ma złe wspomnienia, doktorze. A złe wspomnienia niszczą życie.
- To złe życie, Marie, niszczy wspomnienia.
- Ale pan nie jest zły.

226

- Ja tam na morzu robiłem różne rzeczy. I to były rzeczy straszne.
- Dlaczego?
- Były straszne. Nikt nie mógłby ich wybaczyć. Nikt mi ich nie wybaczył.
- Nie powinien pan już o tym myśleć...
- A jeszcze straszniejsze jest to, że gdybym dzisiaj musiał tam wrócić, wiem, że zrobiłbym znów to samo.
- Niech pan przestanie, doktorze...
- Wiem, że zrobiłbym te same, identyczne rzeczy. Czy to nie jest potworne?
- Panie doktorze, proszę...
- Nie jest potworne?
- Noce zaczynają być znowu chłodne...
- Tak.
- Chciałbym odprowadzić pana do domu, doktorze, ale nie chcę zostawiać żony samej...
- Nie, proszę sobie nie robić kłopotu.
- Niemniej... chcę, żeby pan wiedział, że bardzo mi miło z panem rozmawiać.
- Mnie też.
- Wie pan, rok temu, kiedy pan tu przyjechał, mówiono, że jest pan...
- Zarozumiałym i aroganckim lekarzem ze stolicy...
- Tak, mniej więcej. Ludzie są tu podejrzliwi. Niekiedy wyobrażają sobie różne rzeczy.
- A wie pan, co mi mówiono o panu?
- Że jestem bogaty.

227

- ???.
- I małomówny.
- Tak. Ale także, że jest pan dobrym człowiekiem.
- Powiedziałem panu: ci ludzie wyobrażają sobie różne rzeczy.
- To ciekawe. Pomyśleć, że jestem tutaj. Ktoś taki jak ja... arogancki lekarz ze stolicy... Pomyśleć, że tu się zestarzeję.
- Wydaje mi się, że jest pan jeszcze trochę za młody, aby myśleć o tym, gdzie się zestarzeć, nie sądzi pan?
- Może ma pan rację. Ale tu jest się tak daleko od wszystkiego... Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zdarzy się coś, co by mnie stąd mogło wyrwać.

— Proszę o tym nie myśleć. Jeśli się zdarzy, będzie to coś pięknego. A jeśli nie, to miasteczko będzie szczęśliwe mogąc tu pana zatrzymać.
— To zaszczyt słyszeć takie słowa od samego burmistrza...
— Ach, proszę mi tego nie wypominać.
— Teraz muszę już naprawdę iść.
— Tak. Ale proszę wracać, kiedy pan tylko zechce. Będzie mi miło. I moja żona będzie szczęśliwa.
— Zrobię to na pewno.
— A zatem dobranoc, doktorze Savigny.
— Dobranoc, panie Deveria.

228

7. ADAMS

Przez wiele godzin po zachodzie nie zmrużył oka. Ostatni niewinny czas całego życia.

Potem wyszedł ze swego pokoju i cicho przeszedłszy korytarzem zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami. W hotelu Almayer nie było kluczy.

Jedną ręką na klamce, drugą trzyma mały lichtarz. Chwile jak igły. Drzwi otwały się bez hałasu. W pokoju cisza i ciemność.

Wszedł, postawił lichtarz na biurku, zamknął za sobą drzwi. Szczęk zamka głośno rozległ się w nocy: w półmroku, pod kołdrą, coś się poruszyło.

Zbliżył się do łóżka i powiedział:

— To już koniec, Savigny.

Zdanie jak cięcie szablą. Savigny usiadł na łóżku smagnięty dreszczem strachu.

Potoczył oczami w ciepłym świetle tych kilku świec, ujrzał błysk noża i nieruchomą twarz człowieka, o którym przez lata usiłował zapomnieć.

— Thomas...

Ann Deveria patrzyła na niego przestraszona. Uniosła się na rękę, rzuciła okiem na pokój, nie

229

zrozumiała, poszukała znów oczami twarzy kochanka, przypadła do niego.

— Co się dzieje, Andre?

On, przerażony, patrzył nadal przed siebie.

— Thomas, zatrzymaj się, oszalałeś...

Ale tamten się nie zatrzymał. Podszedł do łóżka, uniósł nóż i opuszczył go gwałtownie raz, dwa, trzy razy. Kołdra nasiąkła krwią.

Ann Deveria nie zdążyła nawet krzyknąć. Spojrzała z osłupieniem na tę ciemną falę, która rozlewała się po niej, i poczuła, że życie uchodzi z jej rozdartego ciała tak prędko, że nie miała nawet czasu nic pomyśleć. Upadła do tyłu z szeroko otwartymi oczami, które nic już nie widziały. Savigny trząsł się.

Wszędzie była krew. I absurdalna cisza. Hotel Almayer spał. Nieruchomy.

— Wstawaj, Savigny. I weź ją na ręce.

Głos Thomasa był nieubłaganie spokojny. To jeszcze nie koniec, nie.

Savigny poruszał się jak w transie. Wstał, podniósł ciało Ann Deveria i trzymając ją w ramionach pozwolił się wywlec z pokoju. Nie mógł wymówić słowa. Nie widział nic i nie był w stanie o niczym myśleć. Trząsł się tylko.

Dziwny mały orszak. Piękne ciało kobiece niesione w procesji. Martwy, krwawy ciężar w ramionach mężczyzny, który wlecze się drżący, a za nim niewzruszony cień z nożem w ręku. W ten sposób przeszli przez hotel i wyszli na plażę. Krok za krokiem, po piachu, aż na brzeg morza. Za nimi krwawy ślad. Nad nimi trochę księżycowego blasku.

230

— Nie zatrzymuj się, Savigny.

Zataczając się, zanurzył stopy w wodzie. Czuł ten nóż przyciśnięty do krzyża, a w ramionach ciężar, który stawał się ogromny. Jak kukła powlókł się parę metrów. Zatrzymał go tamten głos.

— Posłuchaj go, Savigny. To szum morza. Ten szum i ten ciężar w ramionach niechaj cię prześladowają przez całą resztę życia.

Powiedział to powoli, bez emocji i z nutą zmęczenia. Po czym upuścił nóż do wody, odwrócił się i poszedł w stronę plaży. Przeciął ją, idąc po ciemnych, zakrzepłych na piasku śladach. Szedł powoli, skończyły się jego problemy i historia.

Przygwożdżony na progu morza, z falami pieniącymi się u stóp, Savigny stał nieruchomo, niezdolny do żadnego gestu. Trzął się. I płakał. Kukielka, dziecko, wrak. Ciekły po nim krew i łzy: wosk świecy, której nikt nie miał już nigdy zgasić.

Adams został powieszony na placu w Saint Amand, o świcie ostatniego dnia kwietnia. Padał rześisty deszcz, ale wielu wyszło z domu, by nacieszyć się widowiskiem. Pochowano go tego samego dnia. Nikt nie wie, gdzie.

8. SIÓDMY POKÓJ

Otworzyły się drzwi i z siódmego pokoju wyszedł mężczyzna. Zatrzymał się krok za progiem i rozejrzał wkoło. Hotel wydawał się pusty. Żadnego hałasu, żadnego głosu, nic. Przez okienka korytarza wpadało słońce, przecinając półcień i rzucając na ściany małe zwiastuny czystego i promiennego poranka.

W pokoju wszystko zostało uporządkowane w sposób świadczący o najlepszej woli, choć nieco powierzchowny. Spakowana walizka, jeszcze nie zamknięta, na łóżku. Na biurku stosy kartek, pióra, książki, zgaszona lampa. Na parapecie dwa talerze i szklanka. Brudne, lecz porządnie ustawione. Dywan na podłodze miał zagięty róg, jak gdyby ktoś zostawił znak rozpoznawczy, by móc tu któregoś dnia powrócić. Na fotelu leżał duży, niestarannie złożony koc. Na jednej ze ścian widniały dwa obrazy. Identyczne.

Zostawiwszy za sobą otwarte drzwi, mężczyzna przebiegł korytarz, zszedł ze schodów nucąc jakąś nieokreśloną melodię i zatrzymał się przed — nazwijmy to — recepcją. Diry nie było. Na pulpicie leżała jak zwykle otwarta księga. Męż-

232

czyzna zaczął ją czytać, wpychając koszulę w spodnie. Śmieszne nazwiska. Znow rozejrzał się wkoło. To niewątpliwie hotel najbardziej pusty w całej historii pustych hoteli. Wszedł do dużej sali, powąchał bukiet kwiatów starzejących się w ohydny krysztalowym wazonie, podszedł do oszklonych drzwi i otworzył je.

To powietrze. I światło.

Musiał aż przymknąć oczy, tak było ostre, i owinąć się szczelniej kurtką z

powodu tego wiatru, wiatru z północy.

Przed nim cała plaża. Postawił stopy na piasku. Patrzył na nie, jakby właśnie wróciły z dalekiej podróży. Zdawał się szczerze zdumiony, że są tu znowu.

Podniósł głowę i na twarzy miał ten wyraz, jaki mają niektórzy ludzie, gdy czują w głowie lekką, szczęśliwą pustkę. To dziwne chwile. Byłbyś zdolny popełnić, nie wiedząc czemu, każde głupstwo. On zrobił rzecz bardzo prostą. Zaczął biec, ale biec jak szaleniec, do utraty tchu, potykając się i prostując, nieprzerwanie, najszybciej jak mógł, jakby go ścigało samo piekło, a przecież zupełnie nikt go nie ścigał, nie, to tylko on biegi, sam jeden, po tej pustej plaży, z wytrzeszczonymi oczami i sercem w gardle, tak że widząc go powiedziałbyś: Nie zatrzyma się już nigdy.

Siedząc jak zwykle na swoim parapecie, z nogami w pustce, Dood odwrócił oczy od morza, spojrzął na plażę i zobaczył go.

Biegł szybko, nie ma co.

Dood uśmiechnął się. — Skończył.

233

Przy nim siedział Ditz, ten, co wymyślał sny, a potem dawał ci je w prezencie. — Albo oszalał, albo skończył.

Po południu wszyscy wyszli na brzeg morza, by puszczać kaczki płaskimi kamykami lub rzucać do wody kamyki okrągłe i słuchać jak robią pluf. Byli wszyscy: Dood, który specjalnie w tym celu zszedł ze swego parapetu, Ditz, ten od snów, Doi, który wypatrzył tyle okrętów dla Plassona. Była Dira. I była prześliczna dziewczynka, ta, co sypiała w łóżku Ann Deveria, i nie wiadomo, jak miała na imię. Wszyscy razem: by rzucać do wody kamyki i słuchać mężczyzny, co wyszedł z siódmego pokoju. Mówił bardzo powoli.

— Musicie sobie wyobrazić dwoje ludzi, którzy się kochają... kochają się. I on musi odjechać. Jest marynarzem. Wyrusza w długą podróż, na morze. Więc ona haftuje własnoręcznie jedwabną chusteczkę... haftuje na niej swoje imię.

— June.

— June. Wyszywa je czerwoną nitką. I myśli: będzie ją nosił zawsze przy sobie i to go uchroni przed każdym niebezpieczeństwem, przed burzą, przed chorobą...

— Przed wielkimi rybami.

— ... przed wielkimi rybami...

— Przed rybą bananem.

— ... przed wszystkim. Jest tego pewna. Ale od razu mu jej nie daje, nie.

Najpierw zanoszą ją do

234

kościółka w swojej wiosce i mówi do księdza: musi mi ją ojciec pobłogosławić. Ma chronić mojego ukochanego i ojciec musi ją pobłogosławić. Więc ksiądz kładzie ją przed sobą, nachyla się nieco i palcem kreśli na niej krzyż. Wymawia jakieś zdanie w dziwnym języku i palcem kreśli na niej krzyż. Możecie to sobie wyobrazić? Jeden niepozorny gest. Chusteczka, ten palec, słowa księdza, jej uśmiechnięte oczy. Wyobrażacie sobie?

— Tak.

— No to teraz wyobraźcie sobie to. Statek. Wielki. Ma zaraz odpłynąć.

— Statek tamtego marynarza?

— Nie. Inny. Ale ten też ma odpłynąć. Cały starannie wymyty. Unosi się na wodzie w porcie. A przed sobą ma kilometry i kilometry morza, które na niego czeka, morza z jego ogromną siłą, morza szalonego, które albo będzie spokojne, albo zmiążdży go w swoich rękach i połknie, kto to wie. Nikt o tym nie mówi, ale każdy wie, jak silne jest morze. I wtedy na ten statek wchodzi czarno ubrany człowieczek. Na pokładzie są marynarze ze swoimi rodzinami, kobietami, dziećmi, matkami, wszyscy stoją w milczeniu. Człowieczek obchodzi statek mrużąc coś półgłosem. Idzie na sam dziób, potem wraca, posuwa się wolno między linami, zwiniętymi żaglami, beczkami, sieciami. Nadal sam do siebie szepce dziwne zdania i nie ma takiego zakątka na statku, gdzie by nie zajrzał. W końcu zatrzymuje się na środku pokładu. I klęka. Pochyla głowę i dalej szepce coś w

235

tym swoim dziwnym języku, wydaje się, że przemawia do statku, że mu coś mówi. Potem nagle milknie i jedną ręką, powoli, kreśli znak krzyża na tych drewnianych deskach. Znak krzyża. A wtedy wszyscy zwracają się w stronę morza i mają spojrzenie zwycięzców, bo wiedzą, że ten statek powróci, to statek pobłogosławiony, stawia czoło morzu i da sobie radę, nic już nie będzie mu w stanie zaszkodzić.

Przestali nawet rzucać kamyki w wodę. Słuchają teraz nieruchomo. Siedzą na piasku wszyscy pięcioro, a wokół nich, całymi kilometrami, nikogo.

— Zrozumieliście dobrze?

— Tak.

— Macie to dobrze w oczach?

— Tak.

— No to uwaga. Bo tu wszystko robi się trudne. Starzec. Z bardzo białą skórą i chudymi rękami, porusza się z wysiłkiem, powoli. Idzie główną ulicą miasteczka. Za nim setki i setki osób, cała miejscowa ludność podąża za nim, włożyli najlepsze ubrania, nikogo nie brakuje. Starzec idzie dalej i wydaje się, że jest sam, zupełnie sam. Dociera do ostatnich domów miasteczka, ale nie zatrzymuje się. Jest taki stary, że trzęsą mu się ręce i trzęsie z lekka głowa. Ale patrzy przed siebie spokojnie i nie staje nawet tam, gdzie zaczyna się plaża, wchodzi między łodzie wyciągnięte na brzeg tym swoim krokiem tak chwiejnym, jakby miał za chwilę upaść, ale nie pada. Za nim wszyscy

236

inni, parę metrów z tyłu, nieustępliwie. Setki i setki osób. Starzec idzie po piasku i to jest jeszcze trudniejsze, ale nieważne, nie chce się zatrzymać i tak idąc dociera wreszcie do morza. Morze. Ludzie przestają śpiewać, zatrzymują się na kilka kroków od brzegu. Teraz starzec wydaje się jeszcze bardziej samotny, gdy tak powoli stawia krok za krokiem i wchodzi do morza, samotnie wchodzi do morza. Parę kroków, póki woda nie sięgnie mu do kolan. Mokre ubranie przylepiło mu się do nóg przeraźliwie chudych, skóra i kości. Fala nadpływa i cofa się, a on jest taki drobny, że masz wrażenie, jakby go miała porwać. Ale nie, stoi jak wmurowany w wodę, z oczami utkwionymi przed siebie. Utkwionymi w oczach morza.

Cisza. Wokół zamarł wszelki ruch. Ludzie wstrzymują oddech. Jak zaczarowani. Wtedy starzec opuszcza oczy, zanurza rękę w wodzie i powoli kreśli znak krzyża.

Powoli. Błogosławi morze. I jest to coś wielkiego, spróbujcie to sobie wyob-

237
razić, wątły starzec, nieznacznym gestem, i nagle ogromne morze przebiega dreszczem, całe morze, aż po najdalszy horyzont, drży, wstrząsa się, rozplywa, przenika w jego żyły miód błogosławieństwa, co rzuca czar na każdą falę i wszystkie statki świata, burze, najgłębsze otchłanie, najciemniejsze wody, ludzi i zwierzęta, tych, co na nim umierają, tych, co się boją, co na nie patrzą zafascynowani, przerażeni, wzruszeni, szczęśliwi, wybrani, patrzą, jak nagle, na chwilę, ogromne morze schyla głowę i nie jest już zagadką, nie jest już wrogiem, nie jest już milczeniem, lecz bratem, spokojnym łonem, widowiskiem dla bezpiecznych ludzi. Ręka starca. Znak w wodzie. Patrzysz na morze i nie czujesz już lęku. Koniec. Cisza.

Co za historia..., pomyślał Dood. Dira odwróciła się, by spojrzeć na morze. Co za historia. Prześliczna dziewczynka pociągnęła noskiem. Ale czy to prawda?, pomyślał Ditz. Mężczyzna siedział nadal na piasku i milczał. Doi spojrzał mu w oczy.

— Ale ta historia jest prawdziwa?

— Była.

— I już nie jest?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie udaje się już pobłogosławić morza.

— Ale temu starcowi się udało.

— Ten starzec był stary i miał w sobie coś, czego dziś już nie ma.

238

— Czary?

— Coś w tym rodzaju. Piękne czary.

— I co się z nimi stało?

— Zniknęły.

Nie mogli uwierzyć, że czary tak po prostu zniknęły.

— Przysięgasz?

— Przysięgam. Naprawdę zniknęły.

Mężczyzna wstał. Z daleka widać było hotel Al-mayer, prawie przezroczysty w tym świetle obmytym przez północny wiatr. Miało się wrażenie, że słońce stanęło w jaśniejszej połowie nieba. I Dira powiedziała:

— Ty tutaj przyjechałeś, żeby pobłogosławić morze, prawda?

Mężczyzna popatrzył na nią, zrobił kilka kroków, podszedł blisko, pochylił się i uśmiechnął.

— Nie.

— No to co robiłeś w tym pokoju?

— Jeśli morza nie można już pobłogosławić, to może da się je chociaż

opowiedzieć. Opowiedzieć morze. Opowiedzieć morze. Opowiedzieć morze. Aby nie

wszystko, co krył w sobie gest tamtego starca, było stracone, aby może strzępek tych czarów, co krąży jeszcze gdzieś w czasie, ktoś mógł znaleźć i zatrzymać, zanim zniknie na zawsze. Opowiedzieć morze. Bo tylko to nam zostaje. Bo my, bez krzyży, bez starców, bez czarów, musimy mieć na nie jakąś broń, cokolwiek, by nie umierać w milczeniu i tyle.

239

— Opowiedzieć morze?

— Tak.

— I ty siedziałeś tam przez cały ten czas, żeby opowiedzieć morze?

— Tak.

— Ale komu?

— Nieważne komu. Ważne, aby spróbować je opowiedzieć. Ktoś posłucha. Pomyśleli, że to trochę dziwne. Ale przecież nie tak. Jakoś prościej.

— I trzeba tyle kartek, żeby je opowiedzieć? Dood sam, osobiście, znosił ostrożnie po schodach tę wielką torbę pełną papierów. Więc ta sprawa leżała mu na sercu.

— Chyba nie. Gdyby ktoś naprawdę umiał, wystarczyłoby mu kilka słów... Może zacząłby nawet od wielu kartek, ale potem, powoli, zacząłby znajdować słowa właściwe, takie, co zastępują wszystkie inne, i z tysiąca stron zrobiłoby się sto, a potem dziesięć, a potem odłożyłby je i zaczekał, aż zbędne słowa same wypadną z kartek, a wtedy wystarczyłoby tylko zebrać te, co zostaną, ograniczyć je do dziesięciu, pięciu, tak niewiele, że w miarę patrzenia na nie z bliska i słuchania ich, zostanie ci w końcu w ręku jedno, jedno jedyne. I wymawiając je opowiesz morze.

— Jedno jedyne?

— Tak.

— A jakie?

— Kto to wie.

— Byle jakie słowo?

240

— Jedno słowo.

— Nawet takie jak „kartofel”?

— Tak. Albo „ratunku!” czy „i-tak-dalej”, nie możesz tego wiedzieć, póki go nie znajdziesz. Mówił, rozglądając się wokół po piasku, mężczyzna z siódmego pokoju. Szukał kamyka.

— Ale, przepraszam... — powiedział Dood.

— No?

— Nie można użyć słowa „morze”?

— Nie, nie można użyć słowa „morze”? Wstał. Znalazł kamyk.

— W takim razie to niemożliwe. To rzecz niemożliwa.

— Kto to wie, co jest niemożliwe-

Zbliżył się do morza i rzucił kamyk daleko w wo-dę. Kamyk był okrągły.

— Pluf — powiedział Doi, który znał się na tym. Ale kamyk zaczął skakać po

powierzchni wody, raz, dwa, trzy, nie zatrzymywał się> skakał aż miło, coraz dalej, ku pełnemu morzu? jakby się wyrwał na wolność. Jakby się w ogóle nie chciał zatrzymać. I nie zatrzymał się.

Mężczyzna wyjechał z hotelu nazajutrz rano. Niebo było dziwne, z tych, co szybko ?????? spieszą się do domu. Wiał północny wiatr, silny, ale bezgłośny.

Mężczyzna lubił chodzić- Wziął swoją walizkę i swoją torbę pełną papierów i ruszył drogą wzdłuż morza. Szedł szybko, nie oglądając się. Dlatego nie widział, jak hotel Almayer oderwał

16 — Ocean morze

24I

się lekko od ziemi i rozpadł na tysiąc kawałków, które przypominały żagle i wznosiły się w powietrze, opadały i wznosiły, fruwały, unosząc daleko ze sobą wszystko, nawet tę ziemię i to morze, i słowa, i historie, wszystko, nie wiadomo gdzie, nikt tego nie wie, może któregoś dnia ktoś będzie tak zmęczony, że to odkryje.

KONIEC

SPIS TREŚCI

Księga pierwsza. HOTEL ALMAYER Księga druga. BRZUCH MORZA Księga trzecia. PIEŚNI

POWROTU

7 117 147

„Czytelnik”, Warszawa 2001. Wydanie I

e-mail: sekretariat@czytelnik.pl <http://www.czytelnik.pl>

Ark. wyd. 8,4; ark. druk. 15,25

Skład: B. Cholewiński i L. Żukowski, Warszawa

Druk: Poznańskie Zakłady Graficzne SA

Zam. wyd. 564; zam. druk. 70108/01

Printed in Poland